

*Nr. 22*

**KARDYNAŁ M. WISEMAN**

# **FABIOLA**

**POWIEŚĆ**

**Z CZASÓW PRZEŚLADOWANIA  
CHRZEŚCIJAN W ROKU 302**

**PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO  
W NOWYM OPRACOWANIU**

**TOM II**



**1936**

**NAKŁADEM BIBLIOTEKI DOBRYCH KSIĄŻEK  
Ł O M Ź A**



BIBLIOTEKA DOBRYCH KSIĄŻEK  
WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC  
RED. I WYDAWCA: KS. A. ROSZKOWSKI



Komputer:

KIEROWNIK LITERACKI: A. L. SZYMAŃSKI

84689  
10558/2  
WARUNKI PRENUMERATY

z przesyłką pocztową:

|              | w broszurze | w oprawie |
|--------------|-------------|-----------|
| kwartalnie . | zł. 2.50    | zł. 4.—   |
| półrocznie . | zł. 5.—     | zł. 8.—   |
| rocznie . .  | zł. 10.—    | zł. 16.—  |

Cena pojedynczego tomu: zł. 1, — w oprawie zł. 1.60

Redakcja i Admin. B. D. K.: Łomża, Okrzei 13

SKŁADY GŁÓWNE:

w Łomży — Biblioteka Dobrych Książek, Okrzei 13  
w Warszawie — K. T. W. „Kronika Rodzinna“, Podwale 4

TOM XII                      Ł O M Ż A                      ROK 1

19                      Czcionkami Druk. Diec. w Łomży                      36

K-148/77/84689

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0144942

ROZDZIAŁ XII.

Willi na „Via Nomentana”.

Nomentańska droga wychodzi z Rzymu na wschód; między tą drogą a Salariańską, jest głęboki jar, a między jarem a Nomentańską drogą ciągnie się wąskie pasmo zielonych pagórków, na których malownicza okrągła kaplica wdzięcznie oko wabi, a bardzo blisko tej kaplicy wznosi się prawdziwie piękna bazylika pod wezwaniem św. Agnieszki. Tu była willa do niej należąca, około półtorej mili od miasta; tam miały się udać nowo poświęcone dziewice dla spędzenia dnia w odosobnieniu i cichej radości. Może niewiele dni takich wolno im było przeżyć.

Nie będziemy opisywali tej wiejskiej siedziby, powiemy tylko, że wszystko w niej szczęściem i pokojem oddychało. Dzień był pogodny i łagodny, jakich rzymska zima tyle użycza. Skaliste Apeniny lekko przyprószone były śniegiem, ziemia nieco zmrożona, powietrze przezroczyste, słońce jasne, niebo bez obłoków. Kilka szarych kłębow dymu z chat i winne latorośle z liści огоłocone, jedynie przypominały, że po rozkosznej jesieni nastąpił grudzień. Każde żyjące stworzenie знаło i kochało miłą tego miejsca panią. Gołąbki przylatywały i siadały na jej ramieniu lub rękę, baranki w opłotku wyskakiwały i biegły ku niej, gdy się zbliżała; radosne chwytaly zielone, pachnące trawki, które przynosiła; lecz nikt z taką miłością nie pod-



dawał się jej słodkiemu panowaniu, jak stary, ogromny i wierny stróż willi, Molossus. Na łańcuchu przy bramie tak był straszny, że nikt prócz kilku uprzywilejowanych domowników nie śmiał przystąpić. Lecz gdy tylko ukazała się Agnieszka, kładł się na ziemię, ruszał pokornie kudłatym ogonem i skomlał, póki go na wolność nie puszczono, a wtenczas już i dziecko mogło się doń bezpiecznie zbliżyć. Nigdy pani swej nie odstępował; szedł za nią, jak baranek, a jeśli siadła, kładł się u nóg jej, wpatrując się w jej oblicze, najszcześniejszy, gdy drobną rączką pogłaskała łeb jego szeroki.

Był to prawdziwie swobodny dzionek, niezwyczajnie cichy, słodki i rzewny, gdy nasza trójka rozmawiała o dzisiejszym szczęściu, jako o zakładzie szczęśliwszego kiedyś poranka, po którym noc już nie przyjdzie; czasem wesoły a nawet dziecinnej pustoty pełny, gdy Agnieszka i Syra zaczynały prześladować Cecylię, że je tak podeszła. A Cecylia śmiała się serdecznie jak zawsze i mówiła, że lepszy jeszcze plan przygotowała; a gdy przyjdzie ów ranek, będzie wtedy pierwszą a nie ostatnią.

Fabiola tymczasem przybyła do willi pierwszy raz po nieszczęściu swoim, aby odwiedzić Agnieszkę i podziękować jej za doznane współczucie.

Dochodząc do miejsca, gdzie szczęśliwa trójka siedziała, nagle stanęła; gdy bowiem ujrzała dwie dziewczęce używające widoku i doczesnej jasności niebios, z miłością pochylone nad Cecylią, dla której tylko nieśmiertelne wspaniałości widzialnymi były, Fabiola poznała od razu w tym obrazie spełnienie swego marzenia. Nie chcąc wszakże niespodzianie najść przyjaciółkę, i pragnąc widzieć się z Agnieszką sam

na sam, nie zaś przy własnej niewolnicy i biednej ślepej dziewczynie, cofnęła się niepostrzeżenie i szła w głąb ogrodu. Lecz nie mogła odpędzić od siebie pytania, czemu nie może być tak wesołą i szczęśliwą, jak te dziewczyny? Czemu ta między nimi przepaść?

Lecz dzień ten nie miał się zakończyć bez chmury; byłby znanadto, jak na dzień ziemski, szczęśliwy. Oprócz Fabioli, druga osoba mniej pożądana wybrała się z Rzymu, aby odwiedzić Agnieszkę. Był to Fulwiusz, który nie zapomniał o zapewnieniach Fabiusza, że czarująca grzeczność jego i błyszczące stroje zawróciły słabą głowę Agnieszki.

Przeczekał pierwsze dni familijnej żałoby, nie nachodząc domu, w którym był tak niemiłe przyjęty, a raczej skąd był po prostu wyrzucony. Dowiedziawszy się z pewnością, że po raz pierwszy udała się Agnieszka bez rodziców i bez męskiej służby do willi swej na przedmieście, uchwycił dobrą sposobność popchnięcia swej sprawy. Wyjechał Nomentańską bramą i wkrótce stanął przed willą; wysiadł i oznajmił, że pragnie widzieć Agnieszkę w ważnym interesie, i po niej jakimś naleganiu wpuszczony został przez odźwierznięgo. Wskazano mu ścieżkę, na której końcu miał znaleźć panią. Słońce było przy schyłku, Syra i Cecylia biegały za kwiatkami w pewnej odległości; Agnieszka siedziała sama w promieniach zachodzącego słońca, a stary Molossus leżał u nóg swej pani. Lekkie warczenie, rzadkie u niego w jej obecności, oderwało oczy Agnieszki od zimowych kwiatów, które towarzyszek przynosiły, a ona układała. Podnosząc rękę, natychmiast uczyszyła ten wyraz instyktownej w poczciwym zwierzęciu niechęci.



Fulwiusz zbliżył się z uszanowania pełnym, lecz śmielszym, niż zwykle, wejrzeniem, jak przystawało człowiekowi, skutku swej prośby pewnemu.

— Przyszedłem, Agnieszko — rzekł — ponowić ci wyraz mego szczerzego poważania, a nie mogłem obrać piękniejszego dnia; wśród lata mało jaśniejszych i weselszych.

— Piękny w istocie i wesoły jest dla mnie ten dzień — odrzekła Agnieszka, wracając myślą do rannych obrządków — nigdy słońce w życiu moim jaśniej nie świeciło; jeden tylko chyba dzień jeszcze piękniejszy być może.

Fulwiusz wziął to do siebie i urósł jeszcze w mniemaniu swoim, i odrzekł:

— Zapewne pani wspomina o dniu zaślubin swoich z tym, który serce twoje pozyskał.

— Właśnie dziś się to stało — powiedziała, jakby nie wiedząc, co mówi — dziś właśnie jest ten, uroczysty, radosny dzień.

— A w ten welon i ten wieniec ustroiłaś się, uprzedzając tę szczęśliwą godzinę?

— Pan mój te znaki na mnie włożył, abym nie znała innego oblubieńca.

— I któż jest tym szczęśliwym? Miałem nadzieję i dotąd się tej błogiej nadziei nie wyrzekam, że zajął miejsce w myślach twoich, może i w przyjaźni.

Agnieszka ledwie słyszała te słowa. Nie było najmniejszego cienia panieńskiej nieśmiałości w jej wejrzeniu lub ułożeniu.

Bez zmyzy zewnątrz i niewinna wewnątrz, nie widziała niebezpieczeństwa, bo nie znała grzechu.

Dziecinna twarzyczka pozostała spokojną, oczy łagodnie płonące zwrócone były prosto w oblicze Fulwiusza z prostotą tak prawdziwą,

że Fulwiusz ledwie utrzymać się mógł na nogach. Powstała z wdzięczną powagą i rzekła:

— Mlekiem i miodem poił mię z ust swoich, a krew z rozdartego oblicza rumieńcem moje lica ozdobiła.

Szalona, byłby pomyślał Fulwiusz; lecz zachwyt w jej twarzy i przezroczyisty blask oka, wlepionego w przedmiot przez nią tylko widziany, podbił go i przejął uszanowania pełną trwogą.

Po chwili wróciła do siebie; Fulwiusz nabrał odwagi i postanowił znowu prośbę swą przedstawić.

— Pani — rzekł — żartujesz sobie z człowieka, który cię szczerze podziwia i miłuje. Wiem z najlepszego źródła, tak jest, z najlepszego źródła, od wspólnego przyjaciela już nieżyjącego, żeś raczyła łaskawym na mnie okiem spojrzeć i wyrazić, żeś nie jest przeciwną moim o rękę twoją zabiegom. Teraz więc przychodzę stanowczo i usilnie prosić o rękę twoją. Mogę ci się wydać prędkim i do zwyczajów nie stosującym się, lecz przychodzę z sercem szczerym i gorącym.

— Precz z oczu moich, stworzenie na pastwę śmierci skazane; nie taki już oblubieniec zaślubił sobie serce moje. Jemu jedynie wiarę dochowam, Jemu się oddaję z miłością bez granic. Jego miłość czysta i pieśczoćta święta, oblubienice Jego nigdy nie zdejmują dziewiczych wieńców.

Fulwiusz, który był upadł na kolana i przez to ściągnął na siebie ostre przemówienie Agnieszki, powstał gniewem i wściekłością przejęty, widząc, jak zupełnie się zawodził i rzekł:

— Nie dosyćże doznać odmowy po tylu zachęceniach? Trzebaż jeszcze, abym obelgi zno-



sił? Trzebaż mi cierpliwie słuchać, że kto inny był tu dziś przede mną? Sebastian, domyślam się, znowu...

— Kto jesteś — dał się słyszeć pełen oburzenia głos. — Kto jesteś, co śmiesz wymawiać z pogardą imię człowieka, którego sława jest bez skazy, a cnota tak niezaprzeczona, jak i waleczność?

Obejrzał się i zobaczył przed sobą Fabiolę, która przeszedłszy się trochę po ogrodzie, spodziewała się, że zastanie krewną swoją już teraz samą. Widząc Fulwiusza, przybliżyła się nagle i usłyszała ostatnie słowa.

Obłudnik stał w milczeniu i Fabiola mówiła dalej z rosnącym oburzeniem:

— I któż ty jesteś, co niedosyć, żeś wstał kiedyś w dom krewnej mojej, aby jej obelgę wyrządzić, śmiesz teraz gwałcić progi tego wiejskiego ustronia?

— A ty kto jesteś — odezwał się Fulwiusz — co odgrywasz rolę wszechwładnej pani w cudzym domu?

— Ja jestem tą, która dozwoliwszy przy stole swoim Agnieszce wraz z tobą obiadować, i dostrzegłszy wtenczas zakusy twoje na niewinne dziecię, powinnam teraz położyć im zapórę i stanąć w obronie krewnej.

Wzięła Agnieszkę za rękę i uprowadziła, a Molossus porywając się do czegoś więcej niż do warczenia, ściągnął na siebie karę, jakiej nigdy jeszcze nie doznał, lecz którą przyjął rozkosznie z lekkiej i miłej rączki Agnieszki; gdy Fulwiusz zgrzytając zębami powiedział umyślnie dość głośno:

— Wyniosła Rzymianko! Gorzko oplakiwać będziesz ten dzień i tę godzinę! Dowiesz się i uczujesz, jak Azja mścić się umie!

## ROZDZIAŁ XIII.

### Edykt.

Gdy nastał dzień, wyznaczony na ogłoszenie edyktu w Rzymie, Korwin głęboko się przejął ważnością poruczonego mu starania o rozwieszenie w stosownym miejscu, na forum, wyroku śmierci na chrześcijan, a raczej zagłady imienia Chrystusowego. Były z Nikomedii wiadomości, że odważny chrześcijański żołnierz, imieniem Jerzy, zdarł z murów miasta podobny cesarski ukaz i mężnie życiem przypłacił śmiałość swoją. Korwin zamierzył niedopuszczyć, aby coś podobnego mogło się wydarzyć w Rzymie, gdyż obawiał się następstw, jakieby podobny wypadek mógł mieć dla jego własnej osoby; zabezpieczył się więc wszelkimi ostrożnościami, jakie były w jego mocy. Edykt napisany był wielkimi literami, na pozlepianych arkuszach pergaminu, a te przybite były do deski mocno osadzonej na kolumnie, niedaleko od krzesła sędziowskiego na forum. Umocowanie wszakże tej tablicy skutecznione zostało dopiero, gdy forum opróżniło się, i dość późno w nocy, tak, aby widok edyktu uderzył obywateli z rana niespodziewanie i uczynił tym silniejsze na umysłach wrażenie.

Dla zabezpieczenia się od wszelkiego nocnego zamachu na ważny i drogi dokument, jak niekiedy Żydowie przeskodzić chcieli zmartwychwstaniu, tak postarał się Korwin o straż nocną do forum, o oddział Pannońskiego pułku, złożonego z żołnierzy, pochodzących z najdzikszych północnych narodowości: Daków, Pannów, Sarmatów i Germanów, których niekształtne rysy, szorstka powierzchowność, plecione,



jasne włosy i najeżone czerwone wąsy, czyniły oczom rzymian wrażenie nieludzkiej dzikości. Ci ludzie, mało rozumiejący po łacinie, prowadzeni przez oficerów własnych, tworzyli przy schyłku państwa najwierniejszą straż panujących tyranów, często współrodaków swoich, i nie było tak potwornej zbrodni, którejby się na rozkaz nie podjęli.

Pewna liczba tych barbarzyńców zawsze srogich i na zawołanie chętnych, rozstawiona była w taki sposób, aby bronić wszelkiego do forum przystępu, z wyraźnym rozkazem przebicia lub poranienia każdej osoby, któraby przejść chciała, nie wymówiwszy hasła. Hasło dawał każdej nocy generał komenderujący przez trybunów i centurionów całemu wojsku. Lecz dla uniknięcia wszelkiego podobieństwa, aby jaki chrześcijanin mógł tej nocy wejść do forum, gdyby przypadkiem odkrył hasło, przebiegły Korwin wymyślił takie, o którym był pewny, że żaden chrześcijanin nie zechce go wymówić. Był to: numen imperatorum, czyli bóstwo cesarzów.

Ostatnim staraniem Korwina było obejść wszystkie straże, dając każdej najściślejsze polecenia; szczególnie żołnierzowi, który był postawiony przy samej tablicy edyktu. Obrano na to stanowisko człowieka wielkiej siły, olbrzymiej postawy, szczególnej srogości spojrzenia. Korwin dał mu najsurowsze polecenia, że nie ma nikomu darować, lecz bez pardonu bronić całości edyktu.

Przepowiedziawszy mu hasło kilka razy, opuścił Korwin na pół opitego sabają czyli piwem<sup>1)</sup>, w głupim przekonaniu, że ma przebić

<sup>1)</sup> Sabaja był to napój robiony z jęczmienia lub pszenicy.

włócznie lub porąbać pałaszem tego lub owego, nim dzień zaświta. Noc była ciemna i burzliwa; deszcz puszczął się co chwila i bił silnie z wiatrem. Dak owinał się w płaszcz, chodzi wzdłuż i wszerz, często przytykając do ust flaszkę napoju, wyciskanego podobno z leśnych wiśni turyngskich, a w przestankach zatapiał się w mętnych marzeniach nie o lesie lub rzece, nad którą weselą się w dalekim kraju młodzie Dakowie, lecz o czasie, w którym nadejdzie chwila poderznąć gardło terazniejszemu cesarzowi i splądrować miasto.

Gdy się to działo, stary Diogenes i tędzy jego synowie w ubogim domu w Suburze zabierać się mieli do skromnej wieczerzy, gdy im przerwało lekkie stuknięcie do drzwi, a potem podniesienie klamki; weszli dwaj młodzieńcy, których Diogenes poznał odrazu i serdecznie przyjął.

— Wejdźcie, szlachetni młodzieńcy; proszę, jaka łaska z waszej strony zaszczycać mój ubogi dom przytomnością swoją! Zaledwie ośmielałam się ofiarować wam naszą skromną strawę; lecz jeśli chcecie z nami ją spożyć, sprawicie nam prawdziwą miłościwą Chrystusową ucztę.

— Dziękujemy ci najserdeczniej, ojcze Diogenesie! — powiedział starszy z nowoprzybyłych, Kwadratus, Sebastiana silny centurion; — Pankracjusz i ja przyszliśmy właśnie do was na wieczerzę się zaprosić. Lecz nie zaraz, mamy interes w tej części miasta; gdy tylko go załatwimy, chętnie się posilimy. Tymczasem jeden z twoich synów może pójść za prowiantami. Trzeba nam czego dobrego; chcę, abyście się, ojcze rozweselili kieliszkiem lepszego wina.

Mówiąc to, dał swoją sakiewkę jednemu



z synów fossora, aby przyniósł cokolwiek wykwinniejsze prowianty od tych, które wiedział, że są w zwyczajnym używaniu ubogiej rodziny. Usiedli, a Pankracjusz, aby zacząć rozmowę, rzekł do staruszka:

— Poczciwy Diogenesie, słyszałem od Sebastiana, że pamiętasz i na własne oczy widziałeś śmierć chwały pełnego diakona Wawrzyńca, za Chrystusa poniesioną. Powiedz mi cokolwiek o nim.

— Z wielką chęcią — odpowiedział staruszek. — Blisko 45 lat minęło od męczeństwa<sup>1)</sup>, a ponieważ starszy byłem wtedy, niż ty teraz, pojdziesz łatwo, że wszystko najdokładniej pamiętam. Był to zaprawdę piękny młodzieniec; taki słodki i miły, żywości i wdzięku pełen, a mowa jego była taka wdzięczna i uprzejma, szczególnie, gdy mówił do ubogich. Jakże oni go też kochali! Ja mu wszędzie towarzyszyłem; byłem przytomny, gdy św. papież Sykstus szedł na śmierć, a Wawrzyniec zaszedł mu drogę i jak czule wymawiał, zupełnie jak syn ojcu, że ma prawo być mu towarzyszem w męczeństwie, tak jako mu służył przy świętej ofierze Ciała i Krwi Pańskiej.

— Świetnież to były czasy, Diogenesie, czy nie prawda? — przerwał młodzieniec. — Jakieśmy się też wyrodzili! Jakieśmy się oddalili! Nieprawdaż Kwadracie?

Żołnierz uśmiechnął się na szlachetną szczerość tej skargi i prosił Diogenesa, aby dalej mówił.

— Byłem przy tym, gdy rozdawał kosztowne naczynia kościelne pomiędzy ubogich; nie widzieliśmy nic równie wspaniałego od owej chwili. Były tam lampy złote i lichtarze, kandelabry, kielichy i pateny oprócz wielkiej

ilości przetopionego srebra, rozdane go pomiędzy ślepych, kulawych i głodnych.

— Lecz powiedz mi — zapytał Pankracjusz — jak przecierpiał ostatnie okropne męki? Musiały zapewne być okrutne?

— Widziałem wszystko — mówił dalej starzy fossor — i zdaje mi się, że dla każdego innego byłaby to męka nie do zniesienia. Wzięty na tortury i rozmaicie dręczony, nie wydał ani jednego jęku; wtenczas sędzia rozkazał, aby przygotowano okropne łożo, kratę żelazną pod którą ogień podłożono i do czerwoności rozpalono. Delikatne jego ciało w bąble się wzdymało i pękało nad ogniem, czerwonymi ranami aż do kości wpiekła się rozpalona krata; dym gęsty, jak z kotła, z ciała powstał, ogień syczał spodem, gdy się ciało roztopiało i kapalo, skóra drgała, mięśnie się ścigały, członki spazmatycznie jak w konaniu się poruszały i wykrzywiały; wszystko to przedstawiało najokropniejszy widok, jakiegom kiedykolwiek w życiu był świadkiem. Lecz patrząc w twarz jego, zapomniało się o wszystkim. Głowa była podniesiona w zachwycie Boskiego widzenia, jak było niegdyś przy śmierci dawniejszego św. diakona i pierwszego męczennika, Szczepana. Oblicze płonęło wprawdzie od upału, potem oblane, lecz płomienie, przedzierając się przez złote kędziory, otaczały piękną głowę i twarz taką jasnością, iż zdawało się, że już jest w niebie. I rysy jego spokojne i słodkie jak zawsze i oczy wzniesione wyrażały tak gorące pragnienie nieba, żebyś był chętnie jego miejsce przyjął.

— Tego też pragnę — przerwał Pankracjusz — jak tylko Panu podobać się będzie! Nie śmiałybym ufać, abym to samo, co Wawrzyniec przetrwać zdołał, gdyż on był szlachetnym, bo-

<sup>1)</sup> Roku 258.



haterskim Lewitą, a ja jestem słabym i bardzo niedoskonałym chłopięciem. Lecz czy nie myślisz, Kwadracie drogi, że w takiej chwili siła dodana nam jest w miarę potrzeby? Ty, Kwadracie, wiem, żebyś wszystko przetrwał, gdyż jesteś tegim żołnierzem, przyzwyczajonym do ran i trudu. Lecz co do mnie, mam tylko serce gotowe do ofiary. Czy to dosyć, jak myślisz?

— Dosyć, dosyć, mój synu — zawołał centurion, głęboko wzruszony, patrząc z miłością na młodzieńca, który z błyszczącymi oczyma powstawszy z siedzenia, położył ręce swoje na ramionach żołnierza. — Bóg da ci siłę, jak ci dał odwagę. Lecz nie zapominajmy o nocnej naszej sprawie. Owiń się dobrze w płaszcz i zaciągnij kaptur na głowę! Tak dżdżysta i zimna noc. Teraz, poczcziwy Diogenesie, przyłóż drzewa na ogień, niechaj zastaniemy wicherze gotową za powrotem. Niedługo się zabawimy; zostaw drzwi przyknięte.

Idźcie, idźcie, synowie moi — rzekł staruszek — i niechaj wam Bóg dopomoże; cokolwiek bądź przedsiębrać macie, nie wątpię, że w chwalebnym celu.

Kwadratus spiesznie zarzucił wojskowy płaszcz, i obadwaj zniknęli w ciemnych uliczkach Suburry, udając się w stronę forum. Gdy odeszli, drzwi się znowu otworzyły z dobrze znanym pozdrowieniem „Bogu chwała” i wszedł Sebastian, wypytując się troskliwie, czy Diogenes nie widział przypadkiem dwóch młodzieńców, gdyż był przejrzał ich zamiar. Odpowiedziano mu, że mają przyjść wkrótce.

Kwadrans upłynął zaledwie, gdy usłyszano szybkie kroki; drzwi otworzyły się szeroko, potem prędko zamknięte i zaryglowane przez wchodzącego Kwadrata z Pankracjuszem.

— Co takiego? — zapytali wszyscy ciekawie.

— Wielki edykt, ma się rozumieć — rzekł Pankracjusz z młodzieńczą radością. — Patrzenie: Domini nostri Diocletianus et Maximianus, invicti, seniores Augusti, patres imperatorum et caesarum<sup>1)</sup> i t. d. Tu jego miejsce — i wrzucił w ogień, a silni synowie Diogenesa przyrzucili kilka ciężkich polan, aby przytrzymać i przegłuszyć trzeszczenie pergaminu. Związał się, pękał i pisał, litera po literze, słowo po słowie: to pochwała cesarza, to bluźnierstwo przeciw Chrystusowi, aż nareszcie wszystko się zamieniło w kupę czarnego popiołu.

A czymże innym za lat kilka będą ci, od których wyszło to dumne pismo, gdy ciała ich spłoną na stosie drzewa cedrowego i balsamów, a garść popiołów razem zebranych zaledwie zapełnić zdoła złoconą urnę? A czym także za lat niewiele będzie to pogaństwo, które ten pergamin utrzymać miał, jeśli nie martwą literą, co najwięcej tyle znaczącą, jak kupka wygasłych węgli wyrzuconych na ziemię? A to państwo samo, nadęte okrucieństwem i niesprawiedliwością „niezwycięzonych” Augustów, jak podobnym będzie za parę wieków do tego zniszczonego edyktu, gdy pomniki bezbożnej wielkości leżąc w popiołach lub gruzach uczyć będą, że jest jeden tylko potężny Pan, możniejszy od cesarzów, Pan panów, i że ani mądrość, ani siła ludzka nigdy nie przemogą Go.

O czymś podobnym marzył zapewne Sebastian, gdy patrzył zamyślony na gasnące szczątki dumnego i srogiego edyktu, nie lekkomyślnie, lecz rozważnie zdartego, iż zawierał bluźnier-

<sup>1)</sup> Panowie nasi Dioklecjan i Maksymian, niezwykłych, starsi Augustowie, ojcowie imperatorów i cesarzów.



stwa przeciw Bogu i Jego świętym prawdom. Wiedzieli, że w razie odkrycia stokrotne męki byłyby sprawców udziałem; lecz chrześcijanie w owych czasach na każde męczeństwo gotowi, podobną groźbą się nie odstraszaali; śmierć za Chrystusa czy prędką i łatwą, czy ciężką i bolesną, była końcem, którego się spodzielali. I tak jak waleczni żołnierze, idący do boju, nie pytali, czy strzała czy miecz może ich powalić, czy cios śmiertelny od razu im życie odbierze, czy męczyć się będą posiekani lub przebici w długim konaniu pośród trupów zostawionych na pobojuwisku.

Sebastian ocknął się po chwili i nie miał serca potępić wykonawców tego czynu. Wprawdzie miała ta sprawka i komiczną swoją stronę, która Sebastiana do śmiechu pobudzała, to jest myśl o zadziwieniu i przerażeniu, jakie nazajutrz w pałacu panować będzie. Tym chętniej wziął tę rzecz z żartobliwej strony, iż Pankracjusz czekał jego zdania z pewną obawą, a setnik zdawał się nieco zmieszany. Tak więc uśmiewszy się, siedli wesoło do wieczerzy, gdyż północ, godzina, z którą się rozpoczynał post przygotowywaczy do św. Komunii, nie była jeszcze nadeszła. Oprócz życzliwości dla gospodarzy, celem Kwadrata w tym urzędzeniu było po części, aby mieć w uczcie wymówkę, w razie gdyby byli niespodzianie w tym miejscu zaskoczeni; po części także, aby utrzymać przy dobrej myśli młodszego towarzysza swego i rodzinę Diogenesa, gdyby ich śmiały, dopiero dokonany czyn przeraził. Lecz żadne podobne uczucie nie objawiło się. Rozmowę wkrótce zajęły wspomnienia z młodości Diogenesa, i z owych dobrych, gorliwości pełnych dawnych czasów,

jak mówił Pankracjusz. Sebastian odprowadził przyjaciela do domu, a potem obszedł daleko, aby nie przechodzić przez forum, wracając do siebie. Gdyby kto był widział Pankracjusza tej nocy, gdy gotował się do spoczynku, byłby widział, jak co chwila śmiał się sam do siebie, przypominając sobie jakieś dziwne, lecz zabawne zdarzenie.

## ROZDZIAŁ XIV.

### Odkrycie.

Z pierwszym brzaskiem dziennym Korwin wstał, i nie zważając na pochmurny dzień, udał się prosto na forum, zastał pierwsze strażę na swoim miejscu i spieszył do głównego przedmiotu troskliwości swojej. Daremne byłoby opisywać zdumienie, gniew i wściekłość jego na widok nagiej deski z strzępami pergaminu przy gwoździach i tuż obok w opilej głupocie stojącego strażnika.

Byłby od razu rzucił się na niego, jak tygrys, gdyby nie oczy barbarzyńcy coś tak jak mruganie hieny, które go ostrzegły, że lepiej nie próbować; wylał więc złość swoją w zapalczywych słowach.

— Łotrze, gdzie się edykt podział? — mówi zaraz.

— Zwolna, zwolna, Herr Kornweiner — za-belkotał niewzruszony barbarzyńiec. — Tam jest, gdzieś go zostawił.

— Gdzie jest? Ty głupcze. Przyjdź i patrzaj.

Dak po raz pierwszy przypatrzył się tablicy i po chwili zawołał:

Fabryka

T. II.





— A cóż, nie jestże to ta sama deska, którą zeszłej nocy przybił?

— Tak, głupcze, lecz było na niej pismo, którego już niema. Tegoś właśnie miał pilnować.

— Otóż widzisz panie, co do pisma, to nie moja rzecz, gdyż nigdy pisać się nie nauczyłem. A ponieważ deszcz padał całą noc, być może, że splukał pismo.

— A ponieważ był wiatr, domyślał się, że pergamin, na którym było pisane, wiatr oderwał i zabrał.

— Bez wątpienia, Herr Kornweiner; właśnie tak.

— Tu żartów niema; powiedz odrazu, kto tu był tej nocy?

— Dwóch ich tu było.

— Jakich dwóch?

— Czarnoksiężnicy, diabli, albo co gorszego jeszcze.

— Nie dla mnie te głupstwa! — Oczy pijaka zabłyśły znowu niebezpiecznym zyzem. — Powiedz mi, Arminiuszu, co to byli za ludzie i co robili?

— Jeden z nich wyglądał jak niedorostek; chłopiec wysoki i chudy, który się kręcił koło kolumny i zapewne wziął to, czego szukasz, wtenczas, gdy miał do czynienia z drugim.

— A cóż ten drugi? Jak wyglądał?

Arminiusz otworzył usta i oczy i patrzył na Korwina z osłupieniem, nie wiedząc, jak się ma wyrazić; a potem rzecze:

— Jak wyglądał? Jeśli to nie było bóstwo Tor w swej własnej osobie, to przynajmniej coś bardzo do niego podobne. Nigdy nie widziałem takiej siły.

— Czymże ci dał poznać tę siłę?

— Przyszedł naprzód i zaczął rozmawiać

jakby nic; pytał się, czy mi nie bardzo zimno, i o tym podobne rzeczy. Nareszcie przypomniałem sobie, że miałem przeszyć kogokolwiek, coby się do mnie zbliżył.

— Tak jest — przerwał Korwin — i czemuż tego nie uczynił?

— Jedyńie dlatego, że on mi nie dopuścił. Powiedziałem mu, aby się oddalił, albo go będę musiał przebić; i cofnąłem się i zastawiłem włócznią. A on bez żadnej trudności, lecz nie rozumiem, jakimi czarami wyrwał ją z rąk moich, złamał na kolanie jakby drewniany pałasz kuglarza, cisnął żelazo i wbił w ziemię ot tam, jak widzisz, o pięćdziesiąt kroków stąd.

— A więc czemuż nie rzuciłeś się na niego z pałaszem, aby odrazu sprawę zakończyć? Lecz gdzie jest twój pałasz? Nie masz go w pochwie.

Dak zyzem wskazał na dach pobliskiej bażyliki:

— Nie widzisz tam na dachu, jak się świeci mój pałasz od rannej zorzy?

Korwin spojrzał i w samej rzeczy zobaczył coś podobnego, lecz nie mógł własnym wierzyć oczom.

— Jakże się tam dostał, ty głupcze? — zapytał.

Żołnierz pokręcił wężą w złowieszczy sposób, poczym Korwin grzeczniej powtórzył zapytanie i otrzymał odpowiedź:

— On bez żadnego wysilenia wyciągnął pałasz znów jakimiś czarami z mej ręki i wyrzucił tam, gdzie widzisz, tak łatwo, jakbym ja rzucił kamieniem o dwanaście kroków.

— A potem?

— A potem i on i tamten, który się kręcił koło kolumny, oba zniknęli w ciemności.



— Co za dziwna historia! — mrucał Korwin sam do siebie — a przecież są dowody tego, co opowiada. Nie każdy byłby w stanie dokazać tej sztuki. Ale czemuż nie pobudził innych wart do pogoni?

— Naprzód, panie Kornweiner, dlatego, że w naszym kraju bijemy się z żyjącymi ludźmi lecz nie mamy zwyczaju gonić za duchami. A potem naco i poco? Widzę deskę, którąś powierzył pieczy mojej całej i nienaruszoną.

— Głupi barbarzyńco — mruknął Korwin do siebie; potem dodał: — Ta zbrodnia da ci się we znaki; wiesz, co jest główną zbrodnią?

— Co takiego?

— Żeś się dał zbliżyć do siebie bez wymówienia hasła.

— Ślicznie, mój panie, któż mówi, że nie wymówił hasła? Ja tego nie mówiłem.

— Więc wymówił hasło? W tym razie nie mógł to być chrześcijanin.

— Otóż przyszedł i powiedział wyraźnie: *Nomen imperatorum*<sup>1)</sup>.

— Co? — ryknął Korwin.

— *Nomen imperatorum*.

— *Numen imperatorum* było umówione słowo — krzyknął rozjuszony Rzymianin.

— *Nomen*, czy *numen* to wszystko jedno. Litera jedna nie może robić różnicy. Przeżywasz mię czasem Arminiuszem, a ja się zowie Hermanem, jedno i drugie to samo znaczy. Jakże mam znać takie rzeczy w waszej mowie?

Korwin wściekał się na siebie samego, bo widział, o ile lepiej swego celu byłby dopiął,

oddając straż bystremu, pojętnemu pretorianinowi, a nie głupiemu i dzikiemu barbarzyńcy.

— Dobrze więc — trzęsąc się ze złości — odpowiesz za to wszystko przed cesarzem; a wiesz, że Maksymian nie ma zwyczaju przebaczać.

— Poczekaj, Herr Korweiner — odrzekł żołnierz z wyrazem przebiegłej głupowatości — co do tego, stoimy na jednej i tej samej łodzi. — (Korwin pobałdł, bo wiedział, że w istocie tak jest). — I musisz wymyślić sposób ratowania mnie, jeśli chcesz siebie samego ratować. Ciebie cesarz uczynił odpowiedzialnym za to... jak się tam nazywa?... za deskę tę.

— Dobrze radzisz, przyjacielu; opowiem, że napadnięty zostałeś przez zbrojnych ludzi i zabity na miejscu. Więc zamknij się w kwaterze swej na kilka dni, a będziesz miał pod dostatkiem piwa, póki wszystko nie będzie zapomnianym.

Żołnierz odszedł i skrył się. W parę dni potem trup Daka, widocznie zamordowanego, wypłynął z wody na brzeg Tybru. Mniemano, że pijany utonął i dalej nie pytano. W istocie tak było, lecz Korwin mógł dać bliższe szczegóły o całym wypadku. Zanim wszakże opuścił nieszczęsne miejsce na forum, starannie je obejrzał, szukając śladów śmiałego czynu i znalazł pod samą kolumną nóż, który widział kiedyś w szkole u jednego z współuczniów.

Schował znaleziony skarb, narzędzie niechybnej zemsty, i pośpieszył zarządzić nowy odpis edyktu.

<sup>1)</sup> Imię cesarzów.



## ROZDZIAŁ XV.

## Wyjaśnienia.

Gdy się zupełnie rozwidniło, tłumy cisnęły się zewsząd do forum, aby czytać straszny wyrok od tak dawna grożący. Lecz na widok nagiej deski ogromny powstał rozruch. Niektórzy podziwiali odwagę chrześcijan, których lekliwymi mieniono; inni oburzali się na zuchwałość czynu; niektórzy drwili z urzędników, którym było poruczone ogłoszenie edyktu, inni gniewni byli, że oczekiwana na dzisiaj uciecha opóźniona będzie.

Już o wczesnej godzinie publiczność zajęta była jedynie tym przedmiotem.

W wielkich antonińskich termach grono zwyczajnych gości toczyło w tym przedmiocie rozmowę. Był tam Skaurus prawnik, Prokulus i Fulwiusz i filozof Kalpurniusz, który się zdawał bardzo zajęty jakimiś opleśniałymi książkami i wielu innych.

— Co za dziwny wypadek z tym edyktem — powiedział jeden.

— Powiedz raczej, jaki zdradziecki zamach przeciw boskim cesarzom — odrzekł Fulwiusz.

— Jak to się stało? — zapytał trzeci.

— Czyś nie słyszał — rzekł Prokulus — że żołnierz na warcie zabity, dwadzieścia siedem razy pugiuałem pchnięty; a takich razów było dziewiętnaście, z których każdy życie mógł odebrać.

— Nie, to fałszywa wieść — przerwał Skaurus — to było skuteczzone nie przez siłę zbrojną, lecz jedynie za pomocą czarów. Dwie kobiety przyszły do żołnierza, który włócznią w jedną z nich pchnął, a włócznia przeszła

przez kobietę i wbiła się w ziemię, nie zadając kobiecie najmniejszej rany. Wtedy wyciągnął pałasz na drugą, lecz uderzył jak w marmur. Kobieta rzuciła na niego szczyptę proszku i uleciał w powietrze i znaleziony był z raną śpiący i nieuszkodzony na dachu emiliańskiej bazyliki. Jeden z moich przyjaciół, wyszedłszy bardzo rano, widział jeszcze drabinę, po której żołnierza na dół zniesiono.

— Niesłychane rzeczy! — wielu wołało — Co za dziwni ludzie muszą być ci chrześcijanie.

— Ja temu wszystkiemu nie wierzę — rzekł Prokulus — nie znam takiej potęgi w magii, do prawdy nie wiedziałbym, dlaczego ci nędzni ludzie mieliby w magii więcej biegłości posiadać od nas, przecie uczeńszych. Chodź, Kalpurniuszu — mówił dalej — rzuć tę starą książkę i odpowiedz na te pytania. Więcej się nauczyłem od ciebie jednego razu przy obiedzie o tych chrześcijanach, aniżeli przez to wszystko, com kiedy od nich słyszał. Jaką nadzwyczajną pamięć mieć musisz, aby pamiętać tak dokładnie genealogię i historię tego dziwnego ludu. Czy to, co Skaurus nam powiedział, jest prawdopodobnym czy nie?

Kalpurniusz z wielką nadętością odpowiedział:

— Niema powodu uważać rzecz tę za niepodobną, gdyż potęga sztuki magicznej nie ma granic dobrze oznaczonych. Dla przysposobienia proszku z którego pomocą człowiek uleciałby w powietrze, potrzeba tylko znaleźć pewne zioła, w którychby powietrze, górę brało nad trzema innymi żywiołami. Takimi naprzykład są grochy lub soczewice zdaniem Pitagorasa. Zebrane wtenczas, gdy słońce jest w znaku wagi, którego to zna-



ku zodiakowego własnością jest poruszać nawet ciężkie rzeczy w powietrzu w chwili zetknięcia się z Merkuriuszem, skrzydlatą, jak wiesz potęgą; te rośliny stosownie urzeczony pewnymi tajemniczymi słowami przez biegłego czarownika, potem na proszek utłuczone w moździerzu zrobionym z aeorlitu czyli z kamienia, który uleciał w obłoki i spadł z obłoków na ziemię; taki proszek właściwie użyty, bezwątpienia mógłby unieść człowieka, chociaż i gwałtem w powietrzu. Rzecz wiadoma, że tessalskie czarownice latają do woli po obłokach i przenoszą się z miejsca na miejsce, zapewne zapomocą magicznych tego rodzaju środków. Teraz o chrześcijanach. Pamiętasz pewnie, Prokulusie, że w mowie, której przypomnieniem zaszczytasz mnie, a którą miałem przy stole ubóstwionego Fabiusza, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, wspomniałem, że owa sekta pochodzi z Chaldei, kraju od wieków sławnego z nauk tajemniczych, mianowicie magii. Lecz mamy bardzo ważny fakt, odnoszący się do tej materii i zapisany w historii. Pewnym jest, że tu w Rzymie niejaki Szymon, który czasem zwany jest także Szymon Piotr, a czasem Szymon Magus, wzleciał wysoko w powietrze wobec widzów; lecz gdy czary jego wyślizgnęły się z za pasa, upadł i połamał nogi, dla której to przyczyny musiał być ukrzyżowany głową na dół.

— Więc wszyscy chrześcijanie są koniecznie czarownikami?

— Wszyscy; czary należą do ich zabobonów. Mniemają, że kapłani ich mają nadzwyczajną, nadnaturalną władzę. Tak na przykład myślą, że kąpiąc się w wodzie, duszom swoim nadają dziwne zalety i wyższość, jeśli są nie-

wolnikami, nad panami swymi, a nawet boskimi cesarzami.

— Zgroza — zawołali wszyscy.

— Potem — mówił dalej Kalpurniusz — wiecie wszyscy, jak okropnej zbrodni niektórzy z nich dopuścili się zeszłej nocy, zdzierając święty edykt bóstw cesarskich; i nawet gdyby (czego niech bogi nie dopuszczają!) zdradę swoją dalej posunęli i godzili na święte życie cesarzów, poszliby tylko do jednego ze swoich kapłanów, wyznaliby zbrodnię i prosili o przebaczenie, a jeśliby to przebaczenie otrzymali, uważaliby się za zupełnie niewinnych.

— Straszne rzeczy! — zawołali chórem.

— Taka nauka — rzekł Skaurus — nie może się zgodzić z bezpieczeństwem państwa. Człowiek, który mniema, że każda zbrodnia może mu być odpuszczona przez drugiego człowieka, gotów jest do wszelkich zbrodni.

— Bezwątpienia — powiedział Fulwiusz — to też jest przyczyna nowego przeciw nim prawa. Potem, co Kalpurniusz opowiedział o tych szalonych ludziach, kara nie może być zbyt ostrą.

Fulwiusz wlepił chytrze oczy w Sebastiana, który wszedł podczas tej rozmowy; a teraz podstępnie zapytał:

— I ty, nie wątpię, jesteś tego samego mniemania, Sebastianie; czy nie prawda?

— Ja myślę — odpowiedział spokojnie — że gdyby chrześcijanie tacy byli, jak ich Kalpurniusz opisuje, to jest szkodliwymi czarownikami, zasługiwaliby na zgładzenie ze świata. Lecz nawet w tym razie otworzyłbym im drogę do zbawienia.

— Jakąż? — zapytał szyderczo Fulwiusz.

— Postanawiając, aby tylko cnotliwszym od



chrześcijan wolno było chrześcijan karać, a nie innym. Nie pozwoliłbym ręki podnieść takiemu, któryby nie mógł dowieść, że nie był nigdy cudzołożnikiem, zdziercą, oszustem, pijakiem, złym mężem, ojcem lub synem, rozpustnikiem lub złodziejem, gdyż o te zbrodnie nikt nie pomawia biednych chrześcijan.

Fulwiusz zżymał się przy wyliczaniu grzechów, a jeszcze więcej pod oburzoną poważnym wejrzeniem Sebastiana. Lecz na słowo „złodziej” mimowolnie odskoczył. Czy żołnierz widział, gdy podnosił wyszywaną szarfę Syry w domu Fabiusza? Czy tak, czy nie, niechęć, którą powziął do Sebastiana za pierwszym poznaniem, zamieniła się w nienawiść za drugim; a nienawiść w tym sercu pisała się krwią. Teraz z podwójną zaciekleścią trwał w piekielnej namiętności.

Sebastian wyszedł, a myśli jego skupiły się w słowach modlitwy:

— Jak długo, o Panie! jak długo? Jakąż możemy mieć nadzieję nawrócenia wielu na wiarę, a tym mniej całego państwa, póki widzimy uczciwych i uczonych ludzi przyjmujących za prawdę każde na nas rzucone oszczerstwo, przechowujących przez wieki każdą bajkę i kłamstwo o nas i niechających nawet poznać nauki naszej, dlatego, że sobie uroili, iż ta nauka jest fałszywą i pogardy godną.

Mówił głośno, myśląc, że jest sam, gdy miły głos odpowiedział mu z boku:

— Dobry młodzieńcze, ktokolwiek jesteś, co w ten sposób mówisz, — a zdaje mi się, że znam twój głos, — nie zapominaj, że Syn Boży wrócił światło ciemnym oczom odrobiną błota, które w rękę ludzką wzrok właśnie odjąłby mogło. Bądźmy jak proch pod nogami Pana,

jeśli pragniemy być narzędziem światła Bożego dla ludzi. Dajmy deptać po sobie jeszcze trochę w cierpliwości, może właśnie z naszych popiołów powstanie iskierka, którą Pan rozdmuchać raczy.

— Dzięki ci, dzięki, droga Cecylia — rzekł Sebastian — za twoje sprawiedliwe i słodkie napomnienie. Dokąd tak wesoło biegniesz w tym pierwszym dniu niebezpieczeństwa?

— Czy nie wiesz, że naznaczona zostałam na przewodniczkę na cmentarzu Kaliksta? Idę objąć urząd. Módl się, abym mogła być pierwszym kwiatkiem zbliżającej się wiosny.

I oddaliła się, nucąc wesoło. Lecz Sebastian prosił, aby się chwilkę zatrzymała.

## ROZDZIAŁ XVI.

### Wilk w owczarni.

Po przygodach nocnych nie mieli nasi młodzieńcy wiele czasu do wypoczynku. Na długo przed wschodem słońca musieli chrześcijanie wstawać i zgromadzać się w kościołach tak, aby się rozejść przededniem.

Dziś miało się odbyć ostatnie nabożeństwo w zwykłym miejscu. Oratoria miały być zamknięte, a Msza św. miała nadal odprawiać się w podziemnych kościołach cmentarnych. Nie można się było wprawdzie spodziewać, aby wszyscy, choćby tylko w niedzielę, mogli bezpiecznie udawać się o kilka tysięcy kroków za bramę. Więc w owych czasach trwogi był wiernym udzielony przywilej: przechowywania we własnych domach i podawania sobie nawzajem Przenajświętszego Sakramentu w go-



dzinach rannych, przed wszelkim innym pokarmem, jak się Tertulian wyraża.

Wierni w przekonaniu swoim nie byli jako owce, na rzeź skazane, nie jako złoczyńcy, gotujący się na śmierć, ale jako żołnierze, uzbrajający się do boju. Broń, żywność, siłę, odwagę, wszystko to czerpali u Pana zastępów. Nawet słabi, trwożliwi zaczerpywali mocy w chlebie żywota. Po kościołach, tak jak dotąd jeszcze po cmentarzach widzieć się daje, stawiano stołki dla spowiedników, przed którymi grzesznik klękał i zeznawszy winę, otrzymywał odpuszczenie. W podobnych chwilach wybuchającego prześladowania mniej ściśle się trzymano pokutnego kodeksu, czas publicznego zadośćuczynienia bywał skrócony; całą więc noc przepędziło gorliwie duchowieństwo, gotując owieczki swe do uroczystej Komunii św., dia wielu ostatniej na ziemi. Nie potrzebujemy przypominać czytelnikom naszym, że nabożeństwo wtenczas odprawiane było tak co do istoty, jak i wielu obrzędów, tak samo, jak dziś widzimy codziennie u ołtarzów katolickich. Nie tylko, że je uważano, jak i w naszych czasach, za ofiarę Ciała i Krwi Pana naszego, nie tylko, że ofiarowanie, poświęcenie i Komunia były te same co dzisiaj, ale także było wiele tych samych modlitw, tak, iż katolik słysząc te modlitwy, a jeszcze więcej kapłan odmawiając je w tym samym języku, którym ziemski podziemny Kościół się modlił, może się czuć w czynnym i żywym obcowaniu z męczennikami, którzy jej obecni byli.

Przy okoliczności, którą opisujemy, kiedy przyszedł czas wzajemnego pocałowania w braterskiej miłości, ze słowami *pax tecum*, można było słyszeć głośny płacz — bo dla wielu było

to pożegnaniem. Niejeden młodzieniec obejmował szyję ojcowską, nie wiedząc, azali dzień ten nie rozłączy ich aż do chwili, kiedy w niebie gałązkami palmowymi witać się będą. A matki z jakże gorącym uczuciem przyciskały do łona swe córki w tej rzewnej miłości, którą obawa długiego rozstania jeszcze czulszą czyniła! Potem nastąpiła Komunia św., więcej niż zwykle uroczysta i w pobożniejszym milczeniu. „Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa” mówił kapłan do każdego, podając święty pokarm. „Amen”, odpowiadał przyjmujący głośnym brzmieniem wiary i miłości. Potem rozciągając chustę z białego płótna, dostawał zapas Chleba na drogę żywota, aż do przyszłej uroczystości. Tę chustę złożoną z jaknajwiększym staraniem i uszanowaniem chowano w zanadrzu, często obwiniętą w inną kosztowniejszą materię, lub też w złotej puszcze zamkniętą.

Wtenczas po raz pierwszy Syra uczuła żal po swojej bogato wyszywanej szarfie, któraby oddawna przeszła do ubogich, gdyby jej nie była starannie zachowywała na podobną okoliczność i podobny użytek. Ani też Fabiola nie była w stanie wymódl na niej, aby przyjęła jakiegobądź kosztowności inaczej, jak pod warunkiem, że będzie mogła rozporządzić nimi podług upodobania, na cel dobroczynny.

Wierni porozchodzili się z kościołów przed odkryciem nocnego zamachu, ale na to, aby się zejść w podziemnych cmentarzach. Często schadzki Torkwata z pogańskimi sprzymierzeńcami w łaźni Karakalli strzeżone były z blizka przez kapsariusza i jego żonę, a Wiktoria podsłuchiwała nawet znowę na opanowanie cmentarza Kaliksta nazajutrz po ogłoszeniu edyktu. Chrześcijanie zatem mieli się za bezpiecznych



pierwszego dnia i korzystali z tej okoliczności, aby inaugurować uroczystymi obrzędami kościoły podziemne, które po kilkuletnim opuszczeniu fosforowie przyprowadzili do pierwotnego stanu i porządku. Odmalowano je na nowo w kilku miejscach i opatrzone w wszelkie potrzeby do nabożeństwa.

Lecz Korwin, gdy z pierwszego przestrachu ochłonął, kopię edyktu, chociaż w mniejszych rozmiarach, czym prędzej przybił, i począł przewidywać smutne prawdopodobieństwo ważnych następstw gniewu cesarza.

Dak miał słuszość, odpowiedzialność mogła spaść na Korwiną. Uznał za potrzebne uczynić coś właśnie w tym dniu, aby zmasało niełaskę, na którą zasłużył, przed spotkaniem się znowu z okiem cesarskim.

Postanowił więc przyspieszyć napad na cmentarz, naznaczony na dzień następny.

Udał się więc jeszcze o wczesnej godzinie do łaźni, gdzie Fulwiusz, zawsze czujnie Torkwata strzegący, utrzymywał tegoż w nadziei, iż Korwin przybędzie na naradę. Czcigodna trójka ułożyła swe plany. Korwin wiedziony przez apostatę na czele wyborowego oddziału żołnierzy, miał napaść na cmentarz Kaliksta i wypędzić, albo wyrzucić stamtąd duchowieństwo i znaczniejszych chrześcijan, podczas gdy Fulwiusz, zostając zewnątrz z resztą, miał im odciąć odwrót, biorąc w niewolę najważniejsze osoby, a mianowicie papieża i starszych kapłanów, których mógł poznać, przypatrzwszy się im przy ostatnim poświęceniu.

— Niechaj sobie szaleńcy — mówi do siebie — będą jamnikami pod ziemią, ja będę myśliwym w polu.

Tymczasem Wiktorja, widząc ich narady,

weszła do osobnej sali, gdzie się byli zebrali, i nibyto pilnie uprząając i czyszcząc, wysłuchała, nie budząc ich podejrzania, cały występny ich plan. Powiedziała wszystko Kukumiovi, a on po wielkim łamaniu głowy trafił na doskonały sposób przesłania spiesźnie, gdzie należy, odkrytej wiadomości.

Sebastian po rannym nabożeństwie, nie mogąc dla obowiązków pałacowych udać się w tym samym dniu na drugie zgromadzenie wiernych, przyszedł, zwyczajem prawie powszechnym, do kąpieli, nie tylko w celu wzmocnienia członków rzeźwiącą świeżością wody, lecz także, aby oddalić od siebie wszelkie podejrzenie.

Podczas kąpieli Sebastiana stary *capsararius*, jak się sam przeważał w swym przedśmiertym napisie grobowym, spisał na kawałku pergaminu wszystko co tylko żona słyszała o zamiarze natychmiastowego napadu na podziemne cmentarze i osobę Ojca świętego i przypiął szpilką czy igłą do sukni Sebastiana, której podczas kąpieli pilnował, nie mogąc mówić w obecności innych osób.

Sebastian po kąpieli poszedł do sali, gdzie rozmawiano o wypadkach rannych i gdzie Fulwiusz oczekiwał na znak Korwina, iż wszystko gotowe. Znudzony niedorzeczną rozmową, wyszedł ku górze Palatyńskiej, i czując, że go coś po piersiach kłuje, znalazł pod tuniką przypięte pismo. Skreślone było łaciną, mniej więcej tak klasyczną, jak znany nam napis grobowy Kukumiona, lecz ostrzeżenie było dosyć ważne, aby zwrócić kroki Sebastiana ku drodze Appijskiej dla zanieśienia wiadomości braciom w cmentarzach zgromadzonym.

Znalazłszy jednak zwinniejszego od siebie



i bezpieczniejszego posłańca w osobie biednej ślepej dziewczyny, na którą nikt nie zważał, zatrzymał ją, oddał pismo, dodawszy kilka słów atramentem i piórem, jakie miał przy sobie, i kazał odnieść na miejsce jak najprędzej. Istotnie, zaledwie opuścił łaźnię, gdy Fulwiusz odebrał wiadomość, że Korwin i jego zgraja spieszą o tym czasie przez pola w celu uniknienia podejrzeń do miejsca wiadomego. Wsiadł natychmiast na koń i jechał gościńcem właśnie w ten czas, gdy żołnierz rozmawiał ze ślepą posłanniczką.

Gdyśmy towarzyszyli fossorom do katakumb, nie doszliśmy do podziemnego kościoła dlatego, iż Sewerus nie dowierzał Torkwatowi. Tam było teraz zgromadzenie wiernych pod przewodem głowy Kościoła.

Choć to miejsce nazywamy kościołem, było to pomieszczenie podobne wszystkim innym wyżej opisanym.

Czytelnik niech sobie wyobrazi dwie komory czy kaplice, naprzeciwko siebie po prawej i po lewej podziemnego korytarza, mające przeciwległe nie drzwi, lecz obszerne arkady wchodowe. W głębi jednej z tych kaplic jest grób-ołtarz. W jednym oddziale prawdopodobnie zgromadzali się mężczyźni pod dozorem furtianów, a w drugim niewiasty pod dozorem diakonisek.

Tego rozdziału między mężczyznami a kobietami pilnie strzeżono w początkach Kościoła.

Często tym podziemnym kościołom nie zbywało na architektonicznych ozdobach. Mury szczególnie w pobliżu ołtarza były sztukaterią powleczone i malowane, a półkolumny z podstawami i kapitelami, kształtnie wykute z pia-

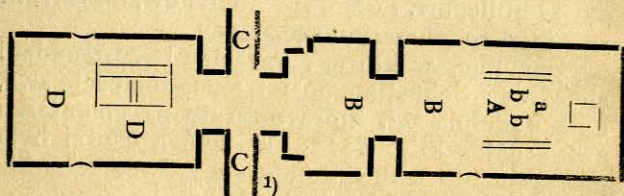
skowca przegradzały różne części kościoła i wejście zdobyły. W głównej bazylice, odkrytej w cmentarzu św. Kaliksta, znajduje się komora, połączona z kościołem zapomocą akustycznego otworu w kształcie lejka, przechodzącego przez ścianę, o grubości 12 stóp i wychodzącego ukośnie na kościół, nieco niżej od rzeczonyj komory położony, w wysokości nad posadzką kościoła 5 do 6 ciu stóp, tak że osoby będące w komorze, mogły słyszeć wszystko, nic zaś nie widziały, co się działo w kościele. Prawdopodobnie było to miejsce dla pokutujących publicznie, i dla katechumenów, do Chrztu św. jeszcze nieprzypuszczonych.

Bazylika, w której chrześcijanie zgromadzili się, kiedy Sebastian posłał z wiadomością swą, była podobną tej, którą odkryto na cmentarzu św. Agnieszki. Każda z dwóch części była podwójną, to jest składała się z dwóch obszernych pokoi czyli kaplic, zaledwie między sobą oznaczonych półkolumnami w części, którą nazwać można kościołem kobiecym, a płaskimi filarami w części, którą nazwiemy kościołem męskim, z małą framugą w jednym filarze dla umieszczenia lampy lub obrazka. Charakterystycznym rysem tej bazyliki jest przedłużenie jednej części w kształcie chóru, czyli dzisiejszego prezbiterium. Prezbiterium, o połowę mniejsze od każdej z czterech kaplic, odznaczone jest dwiema kolumnami od frontu i niższym sklepieniem. W głębi chóru, naprzeciw arkady wchodowej, tyłem od ołtarza, jest krzesło z poręczami ze skały wykute, a po każdej stronie tego tronu także kamienna ława wzdłuż ścian od ołtarza ku wchodowi. Ponieważ mensa ołtarza stoi wyżej od tylnej poręczy krzesła, a krzesło jest nieruchome, ofiary



świętej nie odprawiano na grobie ołtarza we framudze, lecz na przenośnym ołtarzu przed krzesłem czyli tronem na środku przybytku, a tym przenośnym ołtarzem był drewniany ołtarz św. Piotra.

Wszystkie stare bazyliki rzymskie, stawiane po Konstantynie, są dotąd na ten sposób urządzone; tron biskupi na środku chóru, ławki dla księży po dwóch stronach, a mensa między tronem a ludem. W katakumbach początek tego stylu.



1) Plan podziemnego kościoła w cmentarzu św. Agnieszki.

A. Chór z biskupim krzesłem (a) i ławkami dla kleru (bb).

B. Oddział dla mężczyzn odznaczony od chóru dwiema kolumnami podpierającymi sklepienie.

C. Krużganek katakumby, skąd wejście do kościoła.

D. Oddział czyli kaplica dla kobiet wraz z grobowcem.

Każda część jest oddzielona od drugiej płaskimi filarami.

W takiej to bazylice wierni zgromadzili się, gdy Korwin i jego siepacze przybyli do drzwi cmentarza, skąd droga, którą znał Torkwat, prowadziła na dół po schodach do wchodu, zamaskowanego zwaliskami starego budynku i kupami faszyny.

Tu się podzielili. Fulwiusz na czele oddziału 10-ciu czy 12-tu ludzi stanął na czatach u wchodu, aby zatrzymać każdego, coby chciał

wyść albo wejść. Korwinus z Torkwatem i mniejszym oddziałem, z 8-miu ludzi złożonym gotował się do zejścia.

— Ja nie lubię tej podziemnej roboty — mówił stary, siwobrody legionista. Jestem żołnierzem nie do łapania szczurów: niech mi przyprowadzą, kogo chcą, na dzienne światło, a będę walczył ramię w ramię i noga w nogę; ale nie chcę być zaduszonym lub zatrutym jak kret w jamie.

Mowa ta trafiła do przekonania żołnierzy. Jeden powiedział:

— Tam w dole może być ukrytych kilkaset chrześcijan, a nas mało co więcej nad pół tuzina.

— Nie za taką robotę nam płacą — dodał inny.

— Mnie chodzi o ich czary — mówił dalej trzeci — a nie o ich męstwo.

Trzeba było całej wymowy Fulwiusza, aby zachęcić żołnierzy. Zapewnił, że się nie mają czego obawiać, że trwożliwi chrześcijanie będą uciekali przed nimi, jak zające, i że znajdą w kościołach więcej złota i srebra, niż całoroczny żółd. Tak namówieni, ruszyli wreszcie po schodach. Wkrótce zaczęły się im ukazywać tu i ówdzie blade światełka, wielkim oddaleniem zamglone, a przez to samo dające przerażającą miarę głębi i przestrzeni tych pieczar.

— Hej! — rzekł jeden — słuchajcie!

Głos dochodził z dołu oddaleniem przytłumiony, lecz nie bojaźnią; były to dźwięki świeżego, młodzieńczego głosu, tak czyste, iż nawet słowa można było rozeznaczyć, gdy zanucił następującą pieśń:

„Pan oświecenie moje i zbawienie moje; ko-



goż się będę bał?" „Pan obrońca życia mego—  
czymże się zatrwożę?"

Potem następował cały chór głosów, podobny do szmeru tysiącznych fal:

*Podczas gdy się gotują wrogi, by pożerać  
me ciało; oni co mnie męczą, sami zostali po-  
bici — i zginęli".*

Wstyd z gniewem pomieszany opanował napastników, gdy usłyszeli te słowa spokojnej ufności i odwagi.

Pojedynczy znowu głos dalej śpiewał, ale nie ten sam i brzmieniem mniej silnym:

*„Chociażby obozy przeciw mnie stanęły, serce  
moje nie ulęknie się".*

— Zdaje mi się, iż znam ten głos — zamruczał Korwin. — Poznałbym go z pomiędzy tyśiąca. To dla mnie trucizna, przyczyna przekleństw całej zesłej nocy i dzisiejszych trudów. To głos Pankracjusza, który zdał edykt.

— Ale — odrzekł jeden — zapalmy pochodnie.

— Słuchajcie — rzekł drugi, gdy byli zajęci zapalaniem — co to za dziwny hałas, jak gdyby ktoś drapał i bił młotem w oddaleniu? Słyszę to już od jakiegoś czasu!

— I patrz — dodał trzeci — światła w oddaleniu zniknęły, a śpiew ustał. Jesteśmy z pewnością odkryci.

— Niema niebezpieczeństwa — rzekł Torkwatus, występując z odwagą, której w sobie nie miał. — Ten hałas pochodzi jedynie od tych starych kretów fossorów, Diogenesa z synami; oni właśnie kują groby dla chrześcijan, którzy naszej wyprawy ofiarą paść mają.

Torkwatus napróżno radził żołnierzom, aby nie przynosili pochodni, ale raczej kaganki, albo woskowe świece i sam miał taką. Lecz żoł-

nierze przysięgali się, iż nie zejda na dół bez dobrego światła, a nie z takim, któreby od przeciagu wiatru lub trącenia ręki zgasać mogło. Skutki wkrótce dały się poznać. — W miarę jak szli naprzód cicho i ostrożnie wzdłuż długiej a wąskiej galerii, smolne pochodnie trzeszczały i świeciły płomieniem gorącym, który ich parzył, a gęsty smolny dym, odbijając się od sklepienia, dusił i oślepiał idących.

Torkwat prowadził zadymiony bufięc, rachując przecznice podług notatek swoich; wszystkie jednak znaczki na miejscu zostawione zastał starannie usunięte, a doszedłszy do połowy naliczonych przecznic, trafił na nieprzebyte zwaliska. Drogi już nie było. Nie wiedział niczemnik, że bystrzejsze niż jego oczy były na straży.

Sewerus nie ustał w czujności ani na chwilę, spodziewając się zdrady i napadu. Był na schodach, gdy żołnierze byli u wejścia, i pobiegł jak strzała na miejsce, gdzie był i gdzie miał na pogotowiu brata i kilku silnych fossorów. W okamgnieniu z tą milczącą szybkością, do której byli wprawni, wzięli się do roboty, zasypując korytarz piaskiem i zawałając kawałami piaskowca, od niskiego sklepienia za każdym uderzeniem kilofu odpadającymi. Za tym murem stali i zaledwo tłumili śmiech, słysząc tuż blisko siebie nieprzyjaciela tak walnie oszukanego. Ta to robota fossorów zasłoniła dolne światło i śpiewy, a po kilku z góry uderzeniach w skałę ustała.

Torkwat stracił głowę, a wybuch przekleństwa nie zmniejszył kłopotu ani grózb, które spadały na niego jako na głupca i zdrajcę.

— Zatrzymajcie się chwilę, zaklinam was — mówił — być może, żem się zmylił w wyra-



chowaniu. Pamiętam właściwą drogę, po wydatnym grobowcu, o kilka stóp od drogi w jednej przecznicy, tylko pozwólcie, że nawrócę i zajrzę do ostatnich przecznicy.

To powiedziawszy wbiegł do jednej przecznicy na lewo od schodów i znikł zupełnie. Tak prędko, że towarzysze choć się zwrócili za nim do progu tej przecznicy, nie wiedzieli co się stało z jego świecą i z nim samym.

— Już dosyć takiej roboty — powiedzieli — albo Torkwatus zdrajca, albo czary go porwały.

Znużeni, poparzeni, na pół uduszeni w ciasnocie, dymie i gorącu, osmoleni, oślepieni, zastydzeni i zaleknieni, zwrócili ku wchodowi, a w odwrocie mając prostą drogę do góry przed sobą, ciskali nieznosne pochodnie w boczne korytarze, w lewo i w prawo, a gdy który odwrócił głowę, widział za sobą jakby tryumfalną illuminację; buchające z pieczar płomienie szkarłatem płowy piaskowiec rumieniły, a kłęby dymu wisiały pod sklepieniem jamy, jak bursztyńowe obłoki. Gładkie marmurowe na grobowcach płyty, żółte lub czarne podług swej barwy, odbijając nieznane w katakumbach światło, błyszczwały na szkarłacie jak blachy złote lub srebrne. Takim tryumfem pierwszy dzień prześladowania i męczeństwa uczcili sami poganie!

Pochodnie zniszczenia posłużyły do opromienienia pomników tej cnoty, której piekło nie przemoże i którą Pan każdego czasu wskrzesić potrafi na zbawienie Kościoła swego!

Lecz zanim oszukana zgraja doszła do otworu, cofnąć się jeszcze musiała na widok dziwnego zjawiska. Wydało im się naprzód, że mają już dziwne światło przed sobą, ale po

chwili poznali odbłask lampy, którą trzymała nieruchoma figura ciemno udrapowana, jak brązowe posągi z białymi marmurowymi głowami i rękami, co aż dreszczem przejmują, tak do osób żywych podobne.

— Co to jest? Co to być może? — szeptali żołnierze do siebie.

— Czarownica — powiedział jeden.

— Duch stróż podziemi — powiedział drugi.

— Widmo! — powiedział trzeci.

Gdy po cichu szli z bojażnią naprzód; osoba ta nie zdawała się na nich uważać. W nieruchomym oku nie było wejrzenia. Postać stała niewzruszona. Nakoniec dwóch się odważyło przystąpić i wziąć ją za ręce.

— Kto jesteś? — zawołał rozzłoszczony Korwin.

— Chrześcijanka — odpowiedziała Cecylia z swoją zwyczajną spokojnością.

— Bierzcie ją! Przecie choć jedna odpowie za orzukanie nasze.

## ROZDZIAŁ XVII.

### Pierwszy kwiat.

Cecylia, ostrzeżona przez Sebastiana, weszła do katakumb innych, lecz od głównego niedalekim wchodem, i zaraz poczuła silny swąd pochodni.

— Nie nasze to kadzidło — rzekła sama do siebie; — nieprzyjaciół już jest wewnątrz.

Pospieszyła więc do kościoła i oddała kartkę Sebastiana, opowiadając co sama uważała. List ten ostrzegał wiernych, aby się rozproszyli i szukali schronienia w dalszych kryjów-



kach i niższych piętrach podziemnych cmentarzy; zaklinał przytem Sebastian papieża, by nie wychodził, póki by on po niego nie przysłał, ponieważ na głowę Kościoła nieprzyjaciół z szczególną natarczywością się gotuje. Pankracjusz zaś naglił ślepą posłanniczkę, aby siebie także ratowała.

Nie — odpowiedziała Cecylia — powinienam drzwi pilnować i przeprowadzić wiernych przez nieznane im korytarze.

— Lecz nieprzyjaciół może cię pochwycić.

— Mniejsza o to, jeżeli ta mała strata zabezpieczy daleko potrzebniejsze osoby. Daj mi lampę, Pankracjuszu.

— Po co, kiedy i tak nic nie zobaczysz? — uśmiechnął się Pankracjusz.

— Nie ja, ale kto inny.

— Może właśnie wróg.

— Chociażby; nie chcę być w ciemności. Jeśli mój Oblubieniec ma przyjść do mnie wśród ciemności tego cmentarza, czyż nie lepiej, aby mnie zastał z lampą zaświeconą?

I poszła na stanowisko swoje przed chwilą odwrotu napastników, i stała w framudze bliskiej drzwi wchodowych; a potem słysząc ciche stąpanie, myśląc, że swoi, podniosła im lampę, aby im poświecić. Tam ją napotkał hufiec Korwina.

Gdy rycerze wyszli z podziemi z jedną branką, Fulwiusz wściekał się od złości. Nic nie dowiedzieli, śmiechem się okryli — biedną czarną mysz z wnętrza ziemi wyprowadzili. Fulwiusz gorzko szydził z Korwina. Korwin żył się i pisał.

— A gdzież Torkwatus? — nagle zapytał Fulwiusz.

W odpowiedzi musiał wysłuchać z wielkim

unudzeniem tysiączne niedorzeczności o jego zniknięciu, podobne do przygód dackiego żołnierza. Nabył jednak przekonania, że go Torkwatus, mniemana ofiara, oszukał i schronił się w nieprzeliczone kryjówki cmentarza.

Gdyby tak było, zabrana dziewczyna znać je musi; i postanowił wybadać ją. Stał więc przed Cecylią, przybrał najprzenikliwszą i najuroczystsza minę i rzekł ostro:

— Patrz na mnie, kobieto, i mów prawdę!

— Muszę prawdę mówić, choć nie patrząc na ciebie, panie — rzekła biedna dziewczyna z najweselszym uśmiechem i najśłodszym głosem — czy nie widzisz, że ślepa?

— Ślepa! — zawołali wszyscy razem, cisnąc się, aby się przypatrzeć. A na twarzy Fulwiusza dało się poznać lekkie wzruszenie. Jak kiedy majowy wietrzyk poruszy trawki na łące, tak nieznaczne na zewnątrz było to wzruszenie; lecz niemało się nikczemnik ucieszył. Trafiał na domysł — nitkę do ważnego kłębka miał w ręku.

— Śmiesznieby było — rzekł — żeby dwudziestu żołnierzy prowadziło przez miasto ślepa dziewczynę. Wróćcie na swoje miejsce, a ja się postaram, byście dobrą nagrodę otrzymali. Ty, Korwinie, weź mego konia i jedź naprzód do ojca, aby mu o wszystkim donieść. Ja pojedę wozem z branką.

— Tylko bez zdrady, Fulwiuszu! — rzekł syn prefekta, upokorzony i drżący od złości — pamiętaj, żebyś ją dostawił. Dzień nie może się skończyć bez jednej przynajmniej ofiary.

— Nie obawiaj się — odpowiedział.

Fulwiusz tymczasem namyślał się, czyby straconego szpiega nie mógł zastąpić branką. Lecz ze spokojną słodyczą biednej żebraczki



trudniej mu było, jak z gwałtowną gorliwością gracza, a jej nieruchome oczy więcej w nim wzbudzały niedowierzania, niż latające żrenice pijaka. Wszakże pierwszy zamysł, na widok Cecylii powzięty, mógł skutecznym być sam na sam będąc w powozie. Przybrał słodki głos i wszczął rozmowę, widząc, że nie słyszała, co mówił z Korwinem.

— Moja biedna dziewczyno — rzekł — jak dawno ociemniała?

— Całe życie byłam ciemną.

— Jaka jest historia twego życia? Skąd jesteś?

— Nie mam żadnej historii. Moi rodzice, gdy miałam cztery lata, przyprowadzili mnie do Rzymu dla spełnienia ślubu, w ciężkiej mojej chorobie uczynionego, którym mnie ofiarowali do grobów śś. męczenników Chryzanta i Darii. Powierzili mnie pieczy bogobojnej, chrolej kobiety u drzwi kościoła Fascioli i poszli się modlić. Było to właśnie tego pamiętnego dnia, szczęśliwego i dla moich rodziców, kiedy tyle wiernych u grobów śś. Chryzanta i Darii zgromadzonych oddało swe życie dla Chrystusa Pana.

Fulwiusz zżymnął się niecierpliwie. Mało go właściwie obchodziły losy niewidomej. Pilno mu było dowiedzieć się czegoś dokładnego o zamożnych chrześcijanach, których zadenuncjowanie dawało zyski z konfiskaty majątku oskarżonych.

— Kto się tobą opiekował, jak rodziców zabrakło? — zadał więc pytanie w nadziei, że usłyszysz w odpowiedzi imię jednej z osób pożądaných.

Ale Cecylia odparła z prostotą:

— Różni dobrzy ludzie z łaski Boga nie pozwolili mi zginąć z głodu.

Fulwiusza ogarniał gniew coraz większy, bo na wszystkie podstępne pytania Cycylia odpowiadała spokojnie i treściwie, ale tak ogólnie, że żądanych informacji nie mógł z niej wydobyć.

A gdy po parokrotnych próbach przekonał się, iż niczego się od niewidomej nie dowie, przekazał ją sądowi.

Cycylia, stawiona przed sądem, nie zmieniła swego postępowania. Mówiła prosto, bez wykrętów przyznawała się, iż jest chrześcijanką — lecz na pytania zadawane odpowiadała ostrożnie, nie oszczędzając siebie nie chciała jednak nikogo narazić.

Sędzia, straciwszy nadzieję wydobyć z niewidomej pożądaných zeznań, pragnął choć nakłonić Cycylię do złożenia ofiary na ołtarzu bogom pogańskim i w tym celu usiłował skłonić ją do tego kroku obietnicą nagrody pieniężnej oraz różnych darów.

Na niewidomej nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia i odpowiedziała z tą samą prostotą:

— Pienędzy nie pożądam. Dziękuję Bogu, że jestem uboga, bo w ten sposób więcej jestem podobną Jezusowi Chrystusowi, memu jedynemu Oblubieńcowi.

— Głupia dziewczyno! — przerwał sędzia, tracąc cierpliwość: — Już się nauczyła tych mów szalonych? Przynajmniej nie możesz dziękować Bogu twemu, że cię uczynił ślepą.

— Za to najbardziej dziękuję Mu codzień i co godzina całym sercem.

— Jakto, uważasz za szczęście nigdy nie widzieć ludzkiej twarzy, lub słońca, lub ziemi? Cóż za szczególne wyobrażenie.

— Nic szczególnego, szlachetny panie, gdyż



wśród tego, co nazywasz ciemnością, ja widzę światło. Inaczej wyrazić się nie umiem. Jest to światło dla mnie słońcem, z tą jednak różnicą, że wasze słońce na pewnym punkcie panuje, a moje słońce ciągle jest ze mną i patrzy na mnie obliczem niewypowiedzianej piękności, i uśmiecha się do mnie. A ja wiem, że to jest Ten, który jest i którego ja kocham miłością bez granic. Nigdybym nie chciała, aby blask innego słońca przyćmił wzrok mej duszy, lub odwrócił od nieskończonej piękności pstrokacizną ziemskich widoków. Kocham Go jedynie i Jego jednego widzieć po wszystkie wieki pragnę.

— Stój! Stój! dosyć tego niedorzecznego paplania. Usłuchaj odrazu woli cesarzów, albo będę musiał spróbować innego sposobu. Trochę bólu zaraz temu poradzi.

— Bólu? — odezwiała się, jak gdyby nie wiedziała co to ból.

— Tak jest, bólu. Czy cię nigdy nic nie bolało?

— O nie! Chrześcijanie nigdy nikomu bólu nie zadają.

Rusztowanie męczeńskie stało, jak zawsze, gotowe; uczynił więc sędzia znak Katulusowi, aby Cecylię położył. Oprawca, wzięwszy za ramiona nie stawiającą oporu dziewczynę, z łatwością rozciągnął na drewnianym łożu, nogi w okamgnieniu postronkami powiązano koło kostek, ręce wyciągnięto nad głową i przywiązano. Końce postronków przymocowano do kół, mających na rozkaz członki rozciągać. Biedna ślepa nie domyślała się wcale, kto to wszystko robi, myślała, że ten sam, który jej pytania zadaje. Jeśli dotąd panowało milczenie,

teraz wszyscy oddech zatrzymali, a Cyncyli usta poruszały się w gorącej modlitwie.

— Raz jeszcze, zanim dalej pójdziemy, wzywam cię, abyś bogom ofiarę złożyła i srogich mąk uniknęła — rzekł sędzia ponurym głosem.

— Ani męki, ani śmierć — stanowczo powiedziała ofiara — nie zdołają mnie pozbawić miłości Chrystusa. Nie mogę składać ofiary, tylko żywemu Bogu, a tą ofiarą jestem ja sama.

Kat korbą ruch nadał łożu tortury. Koła obróciły się raz jeden, srogi ból zadając, lecz członki ze stawów jeszcze nie wyszły, co dopiero za drugim szarpnięciem miało nastąpić. Cichość i niewidomość w ciemności, co się dzieje, cierpienie jeszcze sroższym czynić musiały, lecz drżenie i bladeść jedynym były wyrazem cierpienia.

— Ha! ha! — zawołał sędzia — czujesz teraz? Stój niechaj się na tym skończy; usłuchaj, a będziesz wolna.

Zdała się nie zważać na jego słowa, lecz w modlitwie duszę krzepiła.

— Dziękuję Ci, o Panie Jezu Chryste, żeś mi dał poraz pierwszy cierpieć za Ciebie. Kochałam Cię w zdrowiu, kochałam Cię w radości, a teraz w cierpieniu kocham Cię jeszcze więcej. O, ile rozkoszniej jest być z Tobą rozciągniętą na krzyżu Twoim; niż nawet żyć podobnie do Ciebie w największym ubóstwie.

— Żartujesz ze mnie — zawołał sędzia rozniewany — i lekce sobie ważysz moje pobłażanie. Spróbujemy czegoś ostrzejszego. Katulusie, przyłóż zapaloną pochodnię do jej boków.

Dreszcz, oburzenie i odraz przebiegły po całym zgromadzeniu, które się nie mogło obronić od współczucia dla biednej i ślepej dziewcz-



czyny. Szmer tłumionego oburzenia i głosy li-  
tości dały się słyszeć ze wszystkich stron sali.

Cycylia dopiero teraz zrozumiała że jest  
wśród liczego zgromadzenia. Rumieniec skrom-  
ności okrył jej czoło, lica i szyję dotąd mar-  
murowej białości. Gniewny sędzia uciszył pow-  
stające głosy i wszyscy słuchali w milczeniu,  
gdy znowu przemówiła goręcej niż wprzód:

— O mój drogi Panie i Oblubieńcze! By-  
łam Tobie zawsze wierna! Pragnę cierpieć  
i ból i męki za Ciebie; lecz nie dozwól mi  
wstydić się przed oczami ludzkimi. Pozwól,  
abym odrazu do Ciebie się przeniosła nie do-  
puszczaj, abym zawstydzona przed Tobą stanęła.  
Szmer politowania znowu dał się słyszeć.

— Katulusie! — zawołał rozjuszony sędzia —  
czyń swoją powinność; co się tak z tą pochod-  
nią ociągasz?

Kat przybliżył się i wyciągnął rękę, aby  
rozebrać z sukni dziewczynę, lecz cofnął się  
i wracając do prefekta, zawołał miększym  
głosem:

— Zapóźno! Umarła!...

— Umarła! — krzyknął Tertulus — umarła  
za jednym obrotem koła? Nie może być!

Katulus odwiódł koła w tył, a ciało pozo-  
stało nieruchome.

Stało się! Przeszła z tortury na tron, od  
rozzłoszczonego oblicza sędziego do radosnych  
uściśnień Oblubieńca.

Może duszę swą czystą wyzionęła, jak wonne  
kadzidło w żarze modlitwy, lub może serce jej  
nie zdołało przywołać napowrót krwi zbiegłej  
w gorący rumieniec dziewczęcego wstydu.

Wśród niemego przerażenia i podziwu  
dźwięczny śmiały głos zawołał z zewnątrz  
z grupy drzwi blizkiej:

— Bezbożny tyranie, czy nie wiesz, że  
biedna ślepa chrześcijanka więcej ma władzy  
nad życiem i śmiercią niż ty, lub twoi srodzy  
panowie?

— Co! Po raz trzeci w dwudziestu czte-  
rech godzinach będziesz mi śmiał w drogę za-  
chodzić? Tym razem nie uciekniesz.

Te słowa wykrzyknął Korwin, przydając  
wściekle przekleństwo i rzucając się od boku  
ojca między zgromadzony lud kratkami od try-  
bunału przegrodzony. Lecz gdy w ślepej złości  
nogi go słuchać nie chciały, uderzył o oficera  
herkulesowej budowy, który zapewne przy-  
padkowo szedł w tę stronę. Zachwiał się Kor-  
win, a żołnierz go pochwycił, mówiąc:

— Nic sobie nie zrobiłeś, spodziewam się,  
Korwinie?

— Nie, nie, puszczaj mnie, Kwadracie, puszc-  
zaj mnie.

— Gdzie biegiesz z takim pośpiechem?  
Czy ci nie mogę pomóc? — pytał natrętny  
trzymając go ciągle.

— Puszczaj mnie, mówię ci, albo uciekniesz!

— Kto ucieknie?

— Pankracjusz — ryknął Korwin. — Nie  
słyszałeś jak lżył ojca mego?

— Pankracjusz! — jęknął Kwadratus ogła-  
dając się wkoło i widząc, że chłopca już ni-  
gdzie nie widać. — Nie widzę go. — I puścił  
Korwiną; lecz już było zapóźno. Pankracjusz  
siedział spokojnie u Diogenesa na Suburze.

Gdy się ta scena odbywała, prefekt upo-  
korzony kazał Katulusowi, aby ciało rzucone  
zostało do Tybru. Lecz inny oficer płaszczem  
odziany postąpił na bok i skinął na Katulusa,  
który zrozumiał znak, i wyciągnął rękę dla  
odebrania podanej sakiewki.



- Za bramą Kapeną, w willi Lucyny, w godzinę po zachodzie słońca — rzekł Sebastian.  
 — Będzie dostawiona — rzekł kat.  
 — Z czego, myślisz, umarła ta biedna dziewczyna? — zapytał wychodząc jeden z widzów swego towarzysza.  
 — Z przestachu, zdaje mi się.  
 — Z chrześcijańskiego wstydu — dorzucił, przechodząc, nieznajomy.

## ROZDZIAŁ XVIII.

### Nagroda.

Prefekt miasta szedł zdać sprawę z wypadków dziennych, o ile możliwości tłumaczyć i uniewinniając niegodziwego syna. Zastał cesarza w najgorszym usposobieniu. Gdyby Korwin był mu się pokazał na początku dnia, niktby nie ręczył za jego głowę. A teraz niepowodzenie wyprawy cmentarnej rozbudziło gniew tyrana, gdy Tertulus wszedł do sali posłuchania. Sebastian był na straży.

— Gdzie twój syn — było pierwszym pytaniem na powitanie.

— Pokornie oczekuje za drzwiami rozkazów boskości twej, pragnąc ukoić twój boski gniew za zawód, jaki nam fortuna sprawiła, na przekór jego gorliwości.

— Fortuna! — zawołał tyran — fortuna! Zapewne własna jego głupota i tchórzostwo. Piękny początek, naprawdę; lecz będzie miał za to; przyprowadź go!

Nędznik zapłakany i drżący rzucił się do nóg cesarza. Cesarską nogą kopnięty i na środek sali wyrzucony, skulił się ze strachu jak

pies obity. To pobudziło śmiech cesarza i pomogło do złagodzenia gniewu.

— Pójdź ty, psie! Wstań — rzekł — i tłumacz się. Jakim sposobem edykt zniknął?

Korwin opowiedział, jak mógł, historyjkę, która trochę zabawiła cesarza; podobał mu się figiel Korwinowi spleatany. Był to już dobry dla Korwina znak.

— Dobrze! — rzekł nareszcie cesarz — będę łaskawym dla ciebie. Liktory, przystąpcie.

Wyciągnęli siekiery i pokazali, że ostre. Korwin rzucił się znowu plackiem na ziemię i zawołał:

— Daruj mi życie, mam ważne zeznanie do uczynienia, jeśli żyć będę.

— A kto cię chce pozbawić nikczemnego życia? — odrzekł Maksymian. — Liktory, połóżcie siekiery; dla niego różgi dostateczne.

W jednej chwili ręce związane, tunikę zdarło z pleców, różgi posypały się po plecach z mistrzowskim porządkiem. Korwin wiał się i ryczał, a cesarskie „bóstwo” śmiać się raczyło.

Zbity i upokorzony, znów stanąć musiał przed cesarzem.

— Teraz mów, łotrze — rzekł Maksymian — jakie wiadomości masz do udzielenia?

— Wiem, kto zeszłej uocy gwałt popełnił na twoim cesarskim edyktie.

— Któż to był?

— Młodzieniec, imieniem Pankracjusz, którego nóż znalazłem w miejscu, skąd edykt został odcięty.

— A czemuż go nie chwycił i nie oddał pod sąd?

— Dwa razy dzisiaj był prawie w rękach moich, gdyż słyszałem głos jego, lecz zdołał uciec.



— Więc nie dajże mu uciec trzeci raz, albo skórą zapłacisz. Lecz skądże go znasz i nóż jego?

— Był moim współuczniem w szkole Kasjana, który od tego czasu został chrześcijaninem.

— Chrześcijanin śmie być nauczycielem? Poddanych moich przerabiać na nieprzyjaciół państwa i monarchów, i uczyć pogardy dla bogów? Domyślam się, że on namówił tego młodego padalca Pankracjusza, aby zdarł edykt cesarski. Czy wiesz, gdzie się znajduje?

Tak jest: Torkwatus, który się wyrzekł chrześcijańskich zabobonów, powiedział mi gdzie mieszka.

— A kto jest ten Torkwatus?

— Młodzieniec, który przebywał przez czas jakiś u Chromacjusza na wsi z kilkunastu chrześcijanami.

— Jakto, coraz to gorzej. Więc były prefekt także został chrześcijaninem?

Tak jest; mieszka z licznymi zwolennikami tej sekty na wsi w Kampanii.

— Co za zdrada, co za oszukaństwo! Teraz już nie wiem, komu zaufać. Prefekcie, poszlij natychmiast uwięzić tych wszystkich ludzi i nauczyciela i Torkwata.

— Ten już nie jest chrześcijaninem—rzekł sędzia.

— Co mi do tego!—odrzekł cesarz gniewnie—aresztuj tylu, ilu będziesz mógł, bez litości dla nikogo, i dobrze ich ćwicz. rozumiesz mnie? Teraz idźcie wszyscy, czas dla mnie na wieczerzę.

Korwin wrócił do domu i mimo okładów i plastrów, w gorączce, gniewie i bólu przepełdził całą noc, a nazajutrz rano błagał ojca, aby

mu dozwolił należeć do wyprawy do Kampanii, aby tym sposobem mógł naprawić sławę swoją, dogodzić żądzy zemsty i uniknąć szyderstw i obelg, jakimi by go wszyscy w Rzymie niezawodnie dręczyli.

Fulwiusz zaś, zostawiwszy Cecylię w trybunale, spieszył do domu opowiadać, jak za zwyczaj, przygody swoje Eurotasowi. Stary słuchał opowiadania z nieprzebranym złym humorem i rzekł wkońcu zimno:

— Bardzo mało korzyści z tego wszystkiego, Fulwiuszu.

— Żadnej, jak na teraz; lecz piękne widoki na przyszłość przynajmniej.

— Jakto?

— Oto Agnieszka jest w mojej mocy. Upewniłem się, że jest chrześcijanką. Teraz mogę albo pojąć ją, albo zgubić. W każdym razie majątek jej jest moim.

— Trzymaj się drugiej możliwości — rzekł stary z złowieszczą iskrą w oku, lecz twarzy nie zmieniając — sposób krótszy i łatwiejszy.

— Idzie tu o mój honor; nie mogę na to pozwolić, aby się ze mną obchodzono w taki sposób, jakem ci opowiedział.

— Tego obojętności doznałeś już wszakże i masz się za co mścić, a czasu nie trać na głupstwa. Fundusze prawie wyczerpane, a nic nie wpływa. Musisz coś ubić.

— Pewnie, Eurotasie, wolałbyś, żebym bogactwa te mógł zyskać godziwym raczej niż podłym sposobem.

Eurotas uśmiechnął się na tę dziwną myśl.

— Niech będzie, jakim chce, sposobem, byle najpewniejszym i najkrótszym. Znasz nasz układ. Albo ród twój odzyska bogactwa



i świetność, albo zakończy się na tobie. W po-  
dłym ubóstwie ślęczyć mu nie dam.

— Wiem, wiem, i nie potrzebowałbyś mi  
codzień przypominać gorzkich warunków —  
rzekł Fulwiusz. Daj mi czasu dosyć, a wszy-  
stko będzie dobrze.

— Czas będziesz miał, dopóki wszelka na-  
dzieja nie będzie stracona. Sprawa nie w naj-  
świetniejszym położeniu w tej chwili. Lecz  
Fulwiuszu, czas przyszedł, abym ci powiedział,  
kim jestem.

— Jakto, czy nie byłeś wiernym mego ojca  
sługą, którego pieczy syna powierzył?

— Byłem twego ojca starszym bratem, Ful-  
wiuszu i głową rodziny. Miałem jedną tylko  
myśl, jeden cel w życiu: przywrócić domowi  
naszemu tę świetność i wielkość, której go  
niedbalstwo i rozrzutność ojca mego pozbawiły.  
Myśląc, że twój ojciec, a brat mój, większe do-  
działa tego miał zdolności, ustąpiłem mu praw  
moich do zysków pod pewnymi warunkami, z któ-  
rych jednym była wyłączna nad tobą opieka  
i kształcenie umysłu twego. Wiesz, jakem cię  
wyuczył, nigdy nie zważać na środki, byle tyl-  
ko nasze rodowe cele mogły być osiągnięte.

Fulwiusz, z zadziwieniem i głęboką uwagą  
był jakby przykuty do mówiącego.

Ponury starzec wlepił weń oczy natarczy-  
wiej jak zwykle, i mówił dalej:

— Pamiętasz czarną i zawikłaną zbrodnię,  
przez którą zgromadziliśmy w ręce twoje po-  
dzielone szczątki bogactw rodzinnych?

Fulwiusz zakrył twarz rękami i zadrżał, po-  
tem rzekł błagalnie:

— O, miej litość, Eurotasie; na nieba, nie  
wspominaj mi o tym.

— Dobrze więc — odrzekł stary, jak zaw-

szsze niewzruszony — będę zwięzłym. Pamiętaj,  
bratanku, że kto się nie wzdryga przed świet-  
ną przyszłością, mającą być owocem zbrodni,  
nie powinien drżeć na wspomnienie przeszło-  
ści, jaką była zbrodnia przygotowała. Bo przy-  
szłość będzie kiedyś przeszłością. Niechże  
więc nasz układ dalszym postępuje torem, gdyż  
zbrodnia ma swoje prawa i porządek. Natura  
uposażyła cię w wysokim stopniu samolubstwem  
i przebiegłością, mnie zaś dała śmiałość i wyż-  
szość umysłu, niezbędną do użycia tych przy-  
miotów. Losy nasze są wspólne: zбогacimy  
się, lub umrzemy razem.

Fulwiusz przeklinał w sercu dzień, w któ-  
rym przyszedł do Rzymu, a raczej dzień, w któ-  
rym oddał łódź swego żywota tajemniczemu  
sternikowi, z pod którego władzy wydobyć się  
nie mógł. Udał się na łóż z sercem cięższym  
niż kiedykolwiek, gdyż ciemna i groźna przy-  
szłość przeraziła go najbardziej wśród nocy.

Czas powiedzieć, co się stało z trzecim  
członkiem naszej godnej trójki, z odstępca Tor-  
kwatem. Gdy zawstydzony i pomieszany biegł  
szukać grobowca, który miał być wskazówką  
drogi, trafił w korytarzu, do którego wbiegł,  
na dawne zarzucone schody, wykute w kamie-  
niu i prowadzące do niższego piętra cmenta-  
rza. Schody były wydeptane, śliskie i strome.  
Torkwatus trzymając przed sobą światło i pę-  
dząc na oślep, wpadł jak długi w otwór i leżał  
na dnie ogłuszony i bezprzytomny długi czas  
po oddaleniu się towarzyszy.

Gdy nakoniec odzyskał przytomność, przez  
jakiś czas tak mu się w głowie kręciło, że  
długo jeszcze nie mógł się opamiętać. Wstał  
i macał wokoło siebie, aż nareszcie przypom-  
niał sobie, że jest w pieczarach cmentarza; lecz



nie mógł wytłumaczyć sobie, jakim sposobem sam jeden i bez światła. Wtenczas przyszło mu na myśl, że miał przy sobie zapas stoczków i co potrzeba do skrzesania światła. Zapalił świeczkę i ucieszył się światłem. Lecz oddalił się od schodów, z których w to miejsce wpadł, o których był zapomniiał, i szedł coraz dalej, blakając się w podziemnym labiryncie.

Myślał z początku, że trafi do jakiego wyjścia, zanim wyczerpie siły i światło. Lecz stopniowo przejmowała go prawdziwa trwoga. Stoczeki wypalały się jeden po drugim, a siły poczęły omdlewać, gdyż nie jadł od rana i poznawał te same miejsca po kilka razy, a czas mu się już zdawał bardzo długi i widział, że się w tych samych kołach kręci i w przepaść zagłębia, jak niegdyś we śnie z łódką. Z początku niedbale się oglądał wkoło siebie i bez myśli czytał napisy na grobach. Lecz gdy począł słabnąć, a nadzieja ratunku zniknęła, uroczyste pomniki śmierci poczęły przemawiać do duszy jego mową, której nie mógł odepchnąć. „Złożona w spokoju”, brzmiał jeden napis; „spoczywający w Chrystusie”, było na innym grobie; tysiące wiernych wokoło, macierzyńską ręką Kościoła na spoczynek złożonych, a każdy znakiem macierzyńskiej miłości Kościoła Bogu polecony, a wszyscy czekali odgłosu anielskiej trąby, budzącej do szczęśliwego zmartwychwstania. A i on za parę godzin będzie tak jak i oni zmarłym; lecz czy będzie złożony w pokoju przez pobożne ręce, podobnie jak oni? Na zimnym kamieniu, samotny umierać będzie—bez współczucia, nieżałowany, nieznan. Tutaj będzie gnił i rozpadał się w kawałki; a jeśli kiedyś po latach może wielu, kości jego

pozbawione chrześcijańskiego pogrzebu znalezione będą, domyślać się będą przyszłe pokolenia, że te kości są przekłętymi szczątkami zabłąkanego w cmentarzu grzesznika. I będą odrzucone, jak on sam wyrzutkiem jest z pomiędzy wiernych.

Czuł, że śmierć szybko się zbliża; głowa słabła, a serce drżało. Stoczek nie stawało w palcach, złożył więc dopalający się knotek na kamieniu przy sobie. Byłoby światła jeszcze ze trzy minuty, lecz kropla wody wysączyła się ze sklepienia, padła i zgasła. Tak był chciwym tych trzech minut światła, tak mu żal było tych niedopalonych nitek, jako ostatniego związku ze światem, tak pragnął jeszcze raz spojrzeć na zewnątrz, a choć przez tę jedyną chwilę odwrócić wzrok od czarnego widoku wnętrza swej duszy, iż wyciągnął krzemień i stal, i przez kwadrans pracował zimnym potem oblany nad zapaleniem wilgotnego knotu; a gdy nakoniec nitki się zatliły, nie obejrzał się, nie spróbował się ratować, lecz w osłupieniu wlepił oczy w gasnące światło, jakby jego życie razem zagasnąć miało. I wkrótce ostatnia iskra zajaśniała czerwono, jak świętojański robaczek i zgasła.

A on także? Czy zgasł, tak mu się zdawało. I czemu nie? Ciemność zupełna i wieczna otoczyła go. Oderwany na zawsze od obcowania z żyjącymi, usta już nie zakosztują jedła, uszy już nie dosłyszają żadnego dźwięku, oczy nic już nie zobaczą.

Wcielony w towarzystwo zmarłych z tą różnicą, że grób miał o wiele obszerniejszy, lecz zarówno ciemny i pusty i zamknięty na zawsze. Czymże innym jest śmierć? Nie, nie mogła to być śmierć jeszcze. Po śmierci coś innego nastą-



pięby miało. Lecz nawet i to już blisko było. Robak począł toczyć sumienie i wkrótce stał się żmija i cisnął serce strasznymi pierścieniami. Spróbował myśleć o rzeczach wesołych, o spokojnych chwilach w willi z Chromacjuszem i Polikarpem, o ich ojcowskich słowach i ostatnim uściśnieniu. Lecz z pięknego widzenia strzelił błysk przeraźliwy; wszakże on, Torkwat, zdradził wszystkich, zaprzedał ich; komu? Fulwiuszowi i Korwinowi. Straszna drgnęła struna, jak bolejący nerw zęba, bólem swoim odzywający się w mózgu i po całym jestestwie.

Pijaństwo, gra nieuczciwa, podła obluda, szkaradna zdrada, odstępstwo, do nieba wołające świętokradztwa dni ostatnich i morderczy zamach upłynionego poranku zleciały się teraz, tańcząc kołem jak szatany, wrzeszcząc, śmiejąc się, wykrzywiając, płacząc, szydząc, jęcząc i zgrzytając zębami; przed osłabionymi oczami iskry latały i niby się sypały z pochodni tych furii. Czy zakrył rękami i upadł na twarz.

— Być może, żem umarł, bo oto już piekło—rzekł sam do siebie. Wpadł w bezwładną rozpacz; siły opadały, gdy mu się wydało, że słyszy odgłos daleki. Odpędził tę myśl, lecz fala dalekiej nuty znowu ucho uderzyła. Podniósł się; nuta stawała się wyraźniejszą. Tak słodko z innej sfery dolatywała, tak podobnie do chóru anielskich głosów; lecz — kto by był myślał, że niebo jest tak blisko piekła! Albo czy aniołowie towarzyszą straszному sędziemu, który mnie potępić przychodzi?

A teraz słaby promyk światła ukazał się w tej samej stronie, skąd i śpiew i słowa wyraźnie słyhać było:

*W pokoju będę spał i odpoczywał.*

— Te słowa nie są dla mnie. Przystałyby one na pogrzebie męczennika, ale nie potępieńca.

Światło wzmagало się, jak gdyby jutrzienka miała się w jasny dzień rozwidnić i wstąpiło w pieczarę, która miała być grobem Torkwata. Wraz z światłem rozwinął się obraz nadto wyraźny, aby mógł być złudzeniem. Naprzód weszły dziewice, niosące lampy; potem młody akolita Tarczyjusz, niosący kadzielnicę wonną pachnącym dymem, i po innych z duchowieństwa sam Ojciec święty w towarzystwie Reparata i diakonów.

Diogenes i jego synowie z smutnymi twarzami i wielu innych wiernych, pośród których widać było Sebastiana, zamykali pochód. Że wielu niosło kaganki i stoczki, postacie postępowały w jednostajnej i rozświetlonej atmosferze. Przechodząc koło Torkwata, śpiewali wiersz z psalmu: „*Bo Ty, Panie, osobliwie w nadziei utwierdziłeś mię*”.

— To — zawołał, podnosząc się — to jest dla mnie.

Z tą myślą upadł na kolana, jakby z natchnienia łaski; słowa, które pierwaj słyszał, wracały mu się jak echo, słowa zastosowane do tej chwili; słowa, które czuł, że musi mówić. Pełzał naprzód, wycieńczony i słaby, wzdłuż pieczary, w poprzek której procesja przechodziła i obrócił się i postępowal za procesją na pewnej odległości, nie zwracając na siebie uwagi. Weszli do przybytku, który się od światła rozwidnił tak, że obraz Dobrego Pasterza zajaśniał żywo przed Torkwatem. Lecz nie mógł przejść progu, na którym stał, bijąc się w piersi i modląc o przebaczenie.

Ciało złożono na ziemi i inne psalmy i hym-



ny śpiewano i modlitwę odmawiano, wszystko tym rzeźwym tonem i z tą wesołą nadzieją, z jaką Kościół zawsze uroczystość śmierci obchodził. Nareszcie złożono ciało do grobu w tym celu przygotowanego pod arkadą... Gdy się to odbywało, Torkwatus zbliżył się do jednego z widzów i spytał szeptem:

— Czyj to pogrzeb?

— To jest złożenie do grobu—odrzekł—błogosławionej Cecylii, ślepej dziewczycy, która dziś rano wpadła w ręce żołnierzy w tym cmentarzu, i której duszę Bóg zabrał do siebie.

— A ja jestem jej zabójcą—zawołał z krzykiem przerażenia i żalu; chwiejnym krokiem zbliżył się do świętego biskupa i padł do nóg jego.

Chwila upłynęła, zanim zdołał uczucia swoje słowami wytłumaczyć; i oto pierwsze, które potrafił wymówić.

— Ojcze, zgrzeszyłem przed obliczem nieba i nie jestem godzien być zwanym dzieckiem twoim.

Papież podniósł go miłościwie i przycisnął do łona, mówiąc:

— Pożądany powrót twój, synu, ktokolwiek, jesteś, do domu ojca. Aleś słaby i wycieńczony i potrzebujesz spoczynku.

Natychmiast otoczono go troskliwością. Lecz Torkwatus nie spoczął, póki publicznie nie wyznał grzechów swoich, dołączając dzisiejszą zbrodnię; gdyż się to działo wieczór tego samego dnia. Wszyscy się radowali powrotem marnotrawnego syna, odzyskaniem zgubionej owieczki. Agnieszka oderwała ostatnie kochające spojrzenie od całunu ślepej dziewczycy i wzniosła ku niebu, i zdawało jej się, że widzi Cecylię siedzącą u stóp Oblubieńca, uśmie-

chającą się z oczami szeroko otwartymi i rzucającą garść kwiatów na głowę pokutnika, pierwszy owoc wstawienia się jej w niebiesiech.

Diogenes i jego synowie wzięli na siebie staranie o Torkwata. Skromny kącik dano mu w pobliskiej chrześcijańskiej chacie, aby był bezpiecznym od pokusy i od zemsty, i przyjęty został do klasy pokutników, gdzie zadoścuczynienie skrócone za wstawieniem się wyznawców, to jest przyszłych męczenników, przysposobić go miało do odzyskania utraczonych przywilejów.

## ROZDZIAŁ XIX.

### Podwójna zemsta.

Zejsście Sebastiana do katakumb nie tylko miało na celu odprowadzenie do grobu relikwii, pierwszej w tych czasach męczennicy, lecz także naradzenia się z Papieżem Marcellinem względem bezpieczeństwa jego osoby. Życie Papieża było zbyt drogie Kościołowi, aby miało być tak wczesnie poświęcone, a Sebastian wiedział, jak go natarczywie szukano. Torkwatus potwierdził to w zupełności, odkrywając zamiary Fulwiusza i przyczyny, dla których chciał być przytomnym święceniu grudniowemu. Zwyczajne mieszkanie papieskie już nie było bezpieczne; i odważny żołnierz, „protektorem chrześcijan” jednomyślnie zwany, jak się z aktów jego dowiadujemy, śmiało powziął postanowienie umieścić Papieża tam, gdzieby jego bytność najmniej mogła być spodziewana i gdzie o żadnym poszukiwaniu niktby nie marzył, t.j. w samym pałacu Cezarów. Starannie prze-



brany, św. biskup opuścił cmentarz, odprowadzony przez Sebastiana i Kwadrata do mieszkania Ireny, znakomitej chrześcijańskiej matrony, mieszkającej w odległej części Palatynu, gdzie jej mąż piastował pałacowy urząd.

Nazajutrz rano Sebastian widział się z Pankracjuszem.

— Mój chłopcze — rzekł — musisz opuścić Rzym natychmiast i udać się do Kampanii. Konie są gotowe dla ciebie i Kwadrata, i nie ma czasu do stracenia.

— A dlaczego, Sebastianie — odrzekł młodzieniec ze zmartwioną twarzą. — Czym co złego popełnił i czy wątpisz o mojej stałości?

— Ani jedno, ani drugie, zapewniam cię, lecz obiecałeś dać mi się powodować we wszystkim, a nigdy nie było mi potrzebniejsze posłuszeństwo.

— Powiedz mi dlaczego, dobry Sebastianie, proszę cię.

— Musi to być tajemnicą na teraz.

— Jak to, znowu drugą tajemnicą?

— Miej ją za jedną i tę samą, która będzie w swoim czasie odkrytą. Lecz muszę ci powiedzieć, co masz do czynienia, a z tego, zdaje mi się, będziesz zadowolony. Korwin odebrał rozkaz ujęcia Chromacjusza i całego zgromadzenia, jeszcze młodego w wierze, jak nam dowiódł nieszczęśliwy przykład Torkwata; i co gorsza umęczenia twego starego nauczyciela Kassjana srogą śmiercią w Fundi. Trzeba, abyś pospieszył przed jego posłańcem (może sam będzie chciał pójść) i abyś ich ostrzegł.

Twarz Pankracjusza wypogodziła się znowu; widział, że Sebastian pokłada w nim zaufanie.

— Twoje życzenie jest dostateczną dla mnie przyczyną — rzekł z uśmiechem — lecz poszedłbym

na koniec świata, aby ratować mego pocziwego Kassjana i każdego innego brata w Chrystusie.

Wkrótce był gotów; czule pożegnał się z matką i zanim Rzym otrząsł się ze snu, jechał z Kwadratem na silnych koniach, z dobrze opatrzonymi jukami, wzdłuż Kampanii Rzymskiej, aby się dostać do mniej uczęszczanej i bezpieczniejszej Łatyńskiej drogi.

Korwin, postanowiwszy odbyć osobiście morderczą wyprawę, jako zaszczytną, korzystną i przyjemną, odłożył ją na kilka dni, aby plecy mogły nieco przyjść do siebie po wczorajszej bastonadzie, i aby porobić niezbędne przygotowania. Najął wóz i zamówił oddział Numidyjskich jeźdźców, którzyby mogli dotrzymać kroku wozowi w cwał puszczonemu. Lecz go wyprzedzili o dwa dni nasi chrześcijanie, chociaż jechał krótszą i doskonałą Appijską drogą.

Gdy Pankracjusz przybył do willi posagowej, zastał małe zgromadzenie już zaniepokojone wiadomościami o ogłoszeniu edyktu. Przyjęty został serdecznie przez wszystkich; list ostrzegający od Sebastiana odczytano z głębokim uszanowaniem. Modły i narady nastąpiły po przeczytaniu, i rozmaite postanowienia spieszenie a rozważnie powzięto. Markus Marcellinus z ojcem Trankwilinem udali się już byli dawniej do Rzymu. Nikostratus, Zoe i inni wyruszyli teraz do stolicy. Chromacjusz, który nie był przeznaczony do korony męczeńskiej, chociaż wspomina o nim Kościół wraz z synem Tyburcjuszem pod dn. 11 sierpnia, znalazł schronienie w willi Fabioli, od której otrzymał na to pozwolenie, bez wyjawienia przyczyny, dla której pragnął pozostać w okolicy przez jakiś czas jeszcze.



Wkońcu willa posągowa powierzona została pieczy kilku wiernych sług, którym zaufać można było zupełnie.

Dwaj wysłańcy, wypocząwszy dobrze puścili się tą samą drogą, którą Torkwatus niedawno przejeżdżał do Fundi, gdzie się zatrzymali w biednej gospodzie za miastem, na drodze do Rzymu. Pankracjusz wkrótce odszukał dawnego nauczyciela; przywitawszy się czule, błagał go, aby uciekał, lub przynajmniej aby się ukrył.

— Nie — odpowiedział zacny starzec — tak nie będzie. Jestem już stary i przykrzy mi się niewdzięczny zawód. Ja i mój sługa, dwóch nas tylko chrześcijan w tym mieście. Najlepsze rodziny tutejsze przystały wprowadzić dzieci swoje do mej szkoły, bo wiedziały, że będą kształcone moralnie tak, jak tylko bałwochwaltwo życzyć sobie może; lecz nie mam ani jednego przyjaciela między moimi uczniami, z przyczyny właśnie koniecznego względem nich rygoru. A brak im nawet przyrodzonej rzymskich pogan oglady. Nienawidzą nauki i zdaje mi się, że są tacy pomiędzy starszymi, którzyby bez wahania odebrali mi życie, gdyby wiedzieli, że im to ujdzie bezkarnie.

— Jak nieszczęśliwie życie prowadzić, muisz Kassjanie! Żadnego więc na nich nie wywarłeś wpływu?

— Żadnego, lub prawie żadnego, drogi Pankracjuszu. I jakżeby mógł wpływać na nich, zmuszony dawać im czytać niebezpieczne książki, bajek pełne, które składają literaturę rzymską i grecką? Niestety, bardzo mało dokazałem naukami, może śmierć moja skuteczniejsza dla nich będzie?

Pankracjusz widział, że wszystkie namowy próżne; byłby sam chętnie wraz z Kassjanem

dał życie dla Chrystusa, lecz obiecał Sebastianowi nie narażać się w czasie podróży. Postanowił więc pozostać w pobliżu miasta, dopóki się los nauczyciela nie rozstrzygnie.

Korwin przybył z ludźmi swymi do willi Chromacjusza i bardzo rano wpadł nagle przez zamknięte bramy do domu. Zastał wszystko puste. Szukał tu i ówdzie osoby, książki lub znaku zdradzającego chrześcijaństwo. Zawstydzony i znudzony, wyrzwał zewnątrz i spotkawszy sługę pracującego w ogrodzie, zapytał, gdzie pan domu.

— A czy to pan się pyta parobków, dokąd iść ma? — odpowiedział nieogladzoną łaciną ogrodnik.

— Zdaje mi się, że sobie ze mnie żartujesz. Mów zaraz, którą drogą poszedł on i towarzysze jego.

— Przez tę bramę.

— A potem?

— Patrz, tą stroną — odrzekł sługa. — Widzisz bramę? Bardzo dobrze; a dalej nie widzisz. Ja tu pracowałem, widziałem bramę, a więcej nic nie widziałem.

— Kiedy wyszli? Tyle przynajmniej możesz wiedzieć.

— Potem, jak ci dwaj przyszli z Rzymu.

— Jacy dwaj? znowu dwaj, zawsze dwaj.

— Jeden młodziutki, bardzo ładny, śpiewa tak słodko. Drugi gruby, bardzo silny, ach, bardzo. Widzisz to drzewko z korzeniami wyrwane? Wziął je za gałęzie i wyrwał z taką łatwością, jak oto wyjmuję łopatę z ziemi.

— Ci sami właśnie — zawołał Korwin, nową wściekłością przejęty. — Znowu ten przebrzydły malec zepsuł moje plany, zniszczył nadzieje;



niech go tylko dosięgnę, drogo mi za to zapłaci.

Jak tylko trochę wypoczął, puścił się w drogę i umyślił całą wściekłość swoją wylać na dawnego nauczyciela, w razie, jeżeli Pankracjusz, którego uważał za złego ducha swego, i tam go nie wyprzedził. Czas podróży zszedł mu na projektowaniu zemsty na nauczycielu i na współluczniku, i uradowany był, przejeżdżając do Fundi, że jednego nareszcie zastał na miejscu. Pokazał gubernatorowi rozkaz uwięzienia i ukarania Kassjana, jako wielce niebezpiecznego chrześcijanina; lecz urzędnik, człowiek niezły, oświadczył, że zlecenie przechodziło władzę jego w tej sprawie i dał Korwinowi pełnomocnictwo. Ofiarował mu pomoc kata i inne potrzeby, lecz Korwin przywiódł dostateczny oddział zbrojny i kata nie potrzebował. Wziął jednak ze sobą urzędnika dla legalności badania.

Wszedł do szkoły w chwili, gdy była pełna; pozamykał drzwi i zaraz do Kassjana, który go szedł witać z otwartymi rękoma, przemówił ostro, jako do zdrajcy, knującego spiski przeciw państwu i bogom. Po krzyku, jaki powstał pośród rzeszy szkolnej i po twarzach wokoło siebie poznał Korwin, jak wielu było między nimi jemu podobnych—młodych niedźwiadków z sercem hieny.

— Chłopcy! — zawołał Korwin — czy kochacie waszego nauczyciela Kassjana? Był kiedyś także moim nauczycielem i nie mało mu się należy ode mnie.

Nienawistny ókrzyk powstał z ławek.

— A więc mam dobre dla was nowiny; oto jest pozwolenie od boskiego cesarza Maksymiana, abyście z nim uczynili, co wam się podoba.

W okamgnieniu nawał książek, tablic do pisania i innych szkolnych przyborów wymierzono w sędziwego nauczyciela, który stał niewzruszony z założonymi rękami przed prześladowcą. Wtedy zerwano się ze wszech stron w groźnej postawie do napaści z pięściami.

— Czekajcie, czekajcie — zawołał Korwin — trzeba nam porządnie brać się do rzeczy.

Wrócił się myślą do wspomnień własnych słodkich dni szkolnych, do tego czasu wspomnianego przez wielu z sercem, przepelnionym słodkimi wrażeniami, tak rzadkimi w dojrzałym zawodzie. Zapusił się więc we wspomnienia tej rannej epoki życia, w której inni znajdują obraz niesamolubnych, wesołych i szczęśliwych godzin, i pytał pamięci, coby wtenczas było mu największą radość sprawiło, aby tym samym uszczęśliwić pełną nadziei, otaczającą młodzież. Lecz nie przypominał sobie, aby mu cokolwiek tak miłym być mogło, jak oddać nauczycielowi każde karcące uderzenie, i krwią na nim wypisać każde słowo wymówki, które usłyszał. Rozkoszna myśl, teraz mająca przyjść do skutku!

Nie jest wcale naszym zamiarem męczyć miłych czytelników szczegółowym opisem srogich i piekielnych mąk, zadawanych naszym chrześcijańskim przodkom przez pogańskich prześladowców. Mało jest okropniejszych tortur od wycierpianych przez męczennika Kassjana. Związany wśród zgrai okrutnych młodych tygrysów, miał umierać ofiarą dziecinnego, długo pastwiącego się okrucieństwa. Niektórzy, jak powiada chrześcijański poeta Prudencjusz, pisali na nim zadania swoje stalowymi rylcami, używanymi do pisania na tablicach



pokrytych woskiem; inni na rozmaite sposoby zaprawiali przedwczesną srogość, zadając wszelkie rodzaje mąk poszarpanemu ciału nauczyciela. Utrata krwi i srogi ból wyczerpały nareszcie siły, upadł na ziemię i nie miał siły się podnieść. Okrzyk radości powstał, nowe obelgi sypały się i gromada młodych szatanów rozpierzchnęła się, aby zdać sprawę w domu z doskonalej zabawy.

Oddać chrześcijaninowi przyzwolicie ostatnią przysługę nigdy nie przyszło na myśl przesładowcom; i Korwin, który napastł oczy widokiem dokonanej zemsty i popisem okrucieństwa, zostawił konającego człowieka tam, gdzie leżał, dalej się nim nie zajmując. Wierny sługa podniósł wszakże pana i zaniósł na łóżce, i jak było umówionym, dał znać Pankracjuszowi, który wkrótce przybył, a sługa zajął się przygotowaniem do wyjazdu. Pankracjusz był także zgrozą przejęty na widok nauczyciela i na obraz okropnych mąk, które wycierpiał, oraz zbudowany jego cierpliwością. Ani jedno słowo wymówki nie wyszło z ust Kassjana, modlitwa zajmowała wyłącznie jego myśli.

Kassjanus poznał ukochanego ucznia, uśmiechnął się do niego, ścisnął za rękę, lecz mówić nie mógł; przecierpiawszy aż do rana, spokojnie zmarł. Ostatnie obrządki chrześcijańskiego pogrzebu odbyły się skromnie na miejscu, gdyż dom do zmarłego należał, i Pankracjusz wyruszył z tego miejsca z ciężkim sercem i nie-malym oburzeniem przeciw dzikim i bez serca istotom, które brały udział w tym okropnym morderstwie, a zgryzoty nie czuły.

Mylił się wszakże Pankracjusz. Zaledwie zemście zadosyć uczyniono, sam Korwin uczuł brzydotę sromotnego czynu, i bał się ojca swe-

go, który szanował Kassjana, obawiał się gniewu rodziców, których dzieci tak skutecznie zdemoralizował, i przyuczył nie ledwie do ojcobójstwa. Rozkazał, aby konie założono, lecz odpowiedziano mu, że muszą jeszcze parę godzin odpoczywać. Wzmogło się stąd jego niezadowolenie i usiadł przy kielichu, aby zalać troski i czas zabić. Nareszcie wyruszył w podróż i po parogodzinnej jeździe noc go zaszła. Ciężka była od ciągłego deszczu droga, wysadzona drzewami wzdłuż wielkiego kanału, osuszającego bagna Pontyńskie.

Korwin napił się znowu na popasie; rozognionego winem, gniewem i zgryzotami niecierpliwił leniwy krok pomęczonych koni, i począł ciąć niemilosiernie. Tak pobudzone konie usłyszały stąpanie innych koni z tyłu i puściły się naprzód niepowstrzymanym pędem. Numidyjska eskorta pozostała w tyle, a zleknięte bieguny rzuciły się w bok, i przeszły pomiędzy drzewami na wąską ścieżkę nad kanałem; pędziły naprzód, szarpiąc wozem na wszystkie strony niemilosiernie. Inni dwaj jeźdźcy słysząc gwałtowny turkot, brzęk podków i krzyk, ścisnęły konie ostrogami i ruszyli na ratunek. Byli już o kilka tylko kroków, gdy usłyszeli trzask i plusk. Koło uderzyło o pień drzewa, wóz się przewrócił, a napół pijany podróżny wpadł do kanału głową na dół. W jednej chwili Pankracjusz zsiadł z konia i stanął na brzegu z towarzyszem.

Przy słabym świetle wschodzącego księżyca i po głosie poznał młodzieniec Korwina szarpiącego się w błocie. Brzeg nie był wysoki, lecz gliniasta grobla była wilgotna i za każdym razem, co próbował wydrapać się, noga mu się ślizgała i wpadała w większą głębinę. Odrę-



wiały i znużony byłby może na zawsze został w zimnej kąpieli.

— Wartoby go tam zostawić — mruknął ostry centurion.

— Cicho, Kwadracie, jak możesz tak mówić. Podaj mi rękę. Tak — rzekł młodzieniec, schylając się nad brzegiem i chwytając nieprzyjaciela za rękę, gdy właśnie puszczał słaby chwast, za który się był trzymał, i osłabiony, stoczył się w kanał po raz ostatni, ale wyciągnęli go i położyli na drodze w stanie, któryby rozbroił najzaciętszego wroga. Właśnie nacierali mu skronie i ręce cucąc go, gdy eskorta nadjechała. Powierzyli go pieczy tych ludzi wraz z sakiewką, która wypadła z pasa, gdy wyciągali tonącego z kanału. Pankracjusz zatrzymał tylko własny swój nóż, który był wraz z pieniędzmi wypadł, nieustannie noszony w kieszeni Korwina, jako dowód zdarzenia edyktu.

Słudzy powiedzieli Korwinowi, gdy odzyskał przytomność, że go wyciągnęli z wody, lecz że sakiewka musiała zginąć, i dotąd leży niewiedzieć gdzie w błocie. Zanieśli go do pobliskiej chaty i poszli pić za pieniądze Korwina, gdy tymczasem powóz naprawiano a Korwin spał.

Poganim się zemścił i chrześcijanin się zemścił: każdy po swojemu.

## ROZDZIAŁ XX.

### Prace publiczne.

Jeżeli przed edyktem termy Dioklecjana podnosiły się w pocie czoła chrześcijańskich więźniów to liczba więźniów i niezliczone ich cierpienia wielce się wzmożły z wzrastającą gwałtownością dzikiego prześladowania.

Sam cesarz Dioklecjan oczekiwany był na otwarcie upragnionego gmachu i liczba pracowników podwojona była dla spiesniejszego ukończenia. Szeregi mniemanych zbrodniarzy przybywały codziennie z portu Luna, z Sardynii i nawet z Krymu, czyli Chersonesu, gdzie ich używano do roboty w kopalniach i do najcięższych prac inżynierskich. Znosić materiały, piłować i ciosać kamienie i marmur, mieszać wapno, stawiać mury — takie były roboty przeznaczone nieprzyjaciółom bogów, z którymi wielu wcale nieprzywykłych było do ciężkiej, ręcznej pracy. Jedyną nagrodą za trudy była ta, którą odbierali wraz z mułami i wołami, dzielącymi ich pracę. Coś niewiele lepszego, jeśli nawet lepszego od stajni do spania, żywność ledwie wystarczającą do utrzymania sił, odzież źle chroniącą od zimna — oto wszystko, czego im dostarczano. Okowy na nogach, ciężkie łańcuchy dla niedopuszczenia ucieczki wzmagaly ich cierpienia; i dozorców wybierano najdokuczliwszych, pilnowali oni każdego kroku z batem lub kijem w rękę, zawsze gotowi przydać cierpienia do trudów, czy to dla dogodzenia lekkomyślnemu okrucieństwu, czy to dla przypodobania się srogim swym panom.

Lecz chrześcijanie rzymscy mieli szczególne staranie o tych świętych wyznawcach. Diakoni odwiedzali ich, przekupując strażników, a młodzi ludzie śmiało szli między nich, rozdając pożywniejszą strawę lub cieplejszą odzież, przekupując strażników dla zjednania lepszego z ich strony obchodzenia się z więźniami. Wtedy polecali się chrześcijanie ich modlitwom i całowali łańcuchy i rany, które ci święci wyznawcy nosili za Chrystusa.

To zebranie ludzi, skazanych za wierne słu-



zenie niebieskiemu Panu, służyło także dla innego celu. Podobnie jak sadzawka, w której wykwinął Lukullus przechowywał spalone minogi na ucztę, jak klatki z rzadkimi ptakami, jak ogrodzenia, w których spaśne było przechowywano na ofiary lub ucztę cesarską, jak nory w pobliżu amfiteatru, w których trzymano drapieżne zwierzęta dla igrzysk publicznych, tak też właśnie więzienia te były składem, z którego o każdym czasie mogły być dostawione ofiary na krwawą hekatombę, do ulubionych ludowych widowisk z okoliczności jakiegobądź uroczystości publicznej, składem żywności dla drapieżnych zwierząt, ile razy podobny im lud krwi zapragnął.

Podobna okoliczność zbliżyła się teraz. Prześladowanie zaczęło się niepomysłnie. Żadnej znacniejszej osoby dotąd nie schwytano; niepowodzenia pierwszego dnia nie były dotąd zupełnie wynagrodzone i wyglądzano czegoś niepowszedniego i większego. Lud upominał się o igrzyska, a zbliżający się dzień urodzin cesarskich nasunął sposobność zadosyćczynienia temu życzeniu. Dzikie zwierzęta, które Sebastian i Pankracjusz z pałacu cesarskiego byli słyszeli, ryczały jeszcze, upominając się o należną im pastwę. Zdawało się, jakby same zwierzęta rozumiały, iż przywilej pożerania chrześcijan z prawa im przysługuje.

Jednego południa, ku końcowi grudnia, Korwin udał się do łaźni Dioklecjana w towarzystwie Katulusa, który się umiał poznać na kandydatach do amfiteatru, tak jak kupiec bydlę wybiera na jarmarku. Zawołał Rabiriusza, głównego dozorcę robót publicznych, i powiedział:

— Rabiriuszu! Przyszedłem z rozkazu ce-

sarza wybrać pewną liczbę występnych chrześcijan, pod twoją strażą zostających, aby mieli zaszczyt walczyć w amfiteatrze z okoliczności zbliżającego się święta.

— Doprawdy—odrzekł urzędnik—nie mam żadnego do ustąpienia. Muszę w oznaczonym czasie ukończyć robotę, a nie zdołam, jeśli mi ręk brakować będzie.

— Ja temu poradzić nie mogę; innych ci dostarczą na miejsce tych, których ja zabiorę. Musisz mnie wraz z Katulusem przeprowadzić pomiędzy robotnikami, abyśmy wybrali tych, co nam się nadadzą.

Rabiriusz, mrucząc na to nierozsądne żądanie, musiał wszakże usłuchać i zaprowadził ich do wielkiej hali sklepionej. Wchodziło się okrągłą sienią z góry oświeconą jak Panteon. Ta sień prowadziła do jednego z krótszych ramion sali znacznych rozmiarów, kształtem krzyża zbudowanej, obok której było kilka mniejszych pokoi. W każdym punkcie, gdzie się linie, krzyż odznaczające, w kącie prostej schodziły, miał być na sali wzniesiony wielki z jednej sztuki kamienny filar. Dwa stały już na miejscu, trzeci obwiązany linami przymocowanymi do kołowrotu, miał być postawiony nazajutrz.

Wielka liczba ludzi zajęta była ostatnimi przygotowaniami. Katulus skinął na Korwina i wskazał palcem dwóch pięknych młodzieńców, którzy zwyczajem niewolników do pasa obnależeni, byli wzorem męskiej atletycznej budowy.

— Muszę mieć tych dwóch, Rabiriuszu—rzekł ochmistrz dzikich zwierząt—będą najlepsimi. Pewny jestem, że są chrześcijanami, tak ochotnie pracują.

— Nie mogę na żaden sposób oddalić ich teraz. Warci są dla mnie szczęściu ludzi, albo



pary koni przynajmniej. Poczekaście, póki się cięższa robota nie odprawi, a wtedy będą na wasze usługi.

— Jak się nazywają? Chcę ich sobie zapisać. A pamiętaj, abys ich w dobrym stanie utrzymywał.

— Nazywają się Largus i Smaragdus; należą do najlepszej rodziny, lecz pracują jak plebejusze i chętnie pójda za tobą, nie mając nic do stracenia.

— Uczynimy zadość ich chęci—rzekł Korwin z wielką wesołością. I tak się później stało.

Przechodząc pośród robotników, wybrali jeszcze pewną liczbę niewolników, przy których Rabiriusz upierał się najczęściej daremnie. Wkońcu zbliżyli się do pokojów na wschodniej stronie dłuższego ramienia sali. W jednym z nich ujrzeni kilku winowajców (jeśli mamy wyrazu tego używać), spoczywających po pracy. W pośrodku był stary człowiek, czcigodnej powierzchowności, z długą, białą brodą spływającą na piersi, z słodkim wyrazem na twarzy, uprzejmy w mowie, wesoły, acz słaby przy pracy. Był to wyznawca Saturnin, ośmdziesięcioletni starzec, okuty w ciężkie łańcuchy. Po bokach byli młodzi pracownicy, Cyriak i Syzyniusz, o których zapisano, że w dodatku do własnej wyznaczonej pracy, każdy po swojej stronie, dźwigali łańcuchy staruszka. Wspominają także akta, że największą dla nich rozkoszą było pomagać słabszym braciom i odrabiać za nich robotę, oprócz wyznaczonej sobie. Lecz nie był jeszcze przyszedł czas na nich, gdyż obaj przed odebraniem męczeńskiej korony, wyświęceni być mieli na diakonów przez następnego papieża.

Kilku innych niewolników leżało na ziemi

u nóg staruszka, który siedząc na bryle marmuru, mówił z słodką powagą tak przykuwając uwagę słuchaczy, że się zdawali zapominać o cierpieniach. O czym do nich mówił? Czy odwdzięczał się za nadzwyczajne poświęcenie przepowiadając Cyriakowi, że na pamiątkę, część ogromnego gmachu, nad którego wzniesieniem pracują tak ciężko, będzie poświęconą Bogu pod wezwaniem św. Cyriaka. Albo może opowiadał inne świetniejsze jeszcze widzenie, jako mniejsze oratorium to rozszerzy się i zamieni w wspaniałą świątynię na cześć Królowej Anielskiej, która zajmować będzie całą tę piękną salę z sieniami, pod kierunkiem najpotężniejszego geniusza, artystycznego, jakim się świat szczyci<sup>1)</sup>. Jakaż bardziej pocieszająca mogłaby być myśl dla biednych niewolników, jak ta, że wznosili gmachy te nie dla rozkoszy pogańskiego ludu, lub z rozrzutności zepsutego cesarza, lecz aby się zamieniły w jeden z najwspanialszych kościołów na cześć prawdziwego Boga, pod wezwaniem Przczystej Matki Dziewicy.

Z pewnej odległości Korwin zobaczył tę gromadkę i zatrzymując się, zapytał dozorcę o imiona osób, z których się składała. Wyliczył chętnie i dodał:

— Mógłbyś zabrać tego starca, gdybyś chciał, bo co do roboty, nie wart żywienia.

— Dziękuję ci — odrzekł Korwin — pięknieby wyglądał w amfiteatrze. Lud nie daje

<sup>1)</sup> Michał Anioł. Wspaniała i piękny kościół P. Maryi Anielskiej przerobiony był przez tego artystę z środkowej sali i okragłej sieni opisaney w niniejszej powieści. Sufit później dodano, a filary i wysokość dachu o kilka stóp niżono.



się zbywać starymi grzybami, które giną od jednego uderzenia tygrysiej lub niedźwiedziej łapy, lecz chce widzieć młodą krew płynącą i młodzieńców walczących wśród razów i ran, póki śmierć uporczywej walki nie rozstrzygnie. Lecz oto jeden jeszcze, któregoś nie nazwał. Twarz jego odwrócona jest od nas, nie nosi ani ubioru więźniów, ani kajdan. Kto to być może?

Nie wiem, jak się nazywa — odrzekł Rabinusz — lecz jest to piękny młodzieniec, który często przebywa z więźniami, wykupuje ich, a nawet czasem pomaga im w pracy. Płaci grubo zresztą, aby mu to wszystko wolno było; więc nie jest naszą rzeczą badać go.

— Lecz jest moją — rzekł Korwin ostro i szedł naprzód w tym celu. Głos doleciał uszu nieznajomego i obejrzał się.

Korwin skoczył ku niemu ze wściekłą gwałtownością drapieżnego zwierza, uchwycił go i zawołał z radością:

— Okujcie go natychmiast! Tym razem nie uciekniesz mi, Pankracjuszu.

## ROZDZIAŁ XXI.

### Więzienie.

Pankracjusza i dwudziestu innych do tego samego łańcucha przykutych, prowadzono, a raczej wleczono do więzienia przez ulice miasta. Utykających i chwiejących się bili strażnicy niemilosierdzie, a przechodzący znęcali się, uderzając i szturchając bezwstydnie. A ci, co szturchać nie mogli, bardziej oddaleni przechodnie, rzucali na nich kamieniami i śmie-

ciaми i wołali na nich obrzydliwymi wyrazami. Doszli nareszcie do więzienia Mamertyńskiego, gdzie ich wepchnięto i gdzie zastali już inne ofiary, oczekujące ostatniej chwili.

Młodzieniec miał zaledwie czas uprosić jednego z wiążących mu ręce siepaczy, aby doniósł matce i Sebastianowi o tym, co się stało, i wsunął mu sakiewkę do ręki.

Więzienie w dawnym Rzymie nie było miejscem do którego ubogi człowiek mógł zapragnąć dostać się w nadziei lepszej niż w domu strawy i wygody.

Więzienie Mamertyńskie składało się z dwóch kwadratowych podziemnych izb, jedna pod drugą, a każda z jednym tylko okrągłym otworem w środku sklepienia, którędy światło, powietrze, żywność, sprzęty i ludzie przechodzić mogli. Kiedy wyższe piętro było zajęte, możemy sobie wyobrazić, jak wiele światła i powietrza dolnego piętra dochodziło. Nie było żadnych innych sposobów wentylacji i oczyszczenia, lub skądinąd przystępu. Ściany murowane z szerokich kamiennych płyt, miały kółka wmurowane do przykuwania więźniów; lecz wielu także kładziono na podłogę z nogami przykutymi do ziemi, i wymyślna srogość prześladowców często powiększała niewygodę wilgotnego kamiennego łóża, zasypując czerepami posadzkę, jedyne łóżko dozwolone potarganym i poranionym członkom nieomęczonych chrześcijan. Stąd mamy w Afryce szereg męczenników, na których czele śś. Saturnin i Datywus, którzy wszyscy pomarli wskutek cierpień więziennych. Z aktów lugańskich męczenników dowiadujemy się, że wielu nowo-przybyłych oddało ducha w więzieniu, które ich zabiło przed męczeństwem.



gdy przeciwnie niejedni, powróciwszy do więzienia po takiej męce, iż zdawało się, że bez pomocy lekarskiej lub innej przyjść do siebie nie mogą, tam wracali szybko do zdrowia. W tym samym czasie inni chrześcijanie umieli dostawać się do tych przybytków cierpliwości i nadziei, i dostarczali co tylko mogło w podobnych okolicznościach ulżyć cierpieniom i dać niejaką wygodę doczesną lub duchową tym drogim i poważnym braciom.

Rzymska sprawiedliwość wymagała zewnętrznych przynajmniej form jakiegoś sądu, i dlatego uwięzieni chrześcijanie bywali z więzień sprowadzani przed trybunał i tam poddawani badaniu.

Sędziwy biskup luguński, Pothinus, w 90-tym roku życia uwięziony i zapytany: Jaki jest Bóg chrześcijański? odpowiedział: Jeżeli sobie zasłużysz, dowiesz się. Niekiedy sędzia chciał wchodzić w rozprawę z swym więźniem i najgorzej na tym wychodził, krótkimi słowami zawstydzony. Oskarżony bowiem rzadko kiedy chciał w dalszą wdawać się rozmowę po prostym wyznaniu wiary chrześcijańskiej. Często, jak np. w procesie niejakiego Ptolemeusza, o którym święty Justyn pięknie opowiada, tudzież i w badaniu św. Perpetuy, przestawał na zapytaniu: „Czy jesteś chrześcijaninem?”, a odebrawszy twierdzącą odpowiedź, przystępował do ogłoszenia wyroku śmierci.

Pankracjusza i jego towarzyszków zaraz stawiono przed trybunał, ponieważ za trzy dni miały się odprawić igrzyska, w których mieli wyznawcy walczyć z dzikimi zwierzętami.

— Kto jesteś? — spytał jednego z nich sędzia.

— Jestem chrześcijaninem z łaski Bożej — odpowiedział.

— A ty? — rzekł prefekt do Rustika.

— Jestem wprowadzić niewolnikiem Cezara — odpowiedział niewolnik — ale stając się chrześcijaninem, zostałem uwolniony przez samego Chrystusa i za Jego łaską i opieką otrzymałem udział w tych samych nadziejach, jakimi cieszą się wszyscy, których tu widzisz przed sobą.

Potem odwracając się do świątobliwego kapłana imieniem Lucjana, poważnego wiekiem i cnotą, sędzia tak do niego przemówił:

— Bądź posłusznym bogom prawdziwym i cesarskim rozkazom.

— Żaden człowiek — odrzekł starzec — nie może być potępionym, który słucha przepisów Jezusa Chrystusa Pana naszego i Zbawiciela.

— Jakim naukom i badaniom oddajesz się?

— Staralem się zbadać wszystkie nauki i zapuszczałem się we wszelkie tajniki wiedzy, ale ostatecznie przyjąłem naukę Chrystusową, chociaż się ona nie podoba tym, co chodzą po bezdrożnych fałszywych opiniach.

— Nędzniku! Co ci przyjdzie z tej nauki?

— Wszystko, albowiem idę za prawdziwą nauką zbawienia.

— A czym jest ta nauka?

— Prawdziwa nauka, której my chrześcijanie pilnie się trzymamy, zależy na tym, żeby wierzyć w jednego Boga, sprawcę i stwórcę wszech rzeczy widomych i niewidomych, i wyznawać Pana naszego Jezusa Chrystusa Syna Bożego, oddawna przez proroków zwiastowanego, który przyjdzie sądzić ludzi; który jest apostołem i mistrzem nauki zbawienia dla tych, co przyjąć chcą dobrą nowinę od Niego. Ja



wprawdzie jak prosty człowiek, jestem zanadto słaby i nieudolny, abym mógł co wielkiego powiedzieć o nieskończonym Bóstwie Pana naszego. Mówić o nim rzeczą jest proroków.

— Jesteś, zdaje mi się, nauczycielem błędów między chrześcijanami, zasługujesz przeto na surowszą karę. Bierzcie! — krzyknął — tego Lucjana, na torturę z nim, i ciągnijcie nogi jego aż do piątego otworu<sup>1)</sup>. A wy, kobiety, jakie są wasze nazwiska i stan?

— Jestem chrześcijanką, Chrystus moim oblubieńcem, imię moje Sekunda — odrzekła jedna.

— A ja jestem wdową, na imię mi Rufina, wyznaję tę samą zbawienną wiarę — odrzekła druga.

Nareszcie zadawszy podobne pytania wszystkim i odebrawszy od wszystkich podobne odpowiedzi, prócz jednego niedznika, który z wielkim oburzeniem przytomnych zachwiał się i przystał na czynienie ofiary bogom, prefekt obrócił się ku Pankracemu i w ten sposób go kusił:

— A teraz ty, bezczelny chłopcze, który śmiałeś pomiatać edyktem boskich cesarzów! Nawet i dla ciebie jest jeszcze łaska cesarska, jeżeli uczynisz bogom ofiarę! Pokaż w ten sposób twą pobożność i roztropność, albowiem jesteś dopiero młodzieniaszkiem, a ulitujemy się nad tobą.

Pankracjusz przeżegnał się znakiem krzyża świętego i odrzekł spokojnie:

— Jestem sługą Chrystusa. Jego wyznaję ustami, Jego mam w sercu i bez ustanku chwalebę. Ten młodzieniec, którego widzisz we mnie,

<sup>1)</sup> Co było najdłuższą miarą.

może mieć mądrość siwych włosów, jeżeli jest czcicielem jednego Boga. A wasi bogowie wraz z czcicielami swymi przeznaczeni są na zagładę.

— Uderz go w twarz za to bluźnierstwo i wysmagaj różgami — krzyknął rozgniewany sędzia.

— Dziękuję ci — odrzekł młodzian — iż mi zadajesz tę samą zniewagę, jaką cierpiał Chrystus, Pan nasz.

Następnie prefekt orzekł wyrok w zwykłej formie:

— Lucjan, Pankracy, Rustikus i inni, tudzież kobiety Sekunda i Rufina, którzy wszyscy wyznali, iż są chrześcijanami, a odmawiając posłuszeństwa cesarzowi, czci bogom rzymskim nie oddają, skazani są przez nas na pastwę dzikich zwierząt w amfiteatrze Flawiańskim.

Rozjuszony gmin zawył z radości i tak towarzyszył wyznawcom do więzienia; ale po jakimś czasie ucichły krzyki przed poważną postawą i wspaniałą spokojnością wyznawców. Niektórzy żołnierze utrzymywali, iż więźniowie musieli się pachnidłami namaścić, bo jakaś atmosfera nieznaney im i przedziwnej wonności ciągle im towarzyszyła.

## ROZDZIAŁ XXII.

### Wiatyk.

Wnętrze więzienia przedstawiało prawdziwe przeciwieństwo z furiami złości pogańskiej, szalejącej poza nim. Pokój, wypogodzenie weselość i radość panowały w lochu, a kamienne mury i sklepienia powtarzały śpiewy



psalmów, w których Pankracy przodował i w których „przepaść przyzywała przepaści”, albowiem więźniowie z dolnego więzienia odpowiadali wyżej będącym i utrzymywali porządek responsoriów w psalmach, które im okoliczności na pamięć nasuwały.

Wilia „walki”, która kończyć się miała rozszarpaniem ofiar przez dzikie zwierzęta, była zawsze dniem większej dla więźniów wolności. Przyjaciół skazanych przypuszczano do widzenia się z nimi, a chrześcijanie korzystali odważnie z pozwolenia, aby się cisnąć do więzień i polecać modlitwom błogosławionych wyznawców Chrystusa. Wieczorem wyprowadzono ich na spożycie tego, co się nazywało w języku więziennym „wolną wieczerzą”, obfitej i nawet zbytkowej, wspólnej uczty. Poganie otaczali stół, ciekawie śledząc rozmowy i spojrzenia jutrzejszych rycerzy, ale nie mogli dojrzeć ani próżnego zuchwalstwa, ani zasmucenia i cierpkiego wyrazu u tych dziwnych winowajców.

Dla chrześcijan była ta wieczerza prawdziwie „agape” albo miłościwą ucztą; albowiem weseli byli, mile i żartobliwie rozmawiali.

Pankracy jednakże raz albo dwa zganił nieczułą ciekawość i grubiańskie uwagi tłumu, mówiąc:

— Nie dość wam jutra? Miło wam patrzeć na przedmioty waszej jutrzejszej nienawiści. Dzisiaj jesteście naszymi przyjaciółmi, jutro będziecie wrogami. Ale przypatrzcie nam się dobrze, byście nas poznać mogli, jak przyjdzie dzień sądu na nas wszystkich.

Wielu się cofnęło na tę przestrożę, niektórzy nawet się nawrócili.

Lecz podczas, gdy prześladowcy dawali

w ten sposób ucztę dla ciał swych ofiar, Kościół, ich Matka, przysposabiał daleko wspólniejszą ucztę dla dusz swych dzieci. Diakonowie nieustannie przy nich przebywali, mianowicie Reparatus, któryby był z radością ich los podzielił. Ale obowiązek kapłański nie dozwalał mu tego w obecnej chwili. Postawawszy się więc, ile mógł, o ich doczesne potrzeby, ułożył się z pobożnym kapłanem Dionizym, który ciągle bawił w domu Agnieszki, w celu posłania ku wieczorowi dostatecznej ilości cząstek Chleba żywota dla pożywienia w przeddzień bitwy rycerzy Chrystusowych.

Chociaż diakonowie roznosili Komunię świętą z głównego kościoła do innych, gdzie bywała rozdawana tylko przez właściwych rządców, wszakże męczennikom w więzieniu lub po domach umierającym wiernym mieli prawo podawać Chleb żywota i niższego stopnia duchowni. W tym dniu, kiedy nienawistne namiętności pogańskiego Rzymu rozdrażnione były nadchodzącą rzezią tylu chrześcijańskich ofiar, trzeba było niezwykłej odwagi, aby się podjąć tego obowiązku.

Albowiem z zeznań Torkwata wiadano, iż Fulwiusz wytropił starannie wszystkich sług przybytku Bożego i dał swym brudnym szpiegom dokładny ich rysopis. Stąd ledwie im się godziło wyjść za dnia inaczej, jak w zupełnym przebraniu. Święty Chleb był przygotowany, a kapłan stojąc przy ołtarzu, na którym spoczywało *ciborium*, upatrywał między obecnymi, któryby z braci jego mógł najpewniej dopełnić tak wzniosłej i niebezpiecznej powinności. Zanim kto inny zdołał się wysunąć, młody akolita Tarcyzjusz klęknął u nóg kapłana, trzymając



jąc ręce wyciągnięte przed nim, gotów przyjąć święty ciężar, a z postawą tak niewinną, jak piękność anioła, dopraszał się o pierwszeństwo. Jesteś za młody, moje dziecko — rzekł z czułością kapłan pełen podziwienia na widok obrazu, jaki miał przed sobą.

— Moja młodość, Ojczyści święty, będzie mi najlepszą obroną. O! nie odmawiaj mi tego wielkiego zaszczytu.

Kiedy stanęły w oczach chłopca, a lica pałały wzruszeniem. Wyciągnął obie ręce, a błaganie jego było tak pełne zapału i odwagi, że musieć nie oprzeć nie mogło. Kapłan wziął Boskie tajemnice, owinięte starannie w płócienną chustkę, a potem w wierzchnie przykrycie i złożył w ręce młodzieńca, mówiąc:

— Pomnij, Tarczyjusz, jaki skarb jest powierzony twojej słabej pieczy. Unikaj ludniejszych ulic i pamiętaj, że świętych rzeczy nie godzi się dawać psom, ani rzucać pereł przed trzodę. Czy uchronisz od wszelkiego szwanku święte dary Boże?

— Prędzej umrę, aniżeli bym je naraził — odpowiedział młodzieniec, tuląc niebieski ciężar do piersi i z pobożną radością puścił się w drogę.

Z większą, niżby się po latach spodziewać można, roztropnością przesuwiał się lekko przez ulice, starając się unikać ulic głównych ale i zbyt odludne podobnie omijając. Gdy przechodził obok pięknego pałacu, bogata bezdzietna matrona, a pani gmachu widziała, jak z rękami na piersiach złożonymi szedł spiesznym krokiem.

— Zatrzymaj się chwilkę, miłe dziecko — rzekła, zachodząc mu drogę — powiedz mi twoje imię i czy żyją twoi rodzice? I gdzie twój dom?

— Na imię mi Tarczyjusz, jestem sierotą — powiedział, spoglądając z uśmiechem — i nie mam domu, chyba taki, o którymby ci może nie było przyjemnie słyszeć.

— Więc do mego przyjdź domu i spocznij. Życzę sobie pomówić z tobą. O, gdybyś ty był moim synem!

— Nie teraz, szlachetna pani, nie teraz. Podjąłem się jak najuroczystsze obowiązków i nie powinienem tracić ani jednej chwili.

— Więc przyrzeknij mi, że przyjdiesz jutro; oto jest mój dom.

— Jeżeli dożyję — odrzekł chłopiec, który wydał jej się jakby wysłannikiem z nieba. Patrzyła za nim długo matrona, a potem puściła się w tę samą co i on stronę. Wkrótce usłyszała zgłęb i okropne krzyki. Stała, a gdy zgłęb ucichł, szła dalej.

Przez ten czas Tarczyjusz, zajęty nie spadkiem po tej pani bezdzietnej, lecz myślą ku lepszym rzeczom zwróconą, pospieszał dalej i wkrótce zaszedł na plac obszerne, gdzie chłopcy dopiero co ze szkoły wybiegli, zaczęli się bawić.

— Jeszcze jednego nam potrzeba; skądby go wziąć? — zapytał dowódca szkolnej gromady.

— Doskonale — krzyknął drugi — oto idzie Tarczyjusz, od wieków go nie widziałem. Bywał do wszystkiego bardzo dobry. Chodź, Tarczyjusz — dodał, zatrzymując go — dokąd tak prędko? Baw się z nami.

— Nie mogę teraz, Petyliuszu, naprawdę nie mogę. Idę w sprawie nadzwyczaj ważnej.

— Ale musisz! — odezwał się pierwszy, silny i rzutny młodzieniec, zatrzymując go! — Kiedy ja czego chcę, to nic nie pomoże! Więc pójdź, przyłącz się do nas od razu.



Zaklinam cię — rzekł błagalnie biedny chłopiec — puść mię.

— Nic z tego — odrzekł tamten. — Co ty tam tak starannie pod suknią ukrywasz? Jeżeli list, to dobrze, nie zepsuje się dlatego, że przez pół godziny nie będzie u ciebie na piersiach. Daj mi ten list, a ja go złożę w miejscu bezpiecznym na czas gry naszej — i wyciągnął rękę do świętego skarbu.

— Nigdy, nigdy! — odpowiedział młodzian, podnosząc oczy ku niebu.

— Zobaczę — nacisnął tamten ostro — chcę widzieć, co to jest — i zaczął go szturchać i szarpać; tłum osób przechodzących niezadługo się zebrał, wszyscy pytali ciekawie, o co rzecz idzie. Widzieli chłopca, który z założonymi rękoma, jakby obdarzony nadzwyczajną siłą, opierał się napaści nierównie mocniejszego, żądającego wyjawienia, coby niósł. Bicie, szarpanie, kulaki znosił bez skrzywienia i odwetu nie próbował, lecz obstawał niezłomnie przy swoim.

— Co to jest, co to być może? — pytali się wszyscy, kiedy Fulwiusz, przypadkiem przechodząc, przystąpił do koła otaczającego walczących. Poznał od razu Tarczyjusza, którego widział podczas święceń w kościele i gdy mu jako porządniej ubranemu, a zatem mądrzejszemu, to samo pytanie uczyniono, odpowiedział z pogardą, obracając się na pięcie:

— Co to takiego? Nie domyślacie się? Otóż ja wam powiem. Chrześcijański osioł jakiegoś tajemnicę niesie.

Nie trzeba było więcej: Fulwiusz, gardząc tak nieznaczną dla siebie ofiarą, wiedział dobrze, jaki będzie skutek tego słowa. Pogańska ciekawość, chęć znieważenia tajemnic chrze-

ścijańskich rosła coraz bardziej; wszyscy żądali od Tarczyjusza, aby się pozbył swego ciężaru.

„Nigdy za życia” — była jego jedyna odpowiedź.

Ciężkie uderzenie pięścią od razu go ogłuszyło; krew lała się z głowy; póty go bili, aż upadł na ziemię, ale z rękoma złożonymi na piersiach.

Motłoch rzucił się na niego, aby odsłonić najświętsze brzemię, kiedy właśnie w tej chwili jakaś olbrzymia siła w lewo i w prawo rozpedziła wszystkich oprawców. Niektórzy poodlatywali aż na drugi koniec placu, inni się na miejscu zakręcili i przewracali, a reszta cofnęła się przed wysokim, atletycznym żołnierzem. Schylił się rycerz ze łzami w oczach, podniósł poranionego i mdlejącego chłopca z taką czułością, jak najlepsza matka, i zapytał serdecznym głosem:

— Czy bardzo cierpisz, Tarczyjusz?

— Nic, to nic, Kwadratusie — odpowiedział, otwierając oczy z uśmiechem — ale ja niosę świętości Boże, o nich miej staranie, umieram.

Żołnierz podniósł chłopca i wziął na ręce z głębokim uszanowaniem, i tak niósł nie tylko ofiarę młodzieńczej wiary, ciało wyznawcy, ale samego Króla i Pana męczenników i Boską ofiarę ludzkości zbawienia. Głowa dziecka opierała się z ufnością na szyi żołnierza, lecz ręce nie opuściły do końca pieczy nad świętym skarbem. Podwójne brzemię nie było chrześcijańskiemu żołnierzowi ciężarem; nikt go nie zatrzymał, aż spotkali matronę, o której mówiliśmy. Z zadziwieniem zbliżyła się i wpatrując się:

— Czy być może — krzyknęła przerażona — czy to ten sam Tarczyjusz, którego dopiero co



spotkałam? Tak piękny i miły! Kto to mógł zrobić?

— Pani — odrzekł Kwadratus — zamordowali go dla tego, że chrześcijanin.

Matrona wpatrywała się w anielską twarzyczkę. Chłopczyzna otworzył oczy, uśmiechnął się i zgasł. Od tej chwili matrona została także chrześcijanką.

Nadszedł wtenczas czcigodny Dionizy. Łzami zalany odsunął ręce dziecięcia i wziął z łona jego Przenajświętszy Sakrament, a dziecko jeszcze bardziej wydało mu się do anioła podobne, aniżeli za życia, przed godziną. Kwadratus zaniósł sam ciało męczennika na cmentarz Kaliksta, gdzie zostało pochowane, a w późniejszych czasach św. Papież Damazy ułożył napis grobowy, który między tysiącami świadczy, iż wiara w rzeczywistą obecność Ciała i Krwi Pańskiej w Eucharystii świętej była ta sama, co i teraz.

*Gdy Tarcyzjuszowi świętemu, niosącemu święte Pańskie tajemnice, świętokradzka ręka odebrać je chciała, on wołał raczej duszę oddać, aniżeli psom wściekłym rzucić członki Boże.*

Wzmianka jest także o Tarcyzjuszu w martyrologium Rzymskim w dniu 15 sierpnia. Z cmentarza św. Kaliksta, relikwie jego później przeniesiono do kościoła św. Sylwestra na Campo, jak widać ze starego napisu.

Wiadomość o tym wypadku nie doszła więźniów aż dopiero po odbytej uczcie. Obawa, iż będą pozbawieni duchowego pokarmu jedynie mogła zaćmić szczęście tych dusz wybranych.

Sebastian wszedł w tej chwili i poznał od razu, iż smutne wiadomości nadejść musiały. Wiedząc od Kwadratusa, co się stało, dodał

otuchy wyznawcom: zapewnił, że nie będą pozbawieni pożądanego posiłku przed walką; potem szepnął kilka słów Reparatowi diakonowi, który wybiegł natychmiast, znać w ważnej sprawie. Sebastian, znany strażom, wchodził codziennie i wychodził dowolnie z więzienia, niezmordowany w staraniu około wyznawców Bożych. A teraz przyszedł pożegnać raz ostatni swego najdroższego przyjaciela Pankracjusza. Uradowany Pankracjusz wziął go na stronę i zaczął:

— Sebastianie, czy pamiętasz, kiedyśmy słyszeli ryk dzikich zwierząt z twego okna, jak mówiliśmy sobie, że te wspaniałe łuki amfiteatru Flawiana będą wkrótce świadkami chrześcijańskiego triumfu.

— Pamiętam, mój drogi, pamiętam dobrze ten wieczór, i zdawało mi się już wtenczas, że twe serce przeczuwało dzień jutrzejszy.

— Tak też było rzeczywiście. Czulem wewnętrzną pewność, że będę jednym z pierwszych oddany na zaspokojenie wściekłego głodu tych okrutnych ludzi. Ale teraz, gdy chwila nadeszła, nie czuję się godnym umierać za Chrystusa. Nie pojmuję naprawdę, com mógł uczynić Sebastianie, nie mówię, aby na tak ogromny zaszczyt zasłużyć, ale by być wybranym do tak wielkiej łaski?

— Wiesz, mój drogi, że nie wola w tym ludzka, ani też ludzka zasługa, lecz, że łaska Boża, wybranych swoich uprzedza. Ale mów dalej, Pankracjuszu, niech słyszę, jak ci się wydaje jutrzejsze szczęście twoje.

— Tak mi się wydaje świetnym, że czasem nie wiem, czy to widzenie, czy rzeczywistość. Czy możesz pojąć, drogi Sebastianie, że ja dziś w zimnym, ciemnym i ciasnym wię-



zieniu zamknięty, nim zajdzie jutrzejsze słońce, będę w mieszkaniu Ojca Najwyższego chodził między świętymi, w szacie bielszej od śniegu, przy harfach anielskich, oddychając wonią niebiańskich kadzideł, pojąc się z samego źródła żywota. O kim innym czytać coś podobnego lub słyszeć nie wydaje się jeszcze tak cudownym, lecz czy to nie za wielką śmiałość myśleć, że ze mną za kilka godzin tak będzie?

— I co jeszcze więcej, mój drogi Pankracy?

— O, daleko więcej, daleko więcej czuję, ale wymówić nie umiem. Gdy pomyślę, że ja, niedorostek, ja, com dopiero z ławy szkolnej powstał i którym nic dotąd dla Chrystusa nie uczynił, mogę sobie powiedzieć, jutro będę oglądał oko w oko Pana wszechwzrosty i odbiorę od Niego palmę i wieniec, Ojcowskie uściśnienie! Gdy o tym pomyślę, ta nadzieja tak mi się cudną wydaje, że w zachwyceniu moim prawie mi żal, iż wkrótce nadzieją być przestanie i rzeczywistością będzie. Tak, ta nadzieja spełni się jutro. Sebastianie — mówił, ściskając obie ręce przyjaciela. — Jutro, jutro nadzieja zamieni się w szczęście wieczne bez miary. Tak będzie; tak będzie, Sebastianie — mówił dalej z zapalem — to jest prawda, to jest niechybne.

— I co więcej jeszcze, kochany Pankracjuszu?

— Tak, Sebastianie, jeszcze więcej, jeszcze więcej, zamknąć oczy przed twarzami ludzkimi, a otworzyć je pełnym spojrzeniem przed Boskim obliczem; zamknąć je przed tysiącami postaci ludzkich, obrzucających nas nienawiścią, pogardą i wściekłością z każdego stopnia w amfiteatrze, a otworzyć w tej samej chwili na słońce mądrości! Jak znieść blask tego

słońca, gdyby nie łaski i dobroć, które nas witają i wznoszą i nie pozwalają ginać! Rzucić się od razu w nieskończoność Boskiego serca i zanurzyć się w gorejące morze łaski i miłości bez obawy zniszczenia! Sebastianie, czy to nie zarozumiałość z mej strony mówić, iż jutro... co to... słuchaj Strażnik, na Kapitolium woła, że północ po drugiej połowie nocy w tym więc dniu, dzisiaj będę posiadał to wszystkol

— Szczęśliwy! — wykrzyknął żołnierz. — Już i teraz jesteś w szczęściu, które się nigdy nie skończy.

— A czy wiesz, kochany Sebastianie — mówił dalej młodzieniec, jak gdyby nie słysząc, że mu Sebastian przerwał — wydaje mi się to tak wielką dobrocią i łaskawością mego Boga, iż mnie, młodemu, tak umrzeć pozwala! Co to za szczęście być w oka mgnieniu uwolnionym od widoku obrzydliwych zwierząt i obrzydlivszych łotrów, ryczących nade mną. Ciężej może przyjdzie widzieć ostatnie spojrzenie, słyszeć westchnienie ostatnie bolejącej matki. Lecz i tak, choć ją zobaczę i usłyszę dziś jeszcze jej głos przed walką, jakieśmy się o to ułożyli, ona mię nie osłabi.

Błysnęła łza w oku kochającego syna, ale ją zatrzymał i mówił dalej radośnie:

— Sebastianie, nie wypełniłeś swej podwójnej obietnicy, iż mi wyjawisz tajemnice dotąd ukrywane przede mną. Teraz ostatnia do tego sposobność; mów więc, niech wiem o wszystkim.

— A kiedy to było, kochany Pankracjuszu?

— Najpierw owej nocy, kiedy się odbyło zgromadzenie wiernych w twoim mieszkaniu, mówiłeś, że jest powód dość silny dla ciebie, aby hamować pragnienie śmierci dla Chrystu-



sa; a niedawno nie chciałeś mi powiedzieć dlaczego mnie wyprawiłeś tak spiesźnie do Kampanii, a mówiłeś, że coś w tym masz, czego się później dowiem, czym mię wielkiego niepokoju nabawiłeś.

— Te dwie tajemnice stanowią jedną. Obiecałem być czuwać nad życiem twoim, drogi chłopcze, widziałem twą żądzę męczeństwa, znałem gorące usposobienie twego młodocianego serca; obawiałem się, żebyś się nie porwał na jakiś zbyt bohaterski czyn, któryby mógł zaćmić, chociażby tak lekko jak oddech na dobrze wyglądownej stali, czystość twego poświęcenia, albo skazać przemijającą plamką światowej chwały choćby jeden tylko listek twej palmy. Postanowiłem więc poskromić moje własne najpotężniejsze pragnienie i tęsknotę, dopóki cię nie ujrzę u mety. Czy tak dobrze było, Pankracjuszu?

— O! zbyt wielka dobroć i miłość twoja, kochany Sebastianie, zbyt wielka troskliwość i szlachetne zaparcie siebie samego! Ale jaki to ma związek z moją podróżą do Kampanii?

— Gdybym cię nie był oddalił, byliby cię uwięzili za śmiałe potarganie edyktu, albo za łajanie sędziego w trybunale. Byłbyś z pewnością potępiony i cierpiałbyś za Jezusa Chrystusa, ale wyrok twój byłby opiewał inną cywilną zbrodnię, to jest obrazę majestatu cesarskiego. I oprócz tego, drogi chłopcze, byłbyś wówczas umierał i tryumfował sam jeden w oczach zdumionych pogan. Cień dumy mógłby być wśród walki paść na duszę twoją i zasługę zmniejszyć, pozbawiając cię w jakiejś części tej świętej zasługi, która jest wyłączną chwałą umierających za wiarę: to jest umrzeć po prostu dlatego tylko, że jesteś chrześcijaninem.

— Wielka prawda, Sebastianie — rzekł, rumieniąc się Pankracjusz z uśmiechem.

— Ale kiedy cię widział — mówił dalej żołnierz — zajętego uczynkiem miłosierdzia względem wyznawców Chrystusa, kiedy cię widział wleczonego po ulicach, okutego, bitego jak innych, kiedy cię widział wyśmianego jak wszyscy wierni, kiedy słyszałem wyrok śmierci na ciebie wspólnie z innymi za to tylko, iż jesteś chrześcijaninem i nie dla czego innego, poznałem, że moje zadanie się skończyło i odtąd nie byłbym podniósł palca, aby cię od śmierci wybawić.

— Jakże podobną do Boskiej była twa pieczołowitość tak mądra, tak wspaniała i tak na pozór ostra — rzekł ze łzami Pankracy, rzucając się na szyję Sebastiana, a potem mówił dalej:

— Przyobiecay mi jedną rzecz jeszcze, to jest, że dziś zostaniesz przy mnie aż do końca i poniesiesz matce mojej dar mój ostatni.

— Chociażbym miał za to życie oddać, wszystko uczynię: a potem niedługie będzie nasze rozłączenie, Pankracjuszu.

Diakon dał znać, że wszystko gotowe do spełnienia świętej ofiary w samym więzieniu. Niezwykły obraz zajął oczy naszych świętych młodzieńców. Święty kapłan Lucjanus leżał rozciągnięty na podłodze z członkami tak boleśnie rozpiętymi w dybach, że nie mógł się podnieść. Reparatus rozłożył mu na piersiach obruski lniane, jak na ołtarzu, na nich położono chleb ofiarny, a kielich z winem i wodą podtrzymywał diakon. Podnoszono głowę sędziego kapłana, kiedy czytał modlitwy i wykonywał obrzędy ofiarowania i poświęcenia. A potem każdy zbliżając się pobożnie i ze łzami wdzięczności, przyjmował z jego poświęco-



nej ręki swą cząstkę, w tej cząstce całość tajemniczego pokarmu.

Przedziwny i uderzający przykład zdolności, że tak powiem, stosowania się do wszystkich potrzeb swych dzieci, w powszechnym katolickim Kościele Bożym. Chociaż przepisy są wyraźne, troskliwa i pomyślna miłość znajduje posoby ustalenia zasady, samym nawet pobłażaniem w formie, tak, iż wyjątek jest szczytniejszym jeszcze zastosowaniem prawa. Oto służy Boży i rozdawca jego świętego Ciała, obdługany szczególnym nad innych kapłanów przyrzeczeniem, iż jak ten Pan, który go umocował do czynienia ofiary, był zarazem ofiarnikiem d ołtarzem. Kościół chciał, aby święta ofiara i odbywała się jedynie nad relikwiami męczenników; tu był męczennik, szczególną prerogatywą za życia do tego powołany. Jeszcze przy życiu, już leżał pod stopami Jezusa! Piersi jeszcze się podnosiły wprawdzie, a serce biło pod świętymi postaciami: tak pełnił męczennik czynność kapłana, lecz sam już był umarłym. Ofiara jego życia była w duchu, jeżeli nie na ciele, spełniona: był więc i relikwią. Piersi kapłana były przybytkiem, a Chrystus sam jeden żył w tym przybytku z ciałem i duszą. Czy Wiatyk dla męczenników mógł być kiedy godniej przygotowanym?

## ROZDZIAŁ XXIII.

### Walka.

Ranek zajaśniał mroźny, słońce niezwykłym blaskiem złościło świątynie i inne gmachy publiczne, lud podobnie w świątecznych strojach

wysypywał się z domów. Rozliczne tłumy udawały się ku amfiteatrowi Flawiańskiemu, lepiej nam teraz znanemu pod nazwą Kolosseum. Każdy zwracał swe kroki ku arkadzie, do której miał znaczek, czyli, jak się teraz mówi bilet. Potworny kolos wciąga w siebie powoli te tłumy; żyjące potoki zalewają schody i piętra nad piętrami ożywiają, aż na koniec całe wnętrze amfiteatru obsadzone w koło. A gdy się ta żyjąca masa krwią napoi i rozogni wściekłością, roztopi się raz jeszcze i wypłynie gęstą i nieprzerwaną rzeką, tak jak wypłynęła licznymi otworami, które noszą nazwę vomitoria dobrze dobraną, nigdy bowiem z podziemnych kanałów żadnego miasta nie wypłynął potok mętów i szkaradzieństw brudniejszy od tego rzymskiego, krwią męczenników przesiąkniętego motłochu, wypływającego z pod wspaniałych luków amfiteatru Flawiana.

Cesarz przybył na igrzyska, otoczony licznym dworem, w wielkiej paradzie, z oznakami cesarskiej władzy, chciwy, jak każdy z poddanych, przypatrzeć się okrutnym zabawom i krwią oczy napoić. Tron wznosił się po wschodniej stronie amfiteatru, gdzie obszerne miejsce, bogato ozdobione, przeznaczone było dla cesarskiego dworu.

Różne zabawy następowały jedne po drugich i niejeden gladiator zabity lub ranny, krwią swoją biały piasek zbryzgał, gdy lud, najdzikszych łaknący zapasów, począł wołać, a raczej ryczeć o walkę chrześcijan z drapieżnymi zwierzętami.

Bardzo rano, zanim jeszcze mieszkańcy miasta powstawali, więźniowie przeprowadzeni już byli z więzienia do obwarowanej izby, gdzie im okowy i łańcuchy pozdejmovano. Próbo-



wano przebrać ich na pośmiewisko za pogańskich kapłanów i kapłanki, lecz stawili opór, twierdząc, że ponieważ skazani na walkę ze zwierzętami, nie należało ich już karać obrzydłym przebieraniem. Tak więc całe rano pozostali razem, dodając sobie nawzajem odwagi, śpiewem chwalać Boga na przekór wrzawie, która chwilami przygłuszała ich śpiewy.

Gdy tak byli zajęci, Korwin wszedł z wyrazem zupełnego tryumfu i tak przemówił do Pankracjusza:

— Dzięki bogom, nadszedł dzień, od tak dawna dla mnie upragniony. Trudna i nużąca była walka między nami, kto ma pierwszy upaść! Ja wygrałem.

— Co mówisz Korwinie? Kiedy i jak walczyłem z tobą?

— Zawsze, wszędzie. Nawiedzałeś mnie w snach nawet moich, migąłeś przede mną jak meteor, a nadaremnie usiłowałem cię schwycić. Byłeś moim dręczycielem, moim złym duchem. Znienawidziłem cię, przekazałem bogom piekielnym; przekląłem cię i brzydzę się tobą, a teraz dzień pomsty nadszedł dla mnie nareszcie!

— Mnie się zdaje — odrzekł Pankracjusz z uśmiechem — że to wszystko nie jest do walki podobnym. Wszystko z jednej tylko pochodzi strony, gdyż ja nic podobnego przeciw tobie nie wszczynałem.

— Nie, czy myślisz, że ja wierzę twoim słowom? Kiedyś ty zawsze płałaś się po mojej ścieżce jak żmija, i kasałaś mnie po piętach, wszystkie moje zachody niweczyłaś.

— Gdzie? Kiedy? Powiedz, Korwinie?

— Wszędzie, powtarzam! W szkole, w domu Agnieszki, w forum, na cmentarzu, w włas-

nego ojca mego trybunale, w willi Chromacjusza. Tak jest, wszędzie!

— Nic innego nie pamiętasz! A gdy zbiegające konie niosły twój powóz wzdłuż Appijskiej drogi, czyś nie słyszał tętentu koni, które cię usiłowały dopędzić.

— Nieszczęśliwy! — zawołał syn prefekta z wściekłością. — Byłże to więc twój przeklęty koń, z umysłu puszczony, który moje konie postraszył i o mało śmierci mojej nie był przyczyną?

— Nie, Korwinie, wysłuchaj mnie spokojnie. Po raz ostatni z sobą mówimy. Jechałem spokojnie z towarzyszem do Rzymu, oddawszy ostatnią przysługę nauczycielowi naszemu Kasjanowi — (Korwin zgrzytnął, gdyż o tym pierwszym nie wiedział, — gdym usłyszał nadzwyczajny turkot i krzyk, a wtenczas rzeczywiście ścisnąłem konia ostrogami i to szczęśliwie dla ciebie.

— Jakto?

— Bom cię dopędził właśnie w sam czas, aby ci życie ocalić. Zanurzony byłeś po szyję w zimnej wodzie, siły cię już opuszczały, a krew poczęła w tobie stygnąć, ręka twoja już prawie martwa puszczała ostatnią garść krzaków, za które się brzegu trzymałeś, i zapadłeś po raz ostatni w głębię. Poznałem cię, gdym cię ujął w ręce bezprzytomnego. Miałem w ręku swoim zabójcę drogiej mi osoby. Zdawało się, że tego zabójcę sprawiedliwość Boża dosięgła; pomiędzy nim, a spełnieniem kary była tylko wola moja. Wtenczas zemściłem się!

— Ha, i w jaki sposób, proszę!

— Wyciągając cię z wody, kładąc na brzegu i nacierając, dopóki serce znaku życia nie



dało, a potem oddając cię od śmierci uratowanego w ręce nadjeżdżającej służby.

— Kłamiesz! — wrzasnął Korwin — słudzy powiedzieli mi, że mię oni sami z wody wyciągnęli.

— A czy oddali ci mój nóż wraz z sakiewką ze skóry lamparciej, którą znalazłem na grobli?

— Nie, powiedzieli, że sakiewka zginęła w kanale. Była to faktycznie sakiewka ze skóry lamparciej, dar afrykańskiej czarownicy. Co mówisz o nożu?

— Że go mam tutaj, jak widzisz, nawet trochę zardzewiał; sakiewkę oddałem sługom twoim, własny nóż odebrałem sobie, patrz! Czy wierzysz mi teraz? Czy byłem zawsze żmiją na twojej drodze?

Korwin uczuł w głębi serca zawstydenie, iż Pankracjusz życie mu uratował, a on go wydał w ręce oprawców. Czuł się głęboko upokorzonym, ale nie chcąc przyznać się do przegranej, wycofał się z tłumu, przeklinając igrzyska, cesarza, wrzeszczący motłoch, ryczące bestie, konie swoje i wóz, sługi ojca i siebie samego, wszystko i wszystkich, oprócz jednego Pankracjusza, któremu nie mógł i nie śmiał złorzeczyć.

Był już na progu zzuwalni, gdy młodzieniec zawołał na niego. Korwin obrócił się i patrzył ku niemu z uszanowaniem. Pankracjusz położył rękę na jego ramieniu i rzekł:

— Korwinie, ja tobie od razu przebaczyłem. Ale jest ktoś tam wysoko, który nie może przebaczyć, jeśli nie widzi żalu. Szukaj u Niego przebaczenia! Jeśli tego nie uczynisz, przepowiadam ci dzisiaj, że jakąbądź śmiercią dziś zginę, ty kiedyś tą samą umrzesz.

Korwin umknął spieszenie i nie widziano go

więcej dnia tego. Opuścił widowisko, na które cieszył się od dni kilku, którego łaknął od kilku miesięcy. Gdy minął dzień uroczystości, szukał go ojciec i znalazł pijanego. Takiego używał Korwin na zgryzotę lekarstwa.

Gdy Korwin odchodził od więźniów, przełożony gladiatorów wezwał chrześcijan do walki. Spieszenie uściskali jedni drugich, żegnali się na ziemi, aby po krótkim rozstaniu połączyć się w niebie.

Weszli na arenę w amfiteatrze, naprzeciwko cesarskiego tronu i przechodzili pomiędzy dwoma szeregami łowców, którzy mieli staranie o dzikich zwierzętach. Każdy z łowców miał w ręku bat, którym podcinał przechodzącego chrześcijanina. Wyprowadzono ich potem na środek areny, z osobna lub po kilku naraz, podług upodobania ludu i na rozkaz zawiadowcy widowiska. Czasem wybraną ofiarę postawiono na wysokim rusztowaniu, aby była lepiej widziana, innym razem uwiązano ją do słupa, aby była więcej bezbronna. Ulubioną zabawą było rzucić bestiom kobietę w sieć związaną, tak, aby była nie od razu pożarta, lecz jak piłka ciskana, taczana, szarpana, lub rogami kłuta. Pierwsze spotkanie z jednym dzikim zwierzem nieraz kończyło męczennika życie, gdy czasem trzy lub cztery bestie, kolejno puszczane, nie zadały śmiertelnej rany. Wyznawca był wtedy albo odprowadzony do więzienia na dalsze męczarnie, albo gladiatorowie dla wprawy bawili się dobijaniem ofiary.

Pankracjusz, przechodząc przez korytarz, prowadzący do amfiteatru, ujrzał Sebastiana stojącego przy wejściu z kobietą, starannie w płaszcz owiniętą i zakwefiowaną. Poznał ją



od razu, zatrzymał się, ukląkł i biorąc jej rękę, czule całował.

— Pobłogosław mi, droga matko! w tej szczęśliwej chwili, którąś mi przyrzekła i przepowiedziała.

— Patrz, synu, w niebiosy — odpowiedziała matka — gdzie Chrystus z Świętymi czeka na ciebie. Odpraw świętą walkę dla zbawienia twojej duszy i pokaż się wiernym i stałym w miłości Zbawiciela twego! Pamiętaj także na tego, którego na sobie nosisz drogie relikwie.

— Wartość ich podwójna będzie w oczach twoich, najdroższa matko, nim godzina upłynie.

— Dalej, dalej, dosyć tych bredni — zawołał dozorca popędzając okutą laską Pankracjusza.

Lucyna cofnęła się, a Sebastian ścisnął rękę Pankracjusza i szepnął mu w ucho:

— Bądź mężnym, drogi chłopcze i niechaj ci Bóg błogosławi! Będę zaraz za cesarzem, spojrzij tam ku mnie ostatnim wejrzeniem, i ulatując do nieba, daj błogosławieństwo twoje.

— Ha, ha, ha! — zabrzmiał śmiech piekielny tuż za nim. Obejrzał się i dostrzegł tylko płaszcz znikający za kolumną. Kto to mógł być, nie domyślał się Sebastian. Był to Fulwiusz, który w tych słowach pochwycił ostatnie ogniwo do łańcucha dowodów, nad których zebraniem długo pracował, że Sebastian jest niezawodnie chrześcijaninem.

Pankracjusz stanął wkrótce pośrodku areny, ostatni z szeregu wiernych wyznawców Chrystusa. Zostawiono go na sam koniec w nadziei, że widok cierpień braci zachwieje jego stałość, lecz ta rachuba przeciwny skutek wydała. Zatrzymał się, gdzie go postaviono, a delikatne członki odbijały od ciemnych

i brązowych postaci katów. Odstąpili nakoniec i oprawcy.

Chłopiec, nie mający jeszcze lat dwudziestu, stał bez więzów, modlił się gorąco do Boga, stałym i nieustraszonym sercem, nie ruszył się z miejsca, nie zadrział, ani pobladł. Uśmiechał się, gdy niedźwiedzie i lamparty wściekłością i ogniem z nozdrzów parskające, krwi i żeru spragnione, do niego przyskoczyły. A gdy już rozszarpać go miały, paszcze ich zdawały się być ujęte i zamknięte Boską i tajemniczą potęgą, stanęły niedźwiedzie i lamparty i odstąpiły spokojnie.

Motłoch wściekał się widząc, że jedna bestia po drugiej kręci się jak szalona koło niego, rycząc i ogonem po bokach się smagając, gdy tymczasem Pankracjusz stał w cudownym kole, którego potwory przekroczyć nie śmiały! Wypuszczono rozjuszonego byka. Pędził szalenie naprzód wprost na męczennika, z łbem spuszczonego, z nastawionymi rogami, Potem nagle stanął, jakby łbem o mur uderzył, jął grzebać gwałtownie ziemię i rycząc dziko, rozrzucał wokół siebie piasek zakrwawiony. Pankracjusz stał nietknięty.

— Zaczep go, tchórz! — ryknął jeszcze głośniejszym głosem cesarz, nie posiadając się od gniewu.

Pankracjusz zbudził się jak z zachwyty i z podniesionymi rękami biegł ku nieprzyjacielowi, lecz dzika bestia, jakby straszliwy lew na nią powstał, obróciła się i biegła ku tajni, a napotkawszy strażnika, który chciał ją zatrzymać, wyrzuciła go w powietrze. Wszyscy się mieszały prócz śmiałego młodzieńca, który stał znowu i modlił się, gdy ktoś z tłumu zawołał:

— Czary nosi uwiązane na szyi, czarownik! —



Cały tłum powtórzył krzyk, a cesarz, nakazwszy milczenie, zawołał do Pankracjusza:

— Zdejm czary z szyi i odrzuć od siebie, nie czekaj, aby je zdarto z ciebie.

— Paniel! — rzekł młodzieniec dzwicznym głosem, który słodko przebrzmiał wśród uciśzonego amfiteatru. — Nie czary na sobie noszę, lecz pamiątkę po ojcu, który w tym samym miejscu głośno czynił to samo wyznanie, jakie ja teraz spokojnie czynię: jestem chrześcijaninem i dla miłości Jezusa Chrystusa, Boga i człowieka, z radością życie oddaję. Nie zabierajcie mi tego jedyne go spadku, który już przekazałem komu innemu, bogatszym, aniżeli go odebrał. Próbujcie raz jeszcze. Pantera dała koronę męczeńską ojcu mojemu, i mnie da ją może.

Przez chwilę panowało grobowe milczenie, rzesza zdawała się ułagodzona i litością zdjeta. Pełna wdzięku postać odważnego młodzieńca, oblicze pełne natchnienia, dzwiczny głos, śmiałość mowy i wspaniałomyślne poświęcenie siebie samego wierze swej na świadectwo, zrobiły wrażenie na podłej i okrutnej tłuszczy.

Czuł Pankracjusz, co się dzieje, i okrucieństwem nieustraszony, zadrżał na myśl, że ułaskawionym być może. Obiecował sobie niebo na ten dzień, miałaby być zawiedzionym? Łzy stanęły mu w czach, i znowu wyciągając ręce w kształcie krzyża, zawołał głosem, który przeszył wskroś wszystkie serca.

— Dzisiaj, o tak, dzisiaj, o Paniel jest dzień wyznaczony na przyjście Twoje! Nie ociągaj się dłużej! Twoja potęga dostatecznie okazała się na mnie tym, którzy w Ciebie nie wierzą, pokaż twoje miłosierdzie dla mnie, który wierzę w Ciebie.

— Panterę! — zawołał głos jeden.

— Panterę! — powtórzyło dwadzieścia głosów.

— Panterę! — zagrzmiało głosów tysiące chórem, podobnym do loskotu lawiny.

Klatka wyrosła jakby czarem z piasku natchmianst, cztery boki odpadły, dając wolność Afrykance. Lekkim i miękkim krokiem zgrabna wychowanka pustyni wolności spróbowała, i chociaż ciemnością, więzieniem i głodem rozdrażniona, swawolnie i wesoło skakała, a cicho, a składnie jak kotka, gdy nareszcie rzuciła okiem na zdobycz, kocia przebiegłość wspólnie ze srogością tygrysa ożywiły ostrożne i zdradliwe ruchy w aksamit strojnej pantery. Cały amfiteatr pogrążony był w śmiertelnym milczeniu; każde oko natężało się za każdym ruchem dzikiego zwierza ku Pankracjuszowi. On zaś stał ciągle na miejscu twarzą do cesarza, widocznie zajęty wyższymi myślami i obojętny na zamiary nieprzyjaciela. Pantera obeszła go wokoło, jakby gardząc zaczepką z tyłu. Pierśią przy ziemi, pomału posuwając jedną łapę za drugą, przyczaiła się do ofiary w pewnej, kocim okiem wymierzonej odległości i zatrzymała się chwilę, trzymając w zawieszeniu oddech stu tysięcy widzów; mruknęła głęboko, elastycznym skokiem odbiła się w powietrze, i ujrzano ją wiszącą jak pijawkę, z tylnymi nogami na piersiach, z przednimi pazurami na gardle męczennika.

Stał nieporuszony przez chwilę, podniósł prawą rękę do ust i patrząc z uśmiechem na Sebastiana, posłał wdzięcznym poruszeniem ręki ostatni pocałunek ust swoich i upadł. Arterie szyi były przecięte, i sen męczeństwa odrazu zamknął mu powieki. Krew jego zmie-



szala się i połączyła z krwią ojca, odświeżyła i z bogaciła relikwię, którą Lucyna uwiesiła na jego szyi. Ofiarę matki Bóg przyjął.

## ROZDZIAŁ XXIV.

### Chrześcijański żołnierz.

Ciało młodego męczennika złożono na wieczny spoczynek na cmentarzu przy Aureliańskiej drodze, któremu wkrótce nadał Kościół imię Pankracjusza, od którego i pobliska brama imię dostała. W późniejszym czasie powstała bazylika na grobie jego i dotąd stoi dla uwiecznienia chwały świętego pacholecia.

Prześladowanie wzmagало się coraz bardziej i codzień mnożyło liczbę ofiar. Wielu, których imiona występowały w tej powieści, a w szczególności mieszkańcy willi Chromacjusza padali szybko. Pierwszą była Zoe, którą z kalectwa wyleczył Sebastian. Napadniętą przez pogański motłoch u grobu św. Piotra, gdzie się modliła, natychmiast przed sąd zaprowadzono i zawieszono głowę na dół i wędzono nad dymnym ogniskiem, póki nie wyzionęła ducha. Mąż jej z trzema innymi razem nawróconymi chrześcijanami schwytani, daremnie mękami kuszeni, ścięci zostali. Trankwillinus, ojciec Marka i Marcelina, zazdroszcząc korony męczeńskiej Zoi, poszedł wśród dnia na modlitwę do grobu św. Pawła; ujęty na tej zbrodni, natychmiast bez sądu ukamienowanym został. Synowie jego, bliźnięta, także ciężką śmiercią poginęli. Zdrada Torkwata i dany przezeń do nosicielowi rysopis dawnych jego towarzyszków,

a w szczególności odważnego Tyburcjusza \*) który został ścięty, wielce ułatwiły dzieło zniszczenia.

Sebastian czuwał wśród ogólnej rzezi, nie jak budowniczy, który widzi dzieło swoje przez burzę niszczone, ani jak pasterz, któremu w oczach łupieżca zuchwały owieczki miłe zagarnia, ale jak wódz na polu bitwy, widział przed sobą jedynie zwycięstwo, doliczał do pełnych chwały bohaterów każdego, który z kolejnym oddał dla odkupienia zwycięstwa, i zároveň gotów był własne oddać życie na pierwsze zawołanie. Śmierć każdego przyjaciela jeden związek Sebastiana z ziemią zrywała, a ogniwo dodawała do łańcucha, którym go Pan do siebie przyciągał; każda śmierć była jedną troską, ubywającą ze świata, a powtórzonym wezwaniem do nieba. Siadał czasem samotny i zadumany w miejscach, gdzie dawniej z Pankracjuszem rozmawiał, przypominając sobie wesołość, wdzięczne myśli, niewinną cnotę miłego i zanego młodzieńca. Lecz nie czuł, aby byli bardziej od siebie rozłączeni, jak podczas wyprawy młodzieńca do Kampanii. Odprawił go, jeśli rzecz tak można, do niebieskich podwoi, i przeczuwał, że wkrótce miała przyjść kolej na niego. Wiedział dobrze, czuł w sercu swoim rosnącą łaskę męczeństwa, i w spokojnej pewnością oczekiwał godziny wezwania. Przygotowania były krótkie: cokolwiek miał w pieniądzach, rozdał między ubogich, a wszelką inną własność zabezpieczył sprzedażą od grabieży cesarskiej.

Fulwiusz dostał piękny dział w łupach po-

\*) Święto jego obchodzi Kościół w dniu 11-go sierpnia, a razem i ojca jego Chromacjusza.



chrześcijańskich, lecz wogóle zawiedziony był w nadziejach. Nie był już zmuszony prosić o wsparcie cesarza, którego przytomności unikał, lecz nic nie odłożył, i nie zbagacił się. Co wieczór musiał wysłuchiwać pełnego wymówek i pogardliwego badania Eurotasa, który surowego domagał się rachunku ze spraw dnia każdego. Teraz wszakże oświadczył ponuremu panu swemu, gdyż panem nieszczęsnego był Eurotas, że postanowił większym popisać się zamachem na cesarskiego ulubieńca, który w służbie musiał wielki zebrać majątek. Majątku zaś tego położyła stać się miała własnością Fulwiusza, albo raczej Eurotasa.

Niedługo sposobności wyczekiwał.

Dnia 9-go stycznia było publiczne i uroczyste posłuchanie u cesarza, gdzie się zebrali wszyscy wyglądający łaski, lub obawiający się gniewu cesarskiego. Fulwiusz stawiał się wraz z innymi, i jak zazwyczaj, doznał zimnego przyjęcia; lecz zniosłszy w milczeniu gniewne pomruki pańskiej niełaski, postąpił śmiało, upadł na jedno kolano i tak przemówił:

— Pani! boskość twoja wymawiała mi nieraz, żem przez odkrycia moje nader słabo odpłacał łaskawość twą i szczodrość! Lecz teraz odkryłem najszykarszyszy spisek z najpodlejszą niewdzięcznością knowany przez ludzi bezpośrednio zbliżonych do boskiej twojej osoby.

— Co chcesz powiedzieć, głupcze?—zapytał tyran niecierpliwie.—Mów od razu, albo ci każę żelaznym hakiem słowa z gardła powyciągać!

Fulwiusz powstał i wskazując ręką, rzekł z gorzkim przymileniem:

— Sebastian jest chrześcijaninem.

Cesarz zatrząsł się na tronie i krzyknął gwałtownie:

— Kłamiesz, łotrze! Musisz dowieść prawdy słów twoich, albo umrzesz śmiercią, jakiej jeszcze żaden pies chrześcijanin nie przecierpiał.

— Mam dowody—odrzekł, wyjmując z pod sukni pergamin i podając na klęczkach.

Cesarz miał już z gniewną odpowiedzią wybuchnąć, gdy Sebastian z wypogodzonym i swobodnym obliczem stanął przed Maksymianem, i najspokojniejszym głosem rzekł do Fulwiusza:

— Nie sil się na dowody. Chrześcijaninem jestem i chlubię się z tego.

Maksymian, gminny żołnierz, bez żadnego wykształcenia, z trudnością umiał się wysłowić w przyzwolonej łacinie, nawet gdy był spokojny; lecz w złości mowa jego składała się z urywanych i bez związku zdań, zmieszanych z najbrzydszymi słowami. W takim był teraz stanie i obsypał Sebastiana tysiącem obelg, w których mu zarzucał wszelkie zbrodnie i przezywał hańbiącymi i grubiańskimi imionami. Dwie wszakże zbrodnie, nad którymi najgłośniejsze się unosił, były zdrada i niewdzięczność.

Żołnierz chrześcijański przytrzymał burzę tak odważnie, jak nieraz wytrzymywał natarcie nieprzyjaciela na polu bitwy.

— Posłuchaj mnie, Maksymianie—odrzekł—może po raz ostatni. Powiedziałem, iż jestem chrześcijaninem i właśnie w moim wyznaniu masz najlepszy zakład bezpieczeństwa twego.

— Jakto? niewdzięczniku!

— Tak jest, najjaśniejszy panie; jeśli chcesz mieć przy swoim boku straż złożoną z ludzi, którzy ostatnią kroplę krwi chętnie za ciebie przeleją, pójdź do więzień i wypuść chrześcijan, przykutych łańcuchami do posadzek i ścian tych lochów; poszlij do trybunałów i każ zdjąć



napół umarłych wyznawców z tortury i z rusztów żelaznych; poszlij rozkaz do amfiteatrów, aby wyrwano napół poszarpanych chrześcijan z paszczy tygrysów; dozwól im przyjść do siebie, daj im broń do ręki i otocz się nimi; to spotwarzone, pokaleczone wojsko służyć ci będzie wierniej, szczerzej i z większym poświęceniem, aniżeli wszystkie dackie i panońskie legiony! Odebrałeś im połowę krwi, a oniby ochoczo drugą połowę za ciebie przelali.

— Głupstwo i szaleństwo! — odrzekł szydsko barbarzyniec. — Wolałbym raczej otoczyć się zgłodniałymi wilkami, niż chrześcijanami. Twoja zdrada jest mi dostatecznym dowodem, jaki los mnie czekał.

— A cóżby mi mogło przeszkodzić postąpić jako zdrajca, gdybym zdrajcą był? Czy nie miałem przystępu do twej cesarskiej osoby w nocy i we dnie... a czy zdradziłem cię kiedy? Nie, cesarzu, nikt nigdy nie był ci wierniejszym ode mnie. Lecz mam innego, większego Pana, któremu też służyć muszę; Pana, który nas obu sądzić będzie, i prawom Jego muszę być posłusznym raczej, niż twoim.

— A dlaczego, jak tchórz ukrywałeś wiarę swoją? Pewnie, aby uniknąć srogiej śmierci, na którąś zasłużył?

— Nie, panie, nie jestem tchórzem. Nikt lepiej od ciebie nie wie, iż nie jestem ani zdrajcą, ani tchórzem. Póki mogłem braciom posługi oddawać, żyłem boleśnie wśród ich męczarni. Lecz nadzieja nareszcie zamarła we mnie i dziękuję całym sercem Fulwiuszowi, że oskarżeniem swoim oszczędził mi kłopotliwego wyboru między szukaniem śmierci, a znośzeniem życia.

— Och! tego wyboru oszczędzę ci. Zasłużyłeś na śmierć i postaram się taką ci wyszukać, abyś się nią mógł do woli nacieszyć. Lecz — dodał ciszej, jakby do siebie samego — to nie powinno na jaw wychodzić. Wszystko musi się odbyć spokojnie w domu; przykład zdrady jest zaraźliwy. Kwadratusie! imaj twego chrześcijańskiego trybuna! Cóż to? Czyś głuchy? Czemu się nie ruszasz?

— Bo jestem także chrześcijaninem.

Drugi napad gniewu wywołał drugi wybuch szpetnych wyrazów, a wkońcu wyrok śmierci na setnika. Zwykle wyrok podobny natychmiast spełniano mieczem. Lecz inny los zgotowany był dla Sebastiana.

— Niech tu Hifax przyjdzie — ryknął tyran.

Wnet wszedł do sali wysoki, na pół nagi Numidyjczyk. Łuk niezmiernej długości, kołczan różnobarwnie malowany i pełen strzał, krótki, szeroki miecz, stanowiły strój i uzbrojenie naczelnika afrykańskich strzelców. Stał przed cesarzem jak piękny miedziany posąg, z oczami i zębami z najczystszej białej emalii.

— Hifaxie! mam dla ciebie robotę na jutro rano, lecz musi być dobrze sprawiona — rzekł cesarz.

— Jak najlepiej, cesarzu — odrzekł śniady naczelnik z dzikim uśmiechem, który znowu odsłonił dwa rzędy zębów przedziwnej białości.

— Widzisz Sebastiana, trybuna gwardii mojej?

Murzyn skłonił się potakując.

— Oto okazało się, że jest chrześcijaninem!

Gdyby Hifax był nastąpił w tej chwili niespodziewanie na ukrytego padalca, lub na gniazdo skorpionów, nie byłby gwałtowniej



zadrzał. Myśl, że jest tak blisko chrześcijanina, przeraziła go i zgrozą przejęła, jego, co czcił wszelkie bezceństwa, co wierzył we wszelkie niedorzeczności, co się oddawał wszelkiej rozpuście, co się dopuszczał wszelkiego okrucieństwa!

Maksymian mówił ciągle, a Hifax każdemu słowu potakiwał kiwaniem głowy i czymś, co miało być uśmiechem, lecz nie był to uśmiech ludzki!

— Weźmiesz Sebastiana do swojej izby i jutro wcześniej zrana, nie zaś dziś wieczór, bo o tej porze dnia jesteście wszyscy pijani, lecz jutro rano, gdy ręce będziecie mieć pewne, przywiążcie go do drzewa w gaju Adonisa i pomału strzelać będziecie. Pomału, pamiętaj; nie po waszemu prosto w serce lub w głowę, lecz po całym ciele, póki nie umrze, wycieńczony utratą krwi i z bólu. Rozumiesz mnie? Bierz go więc od razu i nade wszystko milcz! albo...

## ROZDZIAŁ XXV.

### Wybawienie.

Naprzekór wszelkim ostrożnościom w ukryciu tajemnicy rozeszła się wkrótce wiadomość pomiędzy wszystkimi, styczność z dworem mającymi, że Sebastian jest chrześcijaninem i że ma być rozstrzelany nazajutrz rano. Lecz na nikim ta podwójna wiadomość nie uczyniła takiego wrażenia, jak na Fabioli.

— Sebastian chrześcijaninem — rzekła do siebie samej — najszlachetniejszy, najnieskazitelniejszy, najmądrzejszy z rzymskiej szlachty

członkiem tej niecnej, głupiej sekty? Niepodobna! A przecież rzecz zdaje się pewna. Oszukana więc jestem. Nie był tym czym się być wydawał. Byłże więc zwyczajnym obłudnikiem, płaszczem cnoty tajemne rozpusty pokrywającym? Niepodobna! Nie, niepodobna! Miałam tego pewne dowody. Przecież gdyby był chciał, mógł był otrzymać rękę moją i majątek. Nie byłabym mu pewnie odmówiła. Ale jego zachowanie się względem mnie było zawsze tak szlachetne, tak bezinteresowne. O, nie! on jest pewnie tym, czym się wydaje: nie po złotą obłudną, lecz złotem prawdziwym. Więc jakże wytłumaczyć niepojęty fenomen! Chrześcijanin cnotliwym, kochania godnym!

Nie domyślała się Fabiola, iż właśnie dlatego, że był chrześcijaninem! Pytanie w innym przedstawiało się jej świetle: jakim sposobem mógł być wszystkim, czym był, chociaż był chrześcijaninem?

Obracała tę trudność w głowie swej na różne sposoby, lecz na próżno. Więc pomyślała:

— Może wreszcie pocziwy stary Chromacjusz miał słusność, iż wiara chrześcijańska może nie jest tym, czym ją sobie wystawiałam, i powinien być lepiej się o niej przekonać. Pewna jestem, że Sebastian nigdy nie popełnił okropności, przypisywanych chrześcijanom. A przecież tak ogólnie są im zarzucane!

Czyby nie mogły być w tej religii dwie szkoły, jedna wyższa, druga podlejsza? Tak właśnie jak w sekcie Epikurejskiej, do której Fabiola należała; jedna podła, materialna, pełzająca w samym błocie cielesności; druga wytworna, sceptyczna i myśląca. Sebastian należałby może do tej wyższej klasy, gardząc i brzydząc się zabobonami pospolitych chrześcijan.



Takie przypuszczenie byłoby znośne, lecz nie umiałoby wytłumaczyć rozumowi swemu, jakim sposobem tak szlachetny żołnierz, jak Sebastian, mógł należeć w jakimkolwiek stopniu do tak obrzydłej sekty. A przecież gotów był umierać za wiarę! O Zoe i innych nie słyszała wcale, gdyż dopiero w wilię powróciła z podróży do Kampanii, gdzie jeździła załatwiać interesa po ojcu.

— Co za szkoda—pomyślała— że tak mało w tym przedmiocie rozmawiałam z Sebastianem! Lecz teraz zapóźno; jutro rano żyć przestanę!

Ta druga myśl bólem dotkliwej straty przeszła jej serce. Zdawało jej się, jakby osobistą zagrożoną była żalobą, jakby los Sebastiana miał ugodzić w osobę, ściśle nieznaną i tajemnym węzłem z jej sercem związaną.

Myśli jej stawały się coraz czarniejsze i smutniejsze. Nagle przerwało je wejście niewolnicy ze światłem. Była to Afra, czarna służa, niosąca wieczorny posiłek, który miała pani dziś spożyć w samotności. Nakrywając stół, rzekła Afra:

— Czy panią doszły dzisiejsze nowiny?

— Jakie nowiny?

— Te, że Sebastian ma być strzałami zakłuty jutro rano. Co za szkoda! Taki piękny młodzieniec!

— Milcz, Afro, chyba że masz jakie nowe szczegóły do udzielenia mi w tej sprawie.

— Och, ma się rozumieć i bardzo zadziwiające. Czy pani wie, że się okazało, iż Sebastian jest także jednym z tych przebrzydłych chrześcijan?

— Nie plec o tym, czego rozumieć nie możesz.

— Nie będę, kiedy nie chcesz, pani, myśleć zresztą, że los jego jest rzeczą obojętną dla ciebie, pani. Mnie przynajmniej jest zupełnie obojętny. Nie będzie on pierwszym setnikiem przez moich rodaków rozstrzelanym. Wielu zabili, a niektórych uratowali. Lecz zresztą była to rzecz całkiem przypadkowa.

W jej słowach i wyrazie było jakieś znaczenie, które nie uszło bystrego ucha i umysłu Fabioli. Podniosła oczy po raz pierwszy i wlepiała przenikliwie w śniade oblicze służi. Nie było tam wzruszenia; stawiała flaszkę wina na stół, zupełnie jakby nic nie była powiedziała. Nareszcie pani rzekła do niej:

— Afro! co ty masz na myśli?

— O nic, nic, co może wiedzieć biedna niewolnica? A tymbardziej co może zrobić?

— Powiedz, powiedz, rozumiałaś coś przez słowa swoje, o czym wiedzieć muszę.

Niewolnica obeszła naokoło stołu, stanęła tuż przy łożu, na którym Fabiola spoczywała, obejrzała się wkoło i za siebie, i szepnęła.

— Czy chcesz, aby życie Sebastiana było uratowane?

Fabiola prawie podskoczyła, mówiąc:

— Zapewne.

Służa przycisnęła palce do ust, aby zalecić milczenie i rzekła:

— Będzie drogo kosztować.

— Powiedz ile?

— Sto sestercjów i wolność moja.

— Przystaję na warunki, lecz jaka pewność moja będzie?

— Warunki będą obowiązujące wtenczas dopiero, jeśli z dwadzieścia cztery godzin po spełnieniu wyroku żyć jeszcze będzie.

— Dobrze; a jaka twoja pewność?



— Twoje słowo, pani.

— Idź, Afro, nie trać ani jednej chwili.

— Niema nic pilnego — spokojnie odrzekła niewolnica, kończąc bez roztargnienia przygotowanie do wieczery.

Potem udała się do pałacu, do kwater murykańskich strzelców i weszła prosto do naczelnika.

— Czego chcesz, Jubalo? — rzekł — o tej godzinie? Niema obrządków tej nocy.

— Wiem, Hifaxie; lecz mam ważny interes do ciebie.

— Przez Wulkana! O cóż idzie?

— O ciebie, o mnie i o więźnia twego.

— Spójrz na niego — rzekł barbarzyńiec, wskazując ręką na dziedziniec, na który drzwi od kwatery były otwarte. — Nie myślałabyś, że jutro rano strzały go czekają. Patrz, jak doskonale śpi. Lepiejby nie spał, gdyby miał jutro gody małżeńskie odprawiać.

— Tak jak my właśnie, Hifaksie — rzecze murzynka.

— Niezupełnie tak prędko; są pewne warunki, które pierwszej dopełnione być muszą.

— Dobrze, a jakież warunki?

— Naprzód wyzwolenie twoje. Nie mogę się zenić z niewolnicą.

— Już nią jutro nie będę.

— Powtóre wiano, ale co się zowie dobre wiano, pamiętaj, bom nigdy bardziej pieniędzy nie potrzebował, jak teraz.

— I to będzie. A ilebyś żądał?

— Nie mniej jak pięćdziesiąt sestercjów<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Przeszło 30.000 złp. Sestertius, pieniądz srebrny, mający czwartą część denara, ważący 2½ asa, czyli 30 uncji miedzi.

— Przynoszę ci siedmdziesiąt.

— Doskonale! Skądże masz te pieniądze? Kogoś zrabowała? kogoś otruła? moja przedawna kapłanko! Czemu czekać pojutrze? Niech będzie jutro, dziś nawet.

— Oto! nie tak zaraz, Hifaxie. Ale niech odpowiem na zapytania twoje. Dla tych pieniędzy nikogom nie okradła, ani zabiła.

— Niepodobna! — zawołał Hifax przekonany.

— Niepodobna, a prawda. Pieniądze te są rzetelnie nabyte, ale także pod pewnymi warunkami. Mówiłam, że przychodzę mówić między innymi o więźniu.

— Cóż on ma wspólnego z naszymi godami?

— Bardzo wiele.

— Nie rozumiem.

— Oto... nie powinien umierać.

Naczelnik patrzył na niewolnicę z wyrazem złości i osłupienia. Gotów był gwałtownymi rękami porwać się na Afrę; lecz stała przed nim nieulękłona i niewzruszona, trzymając go pod władzą swoją potęgą krępującego oka, jak wąż afrykański wzrokiem swoim krępuje i rozbija sępa.

— Czyś szalona! — krzyknął nareszcie. — Mogłaś równie dobrze od razu mej głowy zażądać. Gdybyś była widziała twarz cesarza, gdy rozkazy dawał, wiedziałabyś, że niema z kim żartować.

— Ba! ba! ma się rozumieć, że więzień będzie niby umarły i że będzie za umarłego podany.

— A jeśli potem zmartwychwstanie?

— Współwyznawcy jego będą już wiedzieli, jak go ukrywać.

— Powiedziałas, że idzie o to, aby tylko



dwadzieścia cztery godzin żył jeszcze; łatwiej byłoby dwanaście.

— Niezbędne jest, aby przeżył dwadzieścia cztery godzin; w dwudziestej piątej może już bezpiecznie umierać.

— Niepodobna, Jubalo, niepodobna, to zbyt ważna osoba.

— A więc dobrze, to i po naszym targu. Pieniądze dane są tylko pod tym warunkiem; 70 sestercyj za drzwi wyrzucone — obróciła się aby wyjść.

— Stój, stój! — rzekł Hifax chciwie; — Pomyślimy nad tym! Połowa pieniędzy pójdzie od razu na przekupienie moich ludzi i na pohulanek z nimi.

— To nic, mam na to, prócz owych siedmdziesięciu, jeszcze trzydzieści sestercyj.

— Czy tak mówisz, moja królowo, moja czarnoksiężnico, mój czarujący duchu? Ale to nadto dla moich łotrów! Damy im połowę, drugą przydamy do ślubnego wiana: nieprawda?

— A więc zgoda. Będzie żył dwadzieścia cztery godzin, a potem sute wesele.

Sebastian tymczasem nie domyślał się tego o życie swoje targu, gdyż, jak Piotr pomiędzy dwoma strażnikami, spał spokojnie pod murem dziedzińca. Zmęczony dzienną pracą, skorzystał z rzadkiej sposobności udania się wcześniej na spoczynek, a marmurowa posadzka była łóżem dość wygodnym dla żołnierza. Lecz po wielu godzinach spoczynku obudził się orzeźwiony, a że wszystko wkoło było uśpione, powstał cicho i ze złożonymi rękami modlił się.

Modlitwa męczennika nie jest przygotowaniem na śmierć, gdyż kto taką śmiercią umiera, przygotowania nie potrzebuje. Żołnierz, który nagle oświadcza, że jest chrześcijaninem,

nachyla głowę i miesza krew swoją z krwią wyznawcy, którego miał być katem: — przyjaciel nieznanego imienia, który wita męczennika na śmierć idącego i pochwycony jest, i towarzyszy mu z ochoczym sercem, jest tak dobrze do męczeństwa przygotowany, jak ten, który miesiące w więzieniu na modlitwie przeżywał. Nie jest więc ta modlitwa wołaniem o przebaczenie dawnych grzechów, gdyż ma się wtedy świadomość tej doskonałej miłości, która odpędza bojaźń i pewność łaski najwyższej, która jest odpuszczeniem zupełnym.

Ani też nie była to u Sebastiana modlitwa o siłę i odwagę, gdyż uczucie bojaźni było mu zupełnie nieznanem.

Nigdy nie przyszło mu na myśl wątpić, że jak nieustraszenie śmierci się stawiał dla ziemskiego monarchy na polu bitwy, tak radośnie podda się jej wszędzie dla niebieskiego Pana.

Modlitwa więc Sebastiana była nieprzerwanym radosnym hymnem na chwałę i cześć Króla królów, złączeniem z wiecznymi chórami Serafinów i cudowną pieśnią ich nieustającego zachwyty, które na skrzydłach archanielskich wstępują do podnóżka tronu Bożego.

Gdy gwiazdy na jasnym niebie świeciły, wyzywał je, aby czujne, jak on sam strażnice, odpowiadały mu hasło Boskich pochwał; i gdy wiatr nocny szumiał w drzewach z liści ogolonych w pobliskim gaju Adonisa, rozkazywał dziwacznej harmonii uciszyć się, i trzęszącym, suchym gałęziom najśłodsze składać hymny, na jakie ziemia zdobyć się mogła w tych zimowych nocnych godzinach.

Teraz zajaśniała przed nim radosna myśl, że ranna godzina zbliża się i wkrótce te gałęzie szumieć będą od ostrego świstu niechybnych



strzał lecących do celu. I wydawał się już naprzód radośnie na jadowite świszczące ostrza afrykańskich strzał, by piły krew jego. Uczynił pokornie Bogu ofiarę z życia swojego, prosząc, aby je przyjął jako całopalenie za tyle zniewag, wyrządzonych imieniu Jego świętemu. Ofiarował się w szczególności za bolejącego Kościół i modlił się, aby śmiercią swoją złagodził wiernych cierpienia.

A potem myśli jego wzniosły się od ziemskiego do niebieskiego, nieśmiertelnego Kościoła dążąc, jak orzeł, z najwyższego szczytu wysokiej góry ku słońcu samemu.

Chmury się rozpięchły i ranna błękitna zasłona na niebiosach przedarła się, jak niegdyś zasłona przybytku, niebo się otworzyło, Sebastian patrzy w objawione głębokości i wysokości, daleko, daleko poza zgromadzenie świętych i legiony aniołów, widzi to, co widzi at pierwszy męczennik Szczepan św.: niewypowiedzianą chwałę Pana samego. Hymn Sebastiana umilkł; harmonie dały mu się słyszeć zbyt słodkie i doskonałe, aby śmiał mieszać do nich pieśń ziemską głosu ludzkiego. Słyszał je i miał niebo w duszy.

Było to źródło najczystszej ochłody, podobniejsze płynącemu światłu, niż wodzie, płynące z pod stóp Baranka i wlewające się w serce wyznawcy, które w milczeniu obfitości łaski Bożej przyjmowało, a w spływającej tej łaski strumieniach widział oblicza szczęśliwych przyciół, którzy go wyprzedzili; widział, jak się napawali, kapali, weselili, zanurzali i rozplýwali w oceanie życia i szczęścia.

W pływającej twarzy jego, jak w zwierciadle, malowało się to Boskie widzenie. Piękny ranny brzask, noc rozpędzający (o, jakież to był

brzask!) opromieniał twarz jego, gdy stał z rękami na krzyż złożonymi, obrócony do wschodu tak, że gdy Hifax otworzył drzwi swoje i ujrzał go, mógł był pełzać wzdłuż dziedzińca i czuć go: twarzą o ziemię bijąc.

Sebastian zbudził się z zachwyty. Dźwięk sestercej brzęczał w uszach Hifaxa, wziął się więc szczerze do roboty. Wybrał ze swoich stu ludzi pięciu strzelców, którzy strzałą w locie trafić i przeszyć umieli, zawołał ich do swego pokoju, powiedział o nagrodzie, nie wspominając o swej własnej lwiej części łupu i nauczył, jak się ma odbyć strzelanie.

Za zwłoki męczennika ofiarowali już potajemnie chrześcijanie wielką sumę i dwaj niewolnicy czekać mieli zewnątrz dziedzińca dla odebrania wykupionego ciała. Na milczenie ludzi swoich mógł Numidyjczyk liczyć z pewnością.

Zaprowadzono Sebastiana do pobliskiego dziedzińca pałacu, który dzielił kwatery afrykańskich strzelców od jego własnego mieszkania. Dziedziniec ten zasadzony był rzędami drzew i poświęcony Adonisowi. Sebastian siedł wesoło pośród swych oprawców, w towarzystwie całego oddziału strzelców, którym pozwolono być przytomnymi, jako niezwykle mu popisowi dobrego strzelania. Z odzienia obdarzonego trybuna przywiązano do drzewa; pięciu wybranych strzelców zajęło stanowiska swoje z zimną krwią i natężeniem. Był to zaprawdę najsmutniejszy rodzaj śmierci. Sebastian obejrzał się wokoło; nie miał przy sobie ani przyjaciela, ani serca współczującego, ani jednego brata chrześcijanina, coby poniósł ostatnie pożegnanie wiernym, lub spamiętał dla nich ostatnie słowa męczennika i opowiedział



niezachwianą do końca stałość, z jaką cierpieć miał dla sprawy Chrystusa. Stać pośród amfiteatru wobec stu tysięcy świadków chrześcijańskiej stałości, spotykać zachęcające spojrzenia wielu i słyszeć ciche błogosławieństwa kilku ukochanych osób ma coś zachęcającego i wzniosłego w sobie; przydaje wreszcie, choć słabą pomoc ludzkich wzruszeń do potężniejszego działania łaski. Sam wrzask łączącego motłochu podnieca przyrodzoną odwagę, jak krzyk myśliwego przyspiesza chyży bieg uciekającego jelenia. Lecz wśród martwego milczenia, przy pierwszym brasku dziennym, w ciasnym podwórzu, przywiązany być do drzewa, jak lalka sianem wypchana na cel strzałom, według rozkazów tyrana; stać samemu pośród hordy czarnych barbarzyńców, których mowa nawet dzika, ostra i niezrozumiała, którzy po spełnieniu cesarskiego rozkazu, wśród śmiechów i grubych żartów, zasiądą do obiecannej uczy—wszystko to więcej miało podobieństwa do morderstwa wędrowca w ciemnym lesie przez bandytów, aniżeli do otwartego i chwały pełnego wyznania imienia Chrystusowego. Większe było podobieństwo do rozboju, niż do męczeństwa.

Lecz Sebastian o tym wszystkim nie myślał. Aniołowie wyglądali ku niemu, i podnoszące się słońce, które oczy jego olśniło, czyniąc go widoczniejszym celem dla strzelców, nie świetniej mu przyświecało od twarzy Tego, dla którego miłości cierpiał, a którego pragnął mieć jedynym świadkiem podjętej dla Niego męczarni.

Pierwszy Maurytanin przyciągnął łuk do ucha, strzała świsnęła i w ciele Sebastiana zadrzęła. Każdy z strzelców kolejno przystąpił, i okrzyki pochwalne powstawały po każ-

dym strzale tak trafnym a oszczędzającym żywotne części ciała stosownie do rozkazu cesarskiego. I tak zabawa ciągnęła się dalej wśród śmiechów, wrzasków, naśmiewań i uciechy, bez najmniejszej iskry politowania nad srogim bólem krwią zbrozonego ciała. Upojeni krwią i winem, wszyscy w głos się weselili — a męczennik rósł w wierze i w męstwie, ofiarując Bogu każde cierpienie swoje: klucie strzał, ogień ran zatrutych, utratę krwi, znużenie, więzy i mękę przykrępowania swojego.

O! jak pogodne a pokorne było nieustraszone serce, niewyciężony umysł, niezachwiana wiara, cierpliwość anielska, nienasycona żądza cierpienia dla miłości Pana. Gorąca była modlitwa, gorące spojrzenie w niebo wlepione, gorące natężenie ucha chciwego wzywającej harmonii niebieskich stróżów, bramy życia wiecznego otworzyć mających.

Była to w istocie okropna męka, nad śmierć okropniejsza. A śmierć nie przyszła, złote bramy nie otwarły się, męczennik przeznaczony dla większej jeszcze chwały na ziemi, nie czuł się nagle z śmierci do życia wiecznego przeniesionym, lecz usnął w objęciach aniołów. Oprawcy postrzegli, żeznaczona miara dopełniona, odcieśli więzy, i Sebastian bezprzytomny, i jak nieżywy, upadł na ziemię, szeroko zalaną krwią jego strumieniem.

## ROZDZIAŁ XXVI.

### Powrót do życia.

Późno było w nocy, gdy czarna niewolnica, układow przedślubnych dokonawszy, z wielkim zadowoleniem swoim wracała do pani. Noc była zimna, Afra dobrze się okryła i biegła spiesźnie: księżyc jasno i pogodnie świecił, a



promienie jego srebrzyły drgającym blaskiem szumiący wodospad *Meta Sudans*.

Afra stanęła, a po chwilowym milczeniu parsknęła głośnym śmiechem, jakby na śmieszne wspomnienie, połączone w jej myśli z tą piękną fontanną, i szła dalej, gdy uczuła się pochwyconą silnie za rękę.

— Gdybyś się nie była rozśmiała — rzekł niby z przymileniem trzymający ją człowiek — nie byłbym cię poznał. Lecz co do twojego hieniego śmiechu mylić się niepodobna. Słyszysz, dzikie zwierzęta, twoi afrykańscy krewni, odpowiadają ci z amfiteatru. Z czegoś się śmiała, proszę?

— Z ciebie.

— Jakto ze mnie?

— Myślałam o naszej ostatniej rozmowie w tym miejscu, i przypomniałam sobie, jakiegoś wtenczas głupca z siebie zrobił.

— Jaka łaska z twej strony, Afro, myśląc o mnie właśnie wtedy, gdy ja wcale nie myślał o tobie, lecz o twoich rodakach, co siedzą w jamach pod amfiteatrem.

— Daj pokój zuchwałym przycinkom i nazywaj ludzi po imieniu. Nie jestem już Afrą niewolnicą, a przynajmniej przestanę być za parę godzin, lecz jestem Jubalą, żoną Hifaxa, naczelnika maurytańskich strzelców.

— Bardzo szanowny człowiek, bez wątpliwości, gdyby tylko umiał innym mówić językiem, a nie swoim niezrozumiałym szwargotem. Powiadasz, że tylko jeszcze kilka godzin jesteś niewolnicą: to więcej czasu, niż potrzeba do sprawienia interesu, o którym chcę mówić z tobą. Zdaje mi się, żeś się trochę pomyliła z tym, coś mówiła teraz. Wszak to nie ja, ale ty wy kierowałaś mnie na głupca, przy na-

szej ostatniej rozmowie. Co się stało z twoimi pięknymi obietnicami i z moim piękniejszym złotem, które w zamian dane było? Przekonałaś się, że moje złoto było dobrą monetą, a twoje obietnice, pokazało się, że są tylko prochem.

— Bez wątpienia, gdyż tak powiada przysłowie w moim języku, że „proch na sukni mądrego człowieka więcej wart, aniżeli złoto w kieszeni głupca”. Lecz mówmy do rzeczy. Czyś istotnie wierzył w potęgę moich czarów i napojów?

— Zapewne, żeś wierzył; czy przyznajesz się do oszustwa?

— Niekoniecznie; widziałeś, żeśmy się pozbyli Fabiusza, i że majątek jest w rękach córki. Był to krok przygotowawczy, niezbędnie potrzebny.

— Jakto! Mówisz, że czary twoje usunęły ojca! — zapytał Korwin zdziwiony, odskakując od niewolnicy. Była to jednak tylko przechwałka, z której dalej korzystała Afro, mówiąc:

— Zapewne, a cóżby innego! Łatwo w ten sposób pozbyć się osoby, która nam zawadza.

— Dobranoc, dobranoc — odrzekł Korwin w wielkiej trwodze...

— Poczekaj chwilę — rzekła z uśmiechem — Korwinie, dałam ci owej nocy dwie rady warte całego twego złota. Ani jednej, ani drugiej nie usłuchałaś.

— Jakto?

— Czym ci nie mówiła, żebyś nie gonił za chrześcijanami, lecz ich w sidła chwytal? Fulwiusz tak sobie postąpił i przecie coś na tym zarobił. Tyś się trzymał pierwszego sposobu, i cóżes zyskał?



— Nic, prócz rozpacz, wstydu i chłosty.

— Więc dobra była moja pierwsza rada; przejdźmy do drugiej.

— Jakaż to była?

— Abyś rękę swoją wraz z majątkiem Fabioli ofiarował, gdy się zбоżacisz chrześcijańskimi łupami. Dotąd obojętnie odrzucała wszelkie zaloty; lecz rzecz jedną pilnie uważałam. Żaden z zalotników nie był bogaty. Sami marnotrawcy starali się o jej majątek, aby swój własny podeprzeć; zdaje się więc, że kto chce ją zdobyć, będzie musiał na tej opierać się zasadzie, że dwa a dwa cztery. Rozumiesz mnie?

— Aż nadto dobrze; ale gdzież ta liczba dwa, któraby się mógł zalecić?

— Słuchaj mnie, Korwinie, i dobrze zrozumiej, bo to ostatnia nasza rozmowa, a ja ciębie lubię jako żwawego, niezmordowanego, zawziętego, niepowstrzymanego i zakamieniałego złoźnika.

Zbliżyła się i szepnęła mu w ucho:

— Wiem od Eurotasa, z którego wszystko wyciągnąć umiem, że Fulwiusz ma na widoku kilka świetnych zdobyczy chrześcijańskich, a w szczególności o jednej wiem z pewnością. Pójdź tu w cień, a powiem ci, jak napewno możesz ten skarb zagrabić. Zabójstwo jemu zostaw, boby mogło nabawić cię kłopotu, a wleź między niego a zdobycz. On zrobiłby ci to samo, gdyby się pora zdarzyła.

Mówiła przez kilka minut po cichu, wkońcu Korwin krzyknął głośno:

— Doskonale!

Uciszyła szarpnięciem ręki radość zbyt głośną i wskazując na gmach naprzeciw stojący, zawołała:

— Cicho! Patrz tam!

Jakże się rzeczy zmieniły, albo raczej jak świat kołem się potoczył w tak krótkim czasie! Ostatnim razem, gdy te dwa przewrotne stworzenia stały na tym samym miejscu, przemysłiwając nad szkodą drugich, okno na górze zajęte było przez dwóch cnotliwych młodzieńców, którzy jak dwa dobre duchy zamierzali rozerwać sieć zdrady i zniweczyć czarne zamiary. Oba daleko: jeden spoczywa w grobie, drugi usypia w wilię męczeństwa. Śmierć musi być zaprawdę świętą potęgą, gdy widzimy, jak ona ma upodobanie w zabieraniu dobrych przed złymi. Chętnie zrywa kwiat, a zostawia zatruty chwast przy życiu, póki sam ze starości nie zginie.

Lecz w chwili, gdy spojrzeli w górę, okno było zajęte przez dwie inne osoby.

— To właśnie Fulwiusz — rzekł Korwin — ten co się teraz zbliżył do okna.

— A druga osoba jest to jego zły duch, Eurotas — dodała niewolnica. Oboje przyczaili się i słuchali z ciemnego zakątka.

Fulwiusz wrócił w tej chwili do okna ze szpadą w rękę, starannie ją obracając i oglądając rękojeść przy świetle księżyca. Cisnął ją wreszcie od siebie i klnąc zawołał:

— To miedź!

Eurotas nadszedł z pasem oficerskim, podług wszelkiego podobieństwa bogatym i starannie przypatrywał się.

— Wszystko fałszywe kamienie! To wszystko razem nie warte dziesięciu sestercyj. Miżerna praca twoja, Fulwiuszu!

— Zawsze wymówki, Eurotasie, a przecież ten nędzny zarobek kosztował mnie życie jednego z najulubieńszych cesarskich setników!



— I zapewne nie dziękował ci cesarz.  
Eurotas miał słuszość.

Nazajutrz rano niewolnicy, którzy odbierali ciało Sebastiana, zadziwieni byli na widok śniadej niewiasty, która zbliżywszy się, szepnęła:  
— Jeszcze żyje!

Zamiast więc przenieść męczennika na miejsce pogrzebu, zanieśli go do mieszkania Ireny.

Wczesna ranna pora i przeniesienie się cesarza do ulubionego laterańskiego pałacu, które się w wilię odbyło, ułatwiły przeprawę. Natychmiast przywołano Dionizjusza, który uznał, że wszystkie rany są do uleczenia, gdyż strzały nie tknęły żadnego żywotnego organu. Lecz utrata krwi była tak bardzo znaczna, że podług jego zdania, kilka tygodni minie, zanim chory będzie mógł się ruszyć.

Przez dwadzieścia cztery godzin Afra troskliwie przychodziła pytać się prawie co godzina, jak się ma Sebastian. Gdy naznaczony termin upłynął, zaprowadziła Fabiolę do mieszkania Ireny, aby się sama przekonała, że Sebastian żyje, ale też tyle tylko, że żyje. Fabiola jednak słowa dotrzymała. Niewolnica natychmiast była wyzwolona, posąg spłacony, który dostał Hifax. Wkrótce po palatynie i forum słyhać było opowieść o zaślubinach Afry.

Fabiola dopytywała się o Sebastiana z tak czułą troskliwością, że Irena nie wątpiła, że jest chrześcijanką. W pierwszych chwilach przedstawiała Fabiola na odbieraniu wiadomości u drzwi, wręczywszy opiekunce Sebastiana znaczną sumę na wydatki; lecz po dwóch dniach, gdy się miał lepiej, grzecznie zaproszono ją do pokoju i po raz pierwszy w życiu z wiedzą swoją znalazła się wśród chrześcijańskiej rodziny.

Irena, jak nam wiadomo, była wdową po Kastulusie, jednym z towarzyszków Chromacjusza. Mąż jej właśnie był umarł za wiarę, lecz nie zwracając na siebie awagi, dotąd pozostała w mieszkaniu przez niego zajmowanym pałacu.

Dwie córki mieszkały przy niej i znaczna różnica w ich ułożeniu i postępowaniu uderzyła Fabiolę, gdy się lepiej z nimi zapoznała. Jedna widocznie uważała Sebastiana za natrętny ciężar i rzadko albo nigdy nie zbliżała się do chorego. Z matką była harda i zimna. Widocznie myśli jej wszystkie ściągały się do poziomu świata: była samolubną, lekkomośną i zuchwałą. Druga, młodsza, we wszystkim od siostry różniła się; uprzejma, posłuszna i kochająca, o drugich myśląca, do matki przywiązana, staranna i dobra dla biednego chorego. Irena sama była wzorem chrześcijańskiej matrony z średniej klasy społeczeństwa rzymskiego. Fabiola nie mogła podziwiać w niej wielkiego rozumu, nauki, dowcipu lub wykintrej oglądy; lecz widziała ją zawsze spokojną, czynną, rozsądną i szlachetną. Przy tym miała szczere, gorące serce, była wspierałomyslną, głęboko miłującą, słodką i cierpliwą. Fabiola nigdy nie widziała takiego domu — tak prostego skromnego i porządnego. Nic tam pokoju nie mąciło, oprócz usposobienia starszej siostry.

Po niewielu dniach upewniono się, że codziennie odwiedzająca nie była chrześcijanką, lecz nie zaszła stąd zmiana w obchodzeniu się z nią. Później Fabiola zrobiła także to odkrycie, które ją upokorzyło, że starsza córka była dotąd poganką. Wszystko, co widziała, dobre na niej wrażenie sprawiało i przełamowało twardą skorupę uprzedzenia, którą umysł był zaślepiony. Jak na teraz wszakże, wszy-



stkie myśli jej były zatopione w Sebastianie, którego powrót do zdrowia był bardzo powolny. Układała z Ireną plan zabrania go do willi swej w Kampanii, gdzieby miała czas i sposobność naradzania się z nim o religii. Nieprzełamana przeszkoda zniszczyła ten plan.

Osobliwe uczucia miotały sercem i duszą Sebastiana. Tak długo spragnionym być męczeństwa, modlić się o tę łaskę, przecierpieć męczeńskie bóle, umrzeć, to jest stracić świadomość życia a potem znowu na tym się obudzić świecie, nie męczennikiem, lecz zwyczajnym człowiekiem, mogącym jeszcze w próbach ziemskich zbawienie utracić—była to zapewne trudniejsza próba od samego męczeństwa. Sebastian był w położeniu człowieka, który podczas burzliwej nocy usiłuje przebyć szeroką rzekę, lub wzburzoną odnogę morską, i po długiej pracy i po długim obracaniu i szamotaniu się łodzi na wszystkie strony, zamiast u drugiego brzegu, widzi się wrzuconym na ten sam brzeg, od którego odpłynął, lub położeniu św. Pawła, przywróconego do życia i na nowo na szatańskie policzki wystawionego po wysłuchaniu tajemniczych słów, które jedna tylko najwyższa Mądrość wymówić może. Wszak nie szemrał i nie żalił się. Z miłością i w milczeniu podawał się woli Bożej i miał nadzieję, że dane mu będzie osiągnąć zasługę podwójnego męczeństwa. Tej drugiej korony tak gorąco był spragniony, że odrzucił wszystkie plany ucieczki i ukrycia.

— Zyskałem teraz—rzekł—jeden przywilej: mówienia śmiało do prześladowców. Z tego skorzystam za pierwszym dniem, w którym łóżko będę mógł opuścić. Pielęgnujcie mnie więc do brze, aby ten dzień jak najprędzej nadszedł.

## ROZDZIAŁ XXVII.

### Powtórna korona.

Ważny spiszek, który czarna niewolnica odkryła Korwinowi, był ten sam, o którym już słyszeliśmy w rozmowie Fulwiusza z Eurotosem. Fulwiusz powziął przekonanie z rozmowy ze ślepą męczenniczką, że Agnieszka była chrześcijanką, że ma już teraz dwie cięciwy do jednego łuku, że albo postrachem nakłoni ją do oddania mu swej ręki, albo wyda ją na śmierć i otrzyma sporą część skonfiskowanego majątku. Podniecony i zachęcony do użycia ostatecznych środków przez szyderstwa i namowy Euratosa, a nie mając nadziei otrzymania posłuchania, napisał do Agnieszki list, nalegający, lecz uszanowania pełny, w którym się rozpisywał o bezinteresownej miłości swej, błagając aby oświadczenie łaskawie przyjęła. Przy końcu tego mimochodem napomknął, że powinność mogłaby go zmusić do postąpienia inną drogą, gdyby pokorna prośba nie otrzymała skutku. Na to otrzymał odpowiedź grzeczną, spokojną, lecz stanowczo odmowną, co więcej odpowiedź surową, ostateczną i żadnej nadziei nie zostawiającą. Nadto list jasno wyrażał, że pisząca panienka jest już poślubioną Barankowi bez zmazy i nie może przyjmować od żadnej stworzonej istoty oświadczeń osobistego przywiązania. Odmowa ta pozbawiła serce Fulwiusza wszelkiej litości; postanowił więc wziąć się do dzieła po swojemu.

Tymczasem Fabiola widząc bohaterskie postanowienie Sebastiana, powzięła śmiałą myśl ratowania go wbrew własnej jego woli, wypraszając przebaczenie u cesarza. Nie знаła otchła-



ni złości, jaka się mieści w sercu człowieczym. Myślała, że cesarz może się unieść gniewem, w pierwszej chwili, lecz że nigdy tego samego człowieka dwa razy na śmierć nie skaże. Trochę litości i miłosierdzia musi drzemać, myślała, w głębi cesarskiego serca; gorące prośby i łzy zdolają te resztki na wierzch wydobyć, jak upał wydobywa ukryty balsam z twardego drzewa. Posłała więc prośbę o posłuchanie, i znając chciwość cesarza, ośmieliła się jak pisała, ofiarować mu słabą pamiątkę swego własnego i zmarłego ojca wiernego do jego osoby przywiązania. Był to pierścień z kamieniami rzadkiej piękności i niezmiernej wartości. Dar został przyjęty, lecz tyle tylko otrzymała, że jej kazano wspólnie z innymi proszącymi z podaniem na piśmie 20 t. m. czekać na Pałatynie przy wielkich schodach, którymi cesarz schodzić będzie na czynienie ofiary. Jakkolwiek zniechęcająca była ta odpowiedź, postanowiła na wszystko się narazić i uczynić dla Sebastiana, co tylko przyjaźń rozkaże.

Nadszedłznaczony dzień, Fabiola w żałobnym szatach, które nosiła po śmierci ojca, a które zwyczajem było w podobnych przywodzić okolicznościach, zajęła miejsce w rzędzie matek, dzieci, sióstr, które trzymały podania z prośbami o miłosierdzie nad najdroższymi swymi, w więzieniach lub kopalniach jeżdzącymi. Słaba nadzieja, którą jeszcze miała, wygasła w sercu na widok tylu nędz, zbyt licznych, aby się łaski spodziewać mogły. Lecz ostatnia iskra tej nadziei słabła za każdym krokiem tyrana schodzącego z marmurowych schodów, chociaż widziała swój pierścień na szorstkiej ręce błyszczący. Za każdym schodem wyrwał papier z rąk nieszczęśliwych,

spojrzał z pogardą i dał prośbę albo cisk na ziemię. Tylko tu i owdzie podał niektórym papier sekretarzowi, człowiekowi niemniej ostremu od samego tyrana.

Zbliżała się teraz Fabioli kolej; cesarz był już tylko o dwa schody przed nią, serce jej biło gwałtownie, nie z bojaźni przed tyranem, lecz z obawy o los Sebastiana. Byłaby się modliła, gdyby wiedziała jak i do kogo. Maksymian wyciągnął rękę, aby wziąć podany sobie papier, gdy nagle cofnął się i obejrzał wokół, słysząc imię swoje śmiało i bez ceremonii wymówione. Fabiola także w górę spojrzała, gdyż знаła ten głos.

Naprzeciwko siebie, wysoko w białej marmurowej ścianie zauważyła już pierwszej otwarte okno, w żółty marmur oprawne, które oświecało tylny korytarz, prowadzący do mieszkania Ireny. Za głosem spojrzała w górę i w ciemno-żółtej oprawie okna ujrzała piękny lecz straszny obraz. Był to Sebastian, który stał blady, wychudły, z rysami prawie nadziemskimi, spokojny i surowy, jakby już wyższy nad wszelkie uniesienia i wzruszenia, a poranione piersi i ręce ukazywały się z pod wolnej draperii, którą na siebie zarzucił. Gdy usłyszał dobrze znany głos trąby, który mu dał poznać zbliżenie się cesarza, wstał i przywłókł się do okna, by go powitać.

— Maksymianie! — zawołał głosem głębokim, lecz wyraźnym.

— Kto jesteś, łajdaku, który tak poufale wymawiasz imię twego cesarza? — zapytał tyran odwracając się.

— Przychodzę z pośród umarłych, aby cię ostrzec, że dzień gniewu i pomsty szybko się



zbliża. Przelałeś krew Bożych świętych na bruku tego miasta, wyrzuciłeś ich święte ciała do rzeki lub na gnój za bramy miasta. Zburzyłeś świątynie Boga, znieważyłeś ołtarze Jego i zagrabiłeś dziedzictwo ubogich Jego. Za te i za twoje osobiste szkaradne zbrodnie i rozpusty, za niesprawiedliwość i ciemienie, za chciwość i pychę Bóg cię osądził i gniew Jego wkrótce cię dosięgnie. Umrzesz śmiercią tyranów, a Kościołowi swemu Bóg użyć cesarza podług własnego serca swego. I pamięć twoja będzie przeklęta na całym świecie i po koniec czasów. Żałuj, póki masz czas, bezbożny człowiecze, i proś Boga o przebaczenie w imieniu Ukrzyżowanego, któregoś dotąd prześladował.

Głębokie milczenie panowało, gdy te słowa wymówił. Cesarz zdawał się być pod wpływem paraliżującego przestachu, gdy poznawszy Sebastiana, mniemał, że ma przed sobą zmarłego. Lecz szybko przychodząc do przytomności i złości, zawołał:

— Ha! niech który z was idzie natychmiast tam naokoło i przyprowadzi go tu przede mnie. Niemiło mu było imię Sebastiana wymówić.  
— Hifaxie! tutaj! Gdzie Hifax? Widziałem go dopiero.

Lecz Maurytanin od razu poznał Sebastiana i uciekł do kwatery.

— Ha! poszedł, jak widzę; więc słuchaj ty, głupcze, jak się nazywasz? — rzekł do Korwina, który towarzyszył ojcu. — Pójdź do numidyjskiej kwatery i wezwij Hifaxa do mnie natychmiast.

Z ciężkim sercem szedł Korwin dopełnić zlecenia. Hifax uprzedził rozkaz Maksymiana i ustawił ludzi w szyku obronnym. Jeden tyl-

ko wchód do dziedzińca był otwarty, a posłaniec progu przejść nie śmiał. Pięćdziesiąt ludzi stało rzędem po każdej stronie dziedzińca, a na końcu Hifax z Jubalą. Milczący i nieruchomi, z nagimi rękami i piersiami ciemnymi, każdy z łukiem napiętym i ku drzwiom skierowanym, wyglądali jak dwa rzędy bazaltowych posągów, prowadzących do egipskiej świątyni.

— Hifaxie — rzekł Korwin drżącym głosem — cesarz po ciebie przysyła.

— Powiedz ode mnie z uszanowaniem jego cesarskiej mości — rzekł Afrykanin — że moi ludzie poprzysięgli, że nikt nie przejdzie tego progu ani wchodząc ani wychodząc, bez odebrania przez piersi lub plecy stu strzał w samo serce, chyba, że cesarz prześle nam znak przebaczenia za jakiegokolwiek przekroczenia.

Korwin spieszył napowrót z odpowiedzią, którą cesarz przyjął z uśmiechem. Byli to ludzie, z którymi nie śmiał zadzierać, gdyż na nich opierał się w bitwie lub w powstaniu, gdy się chciał pozbyć naczelników.

— Przebiegli łajdacy! — zawołał — masz, zanieś to świecیدło czarnej żonie Hifaxa — i podał wspaniałą pierścień Fabioli.

Korwin spieszył uścić się z wdzięcznego poselstwa i cisnął pierścień na dziedziniec. W jednej chwili wszystkie łuki opadły i cięciwy rozprężyły się. Jubala uradowana skoczyła podnieść pierścień. Silne uderzenie pięści męża obaliło ją o ziemię i wywołało głośny poklask. Barbarzyniec uchwycił klejnot, a kobieta powstała i poczuła, że zamieniła jedną niewolę na gorszą.

Hifax zasłonił się cesarskim rozkazem.

— Gdybyś był pozwoił — rzekł — prze-



żyć strzałą serce lub głowę jego, wszystkoby się było od razu skończyło. Lecz żeś nie kazał, nie możemy być odpowiedzialni za to, co się stało.

— Bądź co bądź tym razem sam muszę dopilnować aby rzecz była porządnie dokonana — rzekł Maksymian. — Wy dwaj z maczugami pójdźcie tu.

Dwaj z pomiędzy przybocznych katów wystąpili naprzód. Sebastian, ledwie trzymając się na nogach, stał już i czekał łagodny i nieustraszony.

— Teraz moi ludzie — rzekł barbarzyniec — nie chcę tych schodów krwią broczyć, więc wytłuczcie życie z tego człowieka waszymi pałkami i sprawcie się dobrze. Pani, jaka jest twoja prośba? — rzekł wyciągając rękę do Fabioli, którą poznał. grzeczniej do niej przemówił.

Stała, przerażona i okropnym wstrętem przejęta, i prawie mdlejąca na widok, który miała przed sobą, rzekła więc:

— Panie, obawiam się, że już zapóźno.

— Dlaczego zapóźno — odrzekł patrząc na papier. Ogień błysnął mu z oka, gdy rzekł do niej:

— Jakto! wiedziałas, że Sebastian żyje? Czy jesteś chrześcijanką?

— Nie, panie — odpowiedziała.

Czemu to zaprzeczenie dusiło ją prawie w gardle? Choć przecie nie była chrześcijanką! Ach, Fabiolol! dzień twój niedaleki!

— Lecz jakieś sama mówiła — rzekł cesarz weselej, oddając prośbę — obawiam się, że już zapóźno; zdaje mi się, że to uderzenie musiało być skuteczne.

— Słabo mi jest, panie — rzekła z uszanowaniem — czy mogę się oddalić?

— A, jak najchętniej pozwalam. Lecz mam ci podziękować za piękny pierścień, któryś mi przysłała i który dałem żonie Hifaxa (niedawno jej własnej niewolnicy!). Będzie pięknie błyszczeć na czarnej ręce, jak nawet na mojej. Żegnam! Żegnam — i ze złośliwym uśmiechem skinął ręką, jakby nie było tuż obok ciała mężczyzny, aby przeciw niemu świadczyło. Miał słusność; ciężkie uderzenie w głowę było ostatnie, a Sebastian tam był, gdzie od tak dawna być pragnął. Poniósł z sobą dwie palmy i odebrał podwójną koronę. A przecie umierał śmiercią haniebną w oczach świata; ubity na śmierć, gdy cesarz lekko z damą rozmawiał.

Tyran, widząc dzieło swoje dokonane, rozkazał, aby Sebastian nie był wyrzucony do Tybru, ani na śmiecie.

— Oblóżcie ciało jego ciężarami — dodał — i wrzućcie do kloaki<sup>1)</sup>, aby tam zgniło i robactwo napasło. Chrześcijanie nie dostaną go przecież.

Tak uczyniono. Akta zaś świętego nam objaśniają, że następnej nocy ukazał się świętej matronie Lucynie i powiedział, gdzie należy szukać śmiertelnych zwłok jego. Poszła za wezwaniem świętego i relikwie pochowano ze czcią, w miejscu, gdzie teraz stoi Bazylika św. Sebastiana.

<sup>1)</sup> Główny kanał dla odpływu nieczystości.



## ROZDZIAŁ XXVIII.

## Dzień krytyczny.

Są dni przesilenia w kolejach ludzkości. Takimi są nie tylko dni, sławnymi bitwami pamiętne, jak dzień bitwy pod Maratonem, pod Kannami lub Lepantem, w których się widocznie rozstrzygały polityczne i społeczne losy ludzkości; lecz są dni świata nieznane, a dla świata zarówno ważne. Takim jest dzień, taką jest godzina, w której Kolumb powziął postanowienie, które dało staremu światu Amerykę, a śmiałemu żeglarzowi miejsce w rzędzie ludzi wielkich. i każdy z nas, jakkolwiek małym i mało znaczącym być może, miał swój krytyczny dzień, swój dzień rozstajny, w którym obrał sobie drogę żywota; swój dzień, w którym palec Opatrzności ukazał się nad nim, wyraźnie zmieniając położenie i stosunki z innymi ludźmi; swój dzień łaski, w którym duch ciała pokonał.

I tak też z Fabiolą; wszystko się zbiegało ku błogiemu przesileniu. Cesarz i niewolnica, ojciec i gość, źli i dobrzy, chrześcijanie i poganie, bogaci i ubodzy, dalek życie i śmierć, radość i smutek, nauka i prostota, milczenie i rozmowa; czyż nie było to wszystko opatrzynym narzędziem, wiodącym jej umysł różnymi drogami, a przecież prowadzącym szlachetną i wspaniałomyślną, choć wyniosłą i gwałtowną duszę ku jednemu celowi, jak wietrzyk i ster między sobą się spierając, nadając właściwy okrętowi kierunek. Jaki będzie wypadek działania tylu przeciwieństw, nie ludzka rzecz powiedzieć.

Po posłuchaniu Fabiola udała się do mie-

szkania Ireny, gdzie zastała także żalność i smutek. Dzieliła całym sercem ten smutek, lecz widziała i czuła różnicę pomiędzy boleścią swoją a boleścią tych, którzy ją otaczali. Oni nie oddawali się całkiem smutkowi, coś radosnego przezeń przeglądało, chmury nad nimi były przezroczyste, opromienione. Biedną Fabiolę otaczała posępna i ciężka ciemność, bo straciła drogie osoby, a nadziei nie miała. Szukanie wiary nie miało już teraz oparcia w przymiotach serca i rozumu Sebastiana. Miłego i pożądanego nauczyciela nie było już na ziemi. Gdy tłum oddalił się od pałacu, pożegnała czule wdowę i jej córki.

Powróciwszy do siebie, usiadła samotnie i próbowała czytać; przerzucała tom po tomie ulubionych dzieł, o śmierci, o wielkoduszności, o przyjaźni, o cnocie, i każde wydało jej się nudne, próżne i nieszczerze. Wpadała w coraz głębszy i głębszy smutek, który trwał aż do wieczora, gdy ją na koniec rozerwał list przyniesiony przez grecką niewolnicę. Graja odsunęła się na drugi koniec pokoju przerażona i nie wiedząc, co ma począć. Zaledwie okiem rzuciła na papier, zerwała się Fabiola jak w gorączce z siedzenia, rozrzuciła włosy rękami, ścisnęła w rozpacz skronie i stała tak przez chwilę, patrząc nieruchomym wejrzeniem, a potem ciężko opadła na krzesło z głębokim jękiem. Tak przez chwilę trzymając list obu rękami na kolana opuszczonymi, siedziała bez przytomności.

— Grajo! kto przyniósł ten list? — zapytała nareszcie Fabiola, przyszedłszy do siebie.

— Żołnierz, pani — odrzekła służa.

— Powiedz mu, żeby tu przyszedł.

Gdy poszła dopełnić rozkazu, Fabiola przy-



brała zwykły swój wyraz i przyglądała włosy. Skoro tylko wszedł żołnierz, zapytała krótko:

— Skąd przychodzisz?

— Jestem na straży przy tuliańskim więzieniu?

— Kto ci dał ten list?

— Agnieszka sama.

— Z jakiej przyczyny może być w więzieniu?

— Oskarżona przez człowieka imieniem Fulwiusz, że jest chrześcijanką.

— Czy o nic innego?

— O nic innego?

— A więc prędko z tej sprawy wyjdziemy. Mogę zaświadczyć, że oskarżenie fałszywe. Powiedz jej, że zaraz przyjdę, a to masz za fatygę.

Żołnierz odszedł, Fabiola została sama. Gdy była potrzeba działania, umysł Fabioli był odrazu energiczny i skupiony, chociaż w innych chwilach czułość niewieścia tym boleśniej serce krwawiła. Okryła się starannie i poszła sama do więzienia; wprowadzono ją odrazu do osobnej celi, którą Agnieszka otrzymała przez wzgląd na wysokie urodzenie i skutek ofiarowanych przez rodziców bogatych darów.

— Co to ma znaczyć, Agnieszko? — spieszenie zapytała Fabiola, po serdecznym uściśnieniu.

— Uwięzili mnie parę godzin temu i tu przyprowadzili.

— A czyż Fulwiusz takim jest głupcem, jakim jest i łotrem, aby wymyślać przeciw tobie oskarżenie, które w pięciu minutach może być obalone? Pójdę sama do Tertullusa i zaprzeczę niedorzecznemu obwinieniu.

— Jakiemu obwinieniu, najdroższa?

— Że jesteś chrześcijanką.

— Bo też jestem chrześcijanką, dzięki Bo-

gu — rzekła Agnieszka, znacząc się krzyżem.

To objawienie nie było już dla Fabioli uderzeniem piorunu, nie przeraziło jej, nie wzruszyło, dreszczem nie przejęło. Cios podobny nie mógł już być niespodziewanym po zgonie Sebastiana. Ten, w którym upatrywała wzór męskiej cnoty, umarł za tę wiarę; cóż dziwnego, że Agnieszka, którą kochała jako wzór kobiecej doskonałości, tę samą wyznawała wiarę. Proszą, a wzniosłą doskonałość tej panienci, jej dziecinną niewinność, uprzejmość i słodycz uwielbiała całym sercem. Odkrycie, że te dwie niezrównane istoty nie były przypadkiem wzrosłymi kwiatkami, lecz z tego samego nasienia pochodzącymi, zbliżyło dla Fabioli chwilę rozwiązania dręczącego zagadnienia. Schyliła głowę z uszanowaniem przed Agnieszką i zapytała:

— Od jak dawna jesteś chrześcijanką?

— Od początku życia, droga Fabiolo, wysłałam wiarę wraz z mlekiem matki.

— I czemu ukrywałaś się przede mną?

— Dlatego, że widziałam twoje gwałtowne przeciw nam uprzedzenie; znałam, do jakiego stopnia nienawidziłaś zwolenników najsmieszniejszych, jak mniemałaś zabobonów, najokropniejszych szkaradzeństw. Widziałam, jak gardziłaś nierozumnymi, niewykształconymi, niefilozoficznymi i nierozsądnymi ludźmi. Nie chciałaś być o nas słyszeć. Wszakże jedynym przedmiotem nienawiści dla twego szlachetnego umysłu było chrześcijańskie imię.

— Prawda, najdroższa Agnieszko; myślę jednak, że gdybym wiedziała, iż ty lub Sebastian jesteście chrześcijanami, nie mogłabym była nienawidzić tego imienia. W tobie byłabym wszystko kochała.

— Tak ci się teraz zdaje, Fabiolo; lecz



zapominasz, jak wielka jest potęga powszechnego uprzedzenia, codzień powtarzanego kłamstwa. Ileż to szlachetnych umysłów i kochających serc ujarzmiły te uprzedzenia i doprowadziły do posądzania nas o wszystko, czym nie jesteśmy, uważając nas za coś gorszego nawet od najgorszych z pomiędzy innych ludzi!

— Samolubstwem jest z mej strony, Agnieszko, zapuszczać się z tobą w tej chwili w taką rozmowę. Ma się rozumieć, wezwiesz Fulwiusza, aby dowiódł, że jesteś chrześcijanką.

— Och, nie, droga Fabiolo; jużem wyznała wiarę, i zamierzam powtórnie wyznać jutro rano publicznie.

— Jutro rano? Co, jutro? — zapytała Fabiola przerażona na myśl czegoś tak nagłego.

— Tak jest, jutro. Dla zapobieżenia wszelkiemu rozruchowi lub obstawianiu za mną (choć pewna jestem, że nie wieluby się o mnie troszczyło), mam być badaną wcześniej zrana, a potem bez ociągania ostatecznie mają ze mną postąpić. Nie dobreż to wiadomości, droga Fabiolo? — zapytała Agnieszka z uniesieniem, chwytając rękę Fabioli.

A potem wyższym jeszcze zachwytem uniesiona, zawołała: — Zważ, że to, czegom tak dawno pragnęła, teraz widzę; że to, czegom się spodziewała, mam w bezpiecznym posiadaniu; czuję się już złączoną w niebie z tym Jedynym, któregom tu na ziemi całą miłością ukochała. Och, czyż nie jest On pięknym Fabiolo? Piękniejszym od aniołów, którzy Go otaczają! Jak słodki uśmiech Jego! Jakie miłe oczy! Jaki wdzięczny wyraz całej Jego twarzy! A ta najśłodsza i najmiłsza Pani, która Mu zawsze towarzyszy, ta nasza Królowa i Pani, która Jego jedynie kocha, jak łaskawie spogląda na mnie, abym się przyłączyła do jej

orszaku. Idę! Idę! Ulecieli, Fabiolo, lecz wracając do mnie jutro rano; jutro, uważaj, Fabiolo, co za szczęście! I nie rozłączymy się więcej.

Fabioli serce uderzało, jakby nowym, nieznanym żywiołem napelnione. Przeczuciwała coś wielkiego, lecz jeszcze o łasce nie słyszała. Agnieszka wszakże widziała szczęśliwą zmianę w umyśle ukochanej Fabioli i wewnętrznie dziękowała Bogu. Prosiła Fabiolę, aby powróciła do niej przede dniem na ostatnie pożegnanie.

W tym samym czasie odbywała się narada w domu prefekta między godnym urzędnikiem i godniejszym jeszcze synalkiem.

— Zapewne — rzekł prefekt — jeżeli stara czarownica miała słusność w jednej rzeczy, to mieć musi i w drugiej. Mogę zaświadczyć z własnego doświadczenia, jak potężny jest pieniądz w przełamaniu wszelkiego oporu.

— I przynasz także — przydał Korwin — że z przeglądu naszego pokazuje się, że z pośród ubiegających się o rękę Fabioli nie było ani jednego, któregoby raczej konkurentem o jej majątek nazwać nie można.

— Ciebie nie wyjmując mój Korwinie?

— Tak jest, jak na teraz; lecz tak nie będzie, jeśli zdołam ofiarować jej wraz z swoją osobą duży majątek panny Agnieszki.

I to w sposób, który zdaje mi się, prędzej ujmie jej usposobienie, jakem słyszał, szlachetne i wzniosłe. Oddać jej te bogactwa, wolną zostawiając od wszelkich warunków, a potem ofiarować siebie samego; włożyć na nią do własnego wyboru dwa obowiązki: albo przyjąć ciebie za małżonka, albo zwrócić ci majątek.

— Doskonale, ojcze! Nigdy dotąd nie przedstawiała mi się ta druga alternatywa. Czy my-



ślisz, że niema innego sposobu zapewnienia sobie tego majątku, tylko przez Fabiolę?

— Jedyne. Fulwiusz naturalnie będzie się upominał o swoją część i prawdopodobnym jest, że cesarz oświadczy, iż zamierza wszystko na własny użytek obrócić, bo nie cierpi Fulwiusza. Lecz jeśli podam popularniejszy i widocznie rozsądniejszy plan oddania majątku najbliższej krewnej, która czcić bogów nie przestała. Wszakże nie przestała! Wszak prawda?

— W rzeczywistości tak jest ojcze.

— Cesarz, zdaje mi się, przyjmie ten plan, a pewny jestem, że niema podobieństwa, aby mi z własnej woli dar z tego majątku uczynił. Prośba zaś ze strony sędziego rozgniewałaby go.

— Więc jakże postąpisz, ojcze?

— Muszę mieć cesarski reskrypt przygotowany przez noc, gotowy do podpisania, i natychmiast po śmierci Agnieszki udam się do pałacu; szeroko rozwódzić się będę nad niepopularnością, która niezawodnie owocem tej śmierci będzie; złożę wszystko na Fulwiusza i przedstawię cesarzowi jak wieleby przydało chwały i wpływu jego imieniowi przyznanie majątku najbliższej spadkobierczyni. Tyle jest próżny, ile okrutny i chciwy; jedna podła namiętność zżęcznie podniecona może przeważać drugą.

— Nic lepszego, mój ojcze; udam się na spoczynek z lekkim umysłem. Jutro będzie dzień krytyczny w moim życiu. Cała moja przyszłość od tego zależy, czy będę przyjęty, czy odrzucony.

— Chciałbym tylko—dodał Tertullus, wstając—abyś mógł widzieć tę niezrównaną damę i zmierzyć głębokość jej filozofii przed ostatecznym podpisaniem naszej ugody.

— Nie obawiaj się, ojcze; godna jest zupełnie być twoją synową. Tak jest! Jutro istotnie stanę na rozstajnej drodze.

Gdy się odbywała ta domowa narada, Fulwiusz z miłym stryjem naradzali się także.

Eurotas, wracając późno do domu, zastał bratanka samotnego i ponurego i tak go zaczepił:

— Cóż, Fulwiuszu, czy uwięziona?

— Tak jest, stryju, o ile razy i mury uwięzić ją mogą. Umysł jej wolny i niestety niezależny, jak zawsze!

— Nie zważaj na to; ostra stal poradzi wszystkiemu. Czy jest już wyrok na nią? A następstwa czy już zabezpieczone? Mówię, sukcesja dla ciebie.

— Jeśli nic nadzwyczajnego nie wydarzy się, wyrok jest niewątpliwy; następstwa zaś zawisły jeszcze od cesarskiego kaprysu, i przyznaję, że mi żal poświęcać tak młode życie z niepewnym skutkiem.

— Daj sobie pokój, Fulwiuszu!—rzekł starzec ponuro, tak zimny jak siwa skała w rannej mgle—w czułość proszę się nie wdawać. Czy pamiętasz, jaki jest dzień jutro?

— Tak jest, dwunasty przed Kalendami lutego<sup>1)</sup>.

— Dzień zawsze dla ciebie krytyczny. W tym to dniu dla uzyskania cudzego majątku popelnieś...

Cicho, cicho! — przerwał Fulwiusz jak na mękach — czemuż zawsze przypominasz mi rzeczy, którebym najbardziej pragnął zapomnieć.

— Oto dlatego, że chcesz sam o sobie za-

<sup>1)</sup> 21 stycznia. Kalendy — 1. dzień miesiąca.



pominać, to być nie powinno. Muszę ci raz odjąć wszelkie zachcenia powrotu do gminnych wyobrażeń o sumieniu, cnocie, honorze. Szaleństwem jest udawać żal za życiem osoby, która ci zawadza na drodze do fortuny, po tym, co już uczynił przeciwko tej osobie.

Fulwiusz zagryzł wargi w milczącej wściekłości i zakrył karmazynową od wstydu twarz rękami. Eurotas zbudził go, mówiąc:

— Jutro więc jest drugi i zapewne ostatecznie krytyczny dzień w twym życiu. Zważmy spokojnie, co czynić mamy. Pójdiesz do cesarza i upomnisz się dla siebie o przynależną część skonfiskowanego majątku. Dajmy na to, że otrzymasz!

— Sprzedam jak najprędzej, spłacę długi i ucieknę do jakiego kraju, w którymby imię moje nigdy nie było słyszane.

— Dajmy na to, że Maksymian odmówi?

— Nie może być, nie może być — zawołał i ulwiusz, przerażony samą myślą takiego skutku swych zabiegów. — To moje prawo, ciężko zapracowane prawo! Nie może mi być zaprzeczone.

— Spokojnie, mój młody przyjacielu; rozbierajmy tę sprawę z zimną rozważą. Pomnij zawsze na przysłowie: „Między strzemieniem a siodłem niejeden upadł”. Przypuśćmy tylko, że mniemane prawo będzie ci zaprzeczone.

— Wtenczas byłbym zgubionym bez ratunku! Nie mam innych przed sobą widoków nabycia majątku w tym kraju. Musiałbym natychmiast uciekać.

— Dobrze, a wieleś winien u bramy Janusa<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Na samym forum i w pobliżu stały bramy poświęcone Janusowi, przy których siadywali lichwiarze.

— Paręst sestercyj i procent pięćdziesiąt od sta, nielitościwemu Żydowi Efraimowi.

— Na jakim zabezpieczeniu?

— Na moim przyszłym posiadaniu majątku tej pani.

— A jeśli będziesz zawiedziony w nadziei, czy myślisz, że ci żyd da uciec?

— Z pewnością nie, jeśli się dowie. Lecz trzeba nam być przygotowanymi od tej chwili na wszelki przypadek i to w najgłębszej tajemnicy.

— Polegaj na mnie, Fulwiuszu! Widzisz, jak wypadków pełny może być dla ciebie dzień jutrzejszy, albo raczej dzisiejszy, bo rano się zbliża. Największy to dzień w twoim życiu; zwyciężysz, lub upadniesz na zawsze. Odwaga więc i nieugięte postanowienie niechaj cię uzbroją do zwycięstwa nad przeciwnym losem.

## ROZDZIAŁ XXIV.

Druga połowa tego samego dnia.

Dzień jeszcze nie zaświtał, a mimo to mówimy, żeśmy już doszli do drugiej połowy dnia, w którym miały się przesilić losy tylu naszych znajomych w tej powieści. Jak to być może? Zwyczajem Kościoła świętego odśpiewane już są nieszpory, dzień świąteczny poprzedzające i poczynające. Odśpiewane przez Sebastiana w niebie, a przez Agnieszkę w więzieniu. Chwały pełny Kościele Chrystusa! Wielki w rozlicznej jedności twojej, na wysokościach wiecznego szczęścia, i w głębokościach ziemskiego padołu, w domu niewoli i gdziekolwiek żyje wierna Chrystusowi dusza!



Fulwiusz wyszedł na nocne, zimne i ostre powietrze dla ostudzenia wzburzonej krwi i uspokojenia skołatanego mózgu. Szedł bez celu, lecz spostrzegł, że się nieznacznie zbliża coraz bardziej do Tuliańskiego więzienia. Cóż go do tego miejsca przyciągało? Dziwnie jadłowita i gorzka mieszanina namiętności różnych: dokuczliwa zgryzota, zawiedziona duma, natężona chciwość, wstyd, upokorzenie i okropne uczucie zbliżającego się dokonania rozmyślnej zbrodni. Prawda, że był odrzucony, wzgardzony, zawiedziony. Majątek kapryśnego dziecka miał jedynie ratować Eurotasowego bratanka od biedy i śmierci; — tak przynajmniej tłumaczył się przed sobą samym; wszakże wołałby mieć majątek wraz z jej ręką, niż krwawą po śmierci sukcesję. Zabicie Agnieszki wydawało mu się szkaradne, w razie, gdyby nie było koniecznością nakazaną; chciałby więc dać jej jeszcze sposób ratowania się.

Stał teraz przed drzwiami więzienia, do którego miał wstęp wolny za umówionym znakiem. Wymówił hasło i wszedłszy, zaprowadzić się kazał do celi swej ofiary. Nie spłoszyła się, ani nie schroniła w kącik, jak ptaszek, do którego klatki dobył się jastrząb, spokojna i nieuleknieona stała przed nim.

— Szanuj mię przynajmniej tu, Fulwiuszu! — rzekła grzecznie — mam niewiele godzin życia, pozwól mi zostać spokojnie samą.

— Pani! — rzekł — przyszedłem przedłużyć te godziny na długie lata, jeśli chcesz a zamiast pokoju ofiaruję szczęście.

— Prawdziwie, panie, jeśli cię dobrze rozumiem, minał czas tych próżnych żartów. Mówić o szczęściu osobie, którąś na śmierć oddał, jest bardzo smutnym żartem, jeżeli nie czymś gorszym.

— Mylisz się, miła pani! Los twój jest we własnych twych rękach: jedynie twój własny upór odda cię na pastwę śmierci. Przyszedłem raz jeszcze ponowić ci moją prośbę, a przy tym ofiarować łaskę cesarską. Jest to ostatni ratunek dla ciebie.

— Czyż nie powiedziałam ci już pierwej, że jestem chrześcijanką, i że bym raczej tysiąc razy, nie raz jeden życie oddała za wiarę Chrystusową!

— Lecz teraz nie wymagam już, abyś wiary odstąpiła. Bramy więzienia są dla mnie otwarte. Uciekaj ze mną i na przekór cesarskim dekretem pozostaniesz chrześcijanką i żyć będziesz.

— A czym ci nie mówiła dość wyraźnie, że jestem poślubioną memu Panu i Zbawicielowi Jezusowi Chrystusowi i że Jemu tylko wiecznej dotrzymam wiary?

— Głupstwo i szaleństwo! Przełrwaj w uporze aż do jutra rana, a spotkać cię może właśnie to, czego się obawiasz więcej, niż śmierci, a to cię już na zawsze wyleczy z tych dziwacznych urojeń.

— Niczego się nie obawiam dla Chrystusa. Gdyż wiem, że mam anioła zawsze przy sobie, który nie ścierpi, aby służebnica pańska wystawiona była na sromotę. Lecz teraz zaniechaj niegodnej natrętności, zostaw mię w posiadaniu ostatniego przywileju skazanych na śmierć, zostaw mię samą.

Fulwiusz stopniowo tracił cierpliwość i nie mógł już dłużej powstrzymać uniesienia. Powtórnie odrzucony, wzgardzony raz jeszcze przez to uparte dziecko, nad którym tym razem wisił miecz katowski! Niepowściągnięty płomień objął wszystkie jadowite żywioły, nagro-



madżone w sercu nikczemnika, wszystkie zwały się w jedną kroplę piekielnej nienawiści. Z wściekłością szatana zawołał.

— Nieszczęśliwa kobieto! Daję ci jeszcze raz sposobność ratowania się od okropnej śmierci. Wybieraj! Czy chcesz żyć ze mną, czy umierać?

— Śmierć nawet i ja obieram dla niej raczej, niż życie z takim, jak ty, potworem! — zawołał głos ode drzwi.

— Będzie ją miała — odrzekł ściskając pięści i zwracając obłąkane wejrzenie ku odzywającej się we drzwiach osobie — i ty także, jeśli się jeszcze odważysz złowrogi cień twój na moją rzucać drogę!

Fabiola po raz ostatni sama została z Agnieszka. Od kilku minut stała niespostrzeżona, słuchając sporu między osobami, któreby się jej wydały, gdyby była chrześcijanką, jedna aniołem światła, druga duchem ciemności; i zaprawdę, jeśli kiedy ludzka istota, to Agnieszka podobną była aniołowi. Gotowa do zbliżających się godów i ostatecznych zaślubin, przy których wieczną miłość Barankowi niepokalanemu zapisze, podobnie, jak On dla nas wszystkich zapisał krwią swoją; zarzuciła na ciemne żałobne szaty białą, bez zmazy ślubną suknię. W pośrodku ponurego więzienia, oświeconego samotną lampą, jaśniała anielską pięknoscią, gdy obok niej kusiciel, okryty czarnym płaszczem, skulony, aby się wysunąć niskimi drzwiami więzienia, podobny był do czarnego szatana, zapadającego się w przepaść.

W słodszej, niż kiedykolwiek, twarzyczce Agnieszki nie było śladu oburzenia, przestachu lub niespokojności, ani bladości, ani żywszego rumieńca, ani najmniejszego zmęczenia.

Uśmiech miała na ustach, a powagę tak wielką w wejrzeniu i układzie, że Fabiola pomyślała o tych znakach powagi i wzniosłości i ambrozyjskiej woni, po których, w poetyckiej mitologii, istotę z wyższych sfer poznawano na ziemi. Nie była to już ludzka piękność, chwilowym natchnieniem podniesiona, lecz najwyższa cnota i najwyższa mądrość w niezmiernej swej piękności, pod postacią młodziutkiego aniołka. W sercu Fabioli w należytą cześć miłość się zamieniła.

Agnieszka wzięła ręce jej w swoje ręce i złożyła na spokojnym łonie swoim, i patrząc w oblicze Fabioli z najczulszą miłością, mówiła:

— Fabiolo, mam jedną prośbę do ciebie przed śmiercią. Nigdyś mi niczego nie odmówiła, pewna jestem, że i teraz nie odmówisz.

— Nie mów tak do mnie, najdroższa Agnieszko. Nie powinnaś prosić, rozkazuj mi teraz.

— Więc przyrzecz mi, że bezzwłocznie przyłożysz umysł swój do poznania nauki Chrystusowej. Wiem, że ją będziesz chciała wyznawać; a wtedy nie będziesz mi już dłużej, czym mi teraz jesteś.

— A cóż to jest?

— Ciemnością, ciemnością, najdroższa Fabiolo. Gdy patrzę na ciebie, widzę w tobie szlachetny umysł, kochające serce, światły rozum, niepospolitą czułość sumienia i cnotliwe życie. Czegoż więc pragnąć w kobiecie? A przecież nad tymi świetnymi przymiotami wisi mgła bardzo ciemna, zasłupa moje oko, chmura, cień śmierci. Rozpędź tę mgłę, a wszystko już będzie światłem i szczęściem.

— Prawda, prawda, droga Agnieszko. Stojąc tu przed tobą, jestem czarną plamą obok twojej jasności. Mów, Agnieszko, czy stając się chrześcijanką, stanę się tak jak ty jasną?



— Musisz przejść, Fabiolo, przez głębokie nurty, które nas przedzielają. — Fabiola zadrżała, przypominając sobie sen swój o Agnieszce, o Syrze i o Cecylii. — Woda żywota ochłodzi ciało twoje, olej radości swą wonią członki namaści, a dusza obmyta będzie i czysta, jak lejący śnieg, serce miękkie, jak serce dziecięce. Wyjdiesz z kąpeli Chrystusowej nową istotą, narodzoną na nowe i nieśmiertelne życie.

— A czy utracę to wszystko, coś we mnie dopiero chwaliła — zapytała Fabiola nieco zamucona.

— Jak ogrodnik — odrzekła przyszła męczennica — wybiera silne i mocne, lecz nieplodne drzewo i na nim zaszczepia małą gałązkę słodkiego i delikatnego gatunku, a kwiaty i owoce tej gałązki są kwiatami i owocami pierwotnego pnia i nie ujmują urodzajnemu drzewu ani wdzięku, ani wielkości, ani siły, jaką pierwsi miało, tak też nowe życie wstąpi w ciebie, uszlachetni, podniesie i uświęci (trudno ci to słowo pojąć!) piękne dary natury i wychowania, które już posiadasz. Zaprawdę, wspaniałą istotę uczyni wiara z ciebie, Fabiolo!

— W nowy, cudowny świat wprowadzasz mię, droga Agnieszko! Och! gdybyś mnie tylko nie zostawiła pod samym progiem!

— Słyszysz — zawołała Agnieszka w zachwycie radości. — Idą, idą: słyszysz stąpanie żołnierzy w korytarzu? To drużby! przychodzą po mnie. Lecz ja widzę na wysokości biało ubrane drużny, niesione na jasnych obłokach rannych i wzywające mnie. Tak jest; lampa moja już gotowa, idę naprzeciw Oblubieńca. Bywaj zdrowa, Fabiolo! nie płacz po mnie. Och! gdybym ci mogła dać uczuć, jak

sama czuję, jakie szczęście umierać za Chrystusa! A teraz powiem ci słowo, którego nigdy nie przemówiła do ciebie. Niech cię Bóg błogosławi! — I uczyniła znak krzyża na czole Fabioli. Uściskanie konwulsyjne ze strony Fabioli, spokojne i czule ze strony Agnieszki było ostatnim ich ziemskim pożegnaniem. Fabiola pospieszyła do domu z nowym i szlachetnym zamiarem, Agnieszka oddała się sama w ręce nieśmiało przystępującej straży.

Na pierwsze próby męczeństwa Agnieszki rzucamy zasłonę milczenia, chociaż starożytni Ojcowie i Kościół w oficjach zatrzymują się właśnie nad tymi próbami podwajającymi koronę męczennicy; dosyć powiedzieć, że anioł stróż ochronił ją od wstydu i hańby.

O świtanu stanęła powtórnie przed trybunałem prefekta w rzymskim forum, niezmienną i niezawstydzoną, bez smutku w niewinnym sercu. Długie włosy, godło panieństwa, spływały w długich falach złotych, rozplecione po śnieżnej sukni.

Piękny był poranek.

Migdałowe drzewa bielaly kwiatem.

Jasne i czyste powietrze dawało tyle ciepła, ile każdemu stworzeniu potrzeba, łagodzący ranny przymrozek.

Sędzia siedział w otwartym forum; dość liczna tłuszcza otaczała czarodziejskie koło przed trybunałem, do którego prócz chrześcijan każdy się lękał wstąpić. Dwie osoby, których powierzchowność ogólną zwracała uwagę, stały naprzeciwko siebie na dwóch końcach półkola trybunału, a twarzą do sędziego. Z jednej strony młodzieniec okryty togą, z kapeluszem spadającym na oczy tak, że poznanym być nie mógł; z drugiej strony dama



arystokratycznej postawy, jakiejby się nie spodziewano napotkać przy takiej okoliczności. Starannie okryta, szeroko i fałdzisto od stóp do głowy ubrana; podobnie jak piękna starożytna statua, znana pomiędzy artystami pod imieniem Pudicitia<sup>1)</sup>. Miała na sobie zasłonę czyli płaszcz indyjskiej roboty, tkany w najbogatsze wzory karmazynowe, purpurowe i złote; odzienie prawdziwie cesarskie i mniej nawet stosowne niż niewieścia przytomność na tym miejscu krwawych sądów. Za tą panią niewolnica czy też sługa, także starannie zakwefiona. Umysł pani zdawał się jednym tylko zajęty przedmiotem, i stała nieruchoma, wsparta o marmurową kolumnę.

Agnieszkę wprowadzono wewnątrz kratki, półkolem przegradzających trybunał od widzów, i stała nieustraszona naprzeciw sędziego.

Myśli jej zdawały się daleko odbiegać; nie zauważała nawet tych dwóch osób, które przed jej ukazaniem się były przedmiotem ogólnej uwagi.

— Jak to, nie jest okuta? — gniewnie zapytał sędzia.

— Ona i tak chętnie idzie — odpowiedział Katulus — i taka młoda!

— Ale uparta, jak najstarsi!... Włóż odrazu okowy na ręce.

Kat przerzucił mnóstwo takich męczeńskich klejnotów (w oczach chrześcijan prawdziwe klejnoty), i nareszcie obrał parę najlżejszą i najmniejszą, jaką mógł znaleźć, i założył na drobne rączki Agnieszki. Agnieszka z uśmiechem, jak na zabawkę, wstrząsała rękami, a

<sup>1)</sup> Skromność.

obraćki, jak świętego Pawła żmija, opadły z brzękiem na ziemię.

— To są najmniejsze, jakie mamy, panie — rzekł ulagodzony kat — taka młoda! Inne po-  
winnaby nosić obraćki.

— Cicho! — zawołał rozgniewany sędzia, i obracając się do męczennicy, rzekł słodszy głosem: — Agnieszko! lituję się nad twoją młodością, nad twoim wysokim urodzeniem i nad złym wychowaniem, któreś odebrała. Pragnę uratować cię. Namyśl się, póki czas. Wyrzeknij się fałszywych i szkodliwych maksym chrześcijaństwa, poddaj się cesarskiemu edyktowi i uczyni ofiarę bogom.

— Daremne jest — odrzekła — dłużej mię kusić. Postanowienie moje niezmiennie. Gardzę twymi fałszywymi bóstwami i kochać i służyć mogę tylko jednemu Bogu żywemu... Odwieczny Władco! otwórz szeroko bramy! Błogosławiony Chryste! wezwij do siebie duszę Tobie najprzód ofiarowaną przez dziewicze śluby, a teraz Ojcu Twemu przez męczeńską śmierć.

— Czas tracę, jak widzę — rzekł niecierpliwy sędzia, postrzegając oznaki współczucia w zgromadzeniu — pisarzu, napisz wyrok!

— Skazujemy Agnieszkę za nieposzanowanie edyktów cesarskich na ścięcie.

— Na jakiej drodze i przy którym kamieniu milowym wyrok ma być wykonany? — zapytał kat

— Wykonasz go odrazu — odrzekł sędzia. Agnieszka podniosła ręce i oczy do nieba, po chwili spokojnie uklękła. Własnymi rękami ściągnęła jedwabne włosy naprzód przez głowę i podała szyję pod miecz. Nastąpiła milcząca przerwa. Kat drżący od wzruszenia, nie



mógł utrzymać miecza. Gdy tak dziewczę klęczało, całe białe, z główką pochyloną, z rękami skromnie złożonymi na piersiach i ze złotymi włosami, spływającymi prawie do ziemi i twarz zasłaniającymi, podobną była do rzadkiej rośliny, której smukła łodyga, biała jak lilia, ugina się pod bogactwem bursztynowego kwiecia.

Sędzia gniewnie łajał kata za ociąganie się i rozkazał od razu powinności dopełnić. Człowiek ten zakrył oczy chropowatą wierzchnią stroną lewej ręki, gdy podnosił miecz. Ujrzało błysk w powietrzu i w tej samej chwili kwiat i łodyga legły za ledwie oddzielone na ziemi, jakby tylko w kornym pochyleniu do modlitwy; lecz biała sukienka w tej samej chwili ufarbowana rzęsim karmazynem, splukana w krwi Baranka, świadczyła inaczej.

Człowiek po prawej stronie sędziego pilnował katowskiego cięcia niewzruszonym okiem; złośliwe usta zakrzywiły się podłym tryumfem, gdy ciało legło przecięte. Dama naprzeciwno odwróciła głowę; gdy zaś szmer, który się słyszeć daje w tłumie ludzi po długo wstrzymanym oddechu, dał jej poznać, że już po wszystkim, śmiało postąpiła naprzód, zdjęła z siebie wspaniałą płaszcz i osłoniła ścięty kwiat, ciało męczennicy. Oklaski całego tłumu pochwałyły ten piękny czyn niewieściego serca a dama stała teraz w najgrubszej żałobie przed trybunałem.

— Paniel—rzekła głosem czystym i wyraźnym, lecz pełnym wzruszenia—przychyl się do mej prośby. Pozwól, aby ostre ręce sług twoich nie dotykały się więcej świętych zwłok tej, którą kochałam nad wszystko na ziemi; lecz dozwól mi przenieść drogie szczątki do grobu

jej ojców, gdy jak wiesz, tyle szlachetną była, ile dobrą.

Tertullus, widocznie gniewny, odrzekł:

— Pani! kimkolwiek jesteś, prośba twoja nie może być wysłuchana. Katulusie! dojrzyj aby ciało, jak zwykle, wrzucone było do rzeki lub spalone.

— Błagam cię, paniel — rzekła dama z gorącym naleganiem — przez jakikolwiek wpływ, jaki cnota niewieścia może mieć na tobie, przez każdą łzę, jaką kiedy matka nad tobą wylała, przez każde słodkie słowo, jakie siostra może wymówiła kiedy do ciebie w chorobie lub smutku; przez każdą usługę ich wdzięcznych rąk, błagam cię, abyś wysłuchał mojej pokornej prośby. A jeśli dziś wieczór jeszcze, za powrotem do domu, spotkasz na progu córki, które będą chciały rękę twoją całować, chociaż splamioną krwią dziecka, do którego jeśli są podobne, możesz się nimi szczyścić, bądźże przynajmniej w stanie powiedzieć im, że ten lekki hołd dziewiczej delikatności, którą pewnie ceniał, nie był przez ciebie odmówiony.

Tak ogólnie objawiało się współczucie, że Tertullus, chcąc głośne oznaki przytłumić, zażywał ostro:

— Proszę, czy także jesteś chrześcijanką?

Wahała się przez chwilę i rzekła:

— Nie, panie, nie jestem chrześcijanką, lecz przyznaję, że gdyby mnie cokolwiek mogło do wiary chrześcijańskiej nakłonić, to właśnie to, com dzisiaj widziała.

— Jak to rozumiesz?

— Aby dla utrzymania religii państwa takie istoty, jak ta, którąście zabili (łzy przerwały jej mowę na chwilę) miały umierać, gdy potwory, które hańbą okrywają imię człowie-



ka, mogą żyć w powodzeniu! Och! panie, nie wiesz, coś dzisiaj z świata tego zgładził! Była to najczystsza, najśodsza, najświętsza istota, prawdziwy kwiat między niewiastami, chociaż jeszcze dziecko. I żyłaby dotąd spokojnie, gdyby nie była wzgardziła ofiarowaną ręką podłego awanturnika, który ją prześladował obrzydłym narzucaniem siebie w zaciszu jej willi, w przybytku jej domu, i nawet w ostatnim schronieniu jej więzienia. Dlatego umarła, że nie chciała zbogacić swoim majątkiem i uszlachetnić związkiem tego azjatyckiego szpiega!

Wskazała z pogardą na Fulwiusza, który wyskoczył naprzód i zawołał z wściekłością:

— Kłamie, szkaradnie kłamie, Agnieszka otwarcie wyznawała nieposłuszeństwo cesarzom.

— Poświęć mi, panie, chwilę cierpliwości — powiedziała dama z szlachetną powagą — abym mogła nikczemnika przekonać, i czytaj na własnej jego twarzy dowody tego, co mówię. Czyś nie przyszedł, Fulwiuszu, dziś przed świtem napastować Agnieszkę w więzieniu, i czyś nie powiedział jej otwarcie (gdyż niewidziana słyszałam cię), że gdyby tylko chciała przyjąć rękę twoją, nie tylko byś ją od śmierci uratował, lecz wbrew cesarskim rozkazom wolnoby jej było pozostać chrześcijanką?

Fulwiusz stał błydy jak śmierć, stał jak stoi przez chwilę człowiek, w serce ugodzony, lub piorunem uderzony. Stał jak człowiek, który słyszy wyrok skazujący go nie na śmierć, lecz na wieczną karę pręgiarza, gdy sędzia tak do niego przemówił:

— Fulwiuszu! cała twoja postać potwierdza to ciężkie oskarżenie. Mogłbym cię skazać od razu na karę gardła. Lecz słuchaj mej rady! Idź stąd na zawsze! Uciekaj i ukrywaj się po

takiej zbrodni przed oburzeniem wszystkich sprawiedliwych ludzi, i przed zemstą bogów. Nie pokazuj więcej twarzy twej tutaj, ani w forum, ani w żadnym publicznym miejscu w Rzymie. Jeśli ta pani zażąda, zaraz teraz przyjmuję oskarżenie przeciw tobie. Pani — zapytał z największym uszanowaniem — czy mogę mieć zaszczyt poznać imię twoje?

— Fabiola — odpowiedziała ona.

Sędzia był teraz cały wylany w uprzejmości, gdyż widział przed sobą, jak się spodziewał, swoją przyszłą synowę.

— Wiele słyszałem o tobie, pani, i o twoich wysokich zdolnościach i wychwalanych cnotach. Jesteś nadto bardzo bliską krewną tej ofiary najnikczemniejszej zdrady i masz prawo do jej zwłok. Są na twoje rozkazy.

Ta mowa przerywana była przez głośnie gwizdanie i wrzaski, które towarzyszyły odchodzącemu Fulwiuszowi.

Fabiola podziękowała prefektowi i skinęła na towarzyszkę swoją Syre. Sługa z swej strony znak dała komuś innemu i natychmiast czterech niewolników przystąpiło, niosąc lektykę. Fabiola nie dozwoliła, aby ktokolwiek prócz niej i Syry podniósł z ziemi relikwie, które same złożyły w lektyce i okryły tym samym płaszczem.

— Nieście ten skarb do własnego domu Agnieszki — rzekła i szła za nimi, podług rzymskiego zwyczaju, jako płaczka, wraz z sługą.

Mała dziewczynka, zalana łzami, przybliżyła się nieśmiało z zapytaniem, czy się może do nich przyłączyć.

— Kto jesteś? — zapytała Fabiola.

— Jestem Emerencianna, córka jej mamki—



odrzekło dziecko i Fabiola wzięła ją łaskawie za rękę.

W chwili, gdy ciało zabrano, tłum chrześcijan, dzieci, mężczyzn i kobiet, cisnął się naprzód z gąbkami i lnianymi płatkami, aby zbierać krew. Napróżno strażnicy rzucali się na nich z batogami i kijami, i nawet z ostrzejszą bronią, tak, że wielu zmieszało krew swoją z krwią męczennicy. Gdy monarcha przy koronacji, za pierwszym wstępem swoim do stolicy, stosownie do dawnego zwyczaju, rzucał garść złotej i srebrnej monety pośród tłumu, nie widać żywszego ubiegania się o te rozrzucone skarby, niż bywało u pierwszych chrześcijan o droższe w ich oczach od złota i drogich kamieni rubinowe krople, które męczennik z serca swego wyszczył za Pana. Lecz wszyscy wierni uszanowali pierwszeństwo praw jednego, a tym był diakon Reparatus, który narażając własne życie, przyszedł z flaszeczką w rękę zbierać krew świadectwa Agnieszki, aby mogła być przywiązana, jako wierna pieczęć do wspomnienia o męczeństwie na jej grobie.

### ROZDZIAŁ XXX.

Trzecia część tego samego dnia.

Tertullus pośpieszył natychmiast do pałacu cesarskiego z gotowym planem. Tam spotkał Korwiną z najwyższym reskryptem, ozdobnym w inicjały, to jest w wielkie początkowe litery. Miał przywilej natychmiastowego wstępu do komnat cesarskich, i zdał sprawę z urzędu o śmierci Agnieszki, malując przesadnie obu-

rzenie, jakie też śmierć mogła uczynić. Przypisał wszystko szaleństwu i niezgrabności Fulwiusza, którego jednak największej winy nie dotknął, z obawy, aby go nie musiał sądzić, i aby przez to własne jego zamiary na jaw nie wyszły. Stosownie do tych zamiarów, zmniejszył w oczach cesarza wartość majątku Agnieszki, i zakończył przedstawieniem jako wierny sługa, iż czynem cesarskiej łaskawości i stosownym do przeważenia wszelkich nieprzyjaznych monarsze wrażeń, byłoby oddanie majątku najbliższej z Agnieszką spokrewnionej Fabioli, i na mocy familijnego układu, najbliższej spadkobierczyni. Opisał Fabiolę jako pannę nadzwyczajnego dowcipu i zadziwiającej uczoności, najgorliwiej oddaną czci bogów i codziennie składającą ofiary gieniuszowi cesarzów.

— Znam ją — odrzekł Maksymian z uśmiechem, jakby na wspomnienie czegoś bardzo śmiesznego. — Biedne stworzenie, przysłała mi wspaniałą pierścion i wczoraj prosiła o życie tego nędznika Sebastiana, właśnie kiedy już go na śmierć pałkami ubito. — I śmiejąc się do rozpuku, mówił dalej: — Tak, tak, w każdym razie ten mały spadek pocieszy ją bez wątpienia po stracie tego człowieka. Trzeba przygotować reskrypt, a ja podpiszę.

Tertullus przedłożył pismo, mówiąc, że w zupełnym poleganiu na wspaniałomyślności cesarskiej naprzód jest przygotowane; a ukoronowany barbarzyńiec położył podpis, którego by się wstydził położyć każdy rzymski żak, choćby był największym nieukiem. Prefekt oddał odrazu papier synowi.

Zaledwo opuścili pałac, zaraz wszedł Fulwiusz, poszedł był do domu, aby przywdziać stosowny strój dworski i zatrzeć na twarzy zapomocą



kapieli i kosmetyków ślady rannych wzruszeń. Miał jednak mocne przeczucie, że się zawiedzie w swych nadziejach. Zimna rozprawa z Eurotasem w dniu poprzednim przygotowała go do tego. Pokrzyżowanie wszystkich zamiarów i mnożenie zawody, jakich doznał od rana, wzmacniały coraz bardziej jego przeczucia. Była ta kobieta jakby umyślnie na to stworzona, aby mu się sprzeciwiać i zbijać z toru, jakąkolwiekby szedł drogą.

— Lecz dzięki bogom — myślał — tu już może nie trafi. Dziś rano potępiła mnie na zawsze, ale przynajmniej zasłużonej nagrody wydrzeć mi nie może; uczyniła mnie wygnanym, lecz nie jest w jej mocy uczynić mnie żebrakiem.

W tym pokładał ostatnią nadzieję swoją. Rozpacz popychała go naprzód i postanowił wystąpić z prawami do skonfiskowanego majątku Agnieszki, łącznie z jedynym współzawodnikiem, którego się mógł obawiać to jest z chciwością samego cesarza. Nie wahał się przytem może i narazić, albowiem gdyby mu się nie udało utrzymać przy majątku Agnieszki, jużby i o życie nie dbał. Zaczekawszy czas jakiś, wszedł do sali posłuchań, i z najśłodszym uśmiechem, na jaki się mógł zdobyć, postąpił ku nogom cesarskim.

— Czego żadasz? — było pierwsze powitanie.

— Panie — odrzekł — przyszedłem błagać pokornie waszej cesarskiej sprawiedliwości o rozkaz, aby mi natychmiast wydano część na majątku Agnieszki za moje oskarżenie. Jako chrześcijanka właśnie wycierpiała zasłużoną karę za sprzeciwienie się rozkazom cesarskim.

— Dotąd wszystko bardzo dobrze; aleśmy słyszeli, jakieś nierozważnie postąpił w całej tej sprawie (a to według zwyczaju swego), wywołując przeciw nam szemrania i nieukontentowanie ludu. Teraz więc im wcześniej opuścisz naszą obecność, pałac i miasto, tym korzystniej dla ciebie. Czy rozumiesz? Nie powtarzamy zwykle takich ostrzeżeń dwa razy.

— Posłuszny jestem na każde skinienie najwyższej woli, ale funduszu nie mam żadnego. Rozkaż, aby mi wydano to, co mi się należy, i ruszam natychmiast.

— Ani słowa więcej — odrzekł tyran — oddał się natychmiast; co do własności, o którą się dopominasz tak uporczywie, nie możesz mieć w niej udziału. Rozporządziliśmy całością nieodwołalnym reskryptem na korzyść godniej zasługującej osoby, Fabioli.

Fulwiusz nie wyrzekł ani słowa więcej, ale ucałował rękę cesarską i cofnął się z wolna. Wyglądał jakby trup w proch obrócony. Słyszano jedynie te słowa, gdy się spieszenie wynosił za bramę.

— Otóż i żebraka ze mnie zrobiła.

Eurotas, który czekał na niego w domu, przeczytał wszystko w oku siostrzeńca i podziwiał jego spokojność.

— Widzę, że już po wszystkim?

— Zgadłeś, Eurotasie; a twoje przygotowania do naszego wyjazdu?

— Poczynione. Sprzedałem kosztowności, meble i niewolników z niejaką stratą; ale z tym, co miałem gotowizny w ręku, mamy dosyć. aby dojechać bezpiecznie do Azji. Zatrzymałem Stabia, jako najwierniejszego z sług naszych; on powiezie na koniu nasze niewielkie tłumoki, a dla nas dwóch są także dwa konie.



Jeszcze mi tylko jednej rzeczy potrzeba do wyjazdu, a potem gotów jestem wyruszyć.

— A co takiego?

— Trucizny. Obstałowałem ją przeszłej nocy, ale będzie gotowa dopiero na południe.

— A to na co? — zapytał Fulwiusz z pewną trwogą.

— Zapewne się domyślasz — odpowiedział Eurotas najspokojniej. — Chcę raz jeszcze w innym miejscu spróbować szczęścia; interes jasny, rodzina mego ojca nie powinna skończyć na żebractwie. Musi zginąć z honorem.

Fulwiusz zagryzł wargi i rzekł:

— Dobrze, niech się stanie, jak ci się podobą. Życie mi się sprzyrzyło. Opuść dom jak najspieszniej z obawy przed Efraimem, i czekaj z końmi przy trzecim milowym słupie, za bramą łacińską, jak tylko zmrok zapadnie. I ja się tam z wami złączę, gdyż mam także ważny interes do załatwienia przed wyjazdem.

— Cóż takiego? — zapytał Eurotas z żywością.

— Nie mogę tego powiedzieć nawet tobie. Ale jeśli nie będę na miejscu umówionym w dwie godziny po zachodzie słońca, zapomnij o mnie i ratuj przynajmniej siebie.

Eurotas utkwiał w bratanka duże czarne oko, które zawsze wskroś Fulwiusza przenikało. Lecz nie odkrył tym razem ze strony Fulwiusza żadnej myśli wysunięcia się z pod swej nieugiętej władzy.

Już starzec nie pytał dalej. Podczas tej rozmowy, Fulwiusz zdjął strój dworski i przywdział ubranie podróżne. Tak się zaś sposobił, aby nie mieć potrzeby wracania do domu, iż wziął nawet broń z sobą. Oprócz oręża, zatknął w pasie, ale pod płaszczem, jeden z tych

krzywych nożów z najlepszej stali i kształtu najniebezpieczniejszego, znanych tylko na wschodzie.

Eurotas udał się natychmiast do numidzkich kwater i zapytał o Jubalę, która wyszła ku niemu z dwoma flaszkami nierównej wielkości, i właśnie miała udzielić pewnych objaśnień, gdy ujrano zbliżającego się męża jej napół pijanego, napół zgniewanego. Eurotas zaledwie zdążył schować flaszki za pas i wpuścił pieniądze w jej rękę, gdy wszedł Hifax. Żona była mu wspomniła o nadziejach, jakie jej Eurotas czynił przed zamężciem, i zapaliła w gorącej krwi afrykańskiej zazdrość, która się równała śmiertelnej nienawiści. Barbarzyniec wypchnął żonę za drzwi, i byłoby niezawodnie przyszło do kłótni z Syryjczykiem, gdyby Eurotas, skończywszy z Afrą interes, nie był roztropnie ustąpił, zapewniając naczelnika maurytańskich strzelców, że mu się już nigdy nie pokaże.

Czas jednak powrócić do Fabioli. Zdawać by się mogło, że wróciła do domu chrześcijańska — a przecież tak nie było. Albowiem cóż dotąd rzeczywiście wiedziała o wierze chrześcijańskiej, aby się do niej nawrócić mogła? W Sebastianie i Agnieszce podziwiała wprawdzie cnotę, brak miłości własnej, wspaniałomyślność i coś nadziejskiego, co przypisywała żarliwości w wyznawanej przez nich wierze. Widziała iż wiara daje pochop do wielkich czynów, stanowi zasadę postępowania, dźwignię rozumu, i daje odwagę sumieniowi, i stałość męskiej woli w stopniu dla filozofii niedościgłym. A chociażby, jak się teraz domyślała, a w spokojniejszych chwilach sprawdzić sobie życzyła szczytne objawienia Syry, tyjące się niewi-



działnych światów kierownika — pochodziły z jednego źródła, czymże mogły być, jeśli nie wielkim, moralnym systemem, w części praktycznym, a w części spekulatywnym, jak wszystkie kodeksy filozoficzne. Cóżby to mogło mieć wspólnego z chrześcijaństwem?

■ Nie słyszała dotąd o istotnych i głównych zasadach nauki Chrystusowej, o dogmatach, o owych bezdennych, a jednak przystępnych głębinach prawdy, o obszernej i niebotycznej budowie wiary, którą wszelako najprostsza dusza objąć zdoła, tak jak dziecięca żrenica uchwyci całość niezmierną przestrzeni. Nie słyszała o Bogu w Trójcy Świętej jedynym, o równym Mu Synu w ludzkość obłeczonym. Nigdy jej nie opowiadano cudownej historii Odkupienia przez Boga ukrzyżowanego. Nie słyszała o Nazarecie, o Betlejemie, ani o górze Kalwaryjskiej! Jakże się mogła w tej niewiedomości nazwać chrześcijanką?

Ileż to nieznanych barbarzyńskich imion miało się jej stać słodkimi — Maryja, Józef, Piotr, Paweł, Jan, nie wymieniając najśodsze go z wszystkich imienia, które jest balsamem dla zbolącego serca, miodem płynącym ze złamanego plastra, pszczołkom wydartego. A ileż to miała do nauczania się o zostawionych przez Jezusa skarbnicach zbawienia, o Kościele, o łasce, o miłosierdziu, o Sakramentach świętych, o modlitwie, o miłości! Jakież nieskończone przestrzenie leżały poza obrębem szczupłej, poznanej w ostatnich czasach krainy!

Fabiola powróciła do domu przybita na duchu przez wrażenia poprzedniego dnia i nocy i smutnymi rannymi wypadkami, i udała się do swego pokoju. Sługom zakazała przechodzić przez dziedziniec przyległy jej pokojom,

aby jej nie przeszkadzał najmniejszy hałas i nie kazała nikogo przypuszczać do siebie.

Tam siedziała w samotności i milczeniu, zbyt wzruszona, aby w śnie znaleźć ochłodę. Płakała długi czas nad Agnieszką, jak matka płacze nad grobem własnego dziecka. Jednakże czyliż było nad tym grobem tak ciemno, jak nad grobem Fabiusza? Czy mógł na chwilę rozum przypuścić, aby Agnieszka istnieć przestała? Czy dałoby się pojąć, że przeszła w swej białej, niewinnej sukience z tysiącem uśmiechów i wdzięków i z przymiotami sprawiedliwości, czystości, szczerości, jak inny ogień nad cuchnącymi grobami latający?... prosto w otchłań nicości! Nie, tak być nie mogło!... Agnieszka żyje w szczęściu!... lecz gdzie?

— Co to za dziwna rzecz — myślała dalej — iż każdy z tych, których znałam, posiadających wyższą doskonałość: Sebastian, Agnieszka, należeli do tego wzgardzonego pokolenia! Jedna jeszcze im podobna pozostaje, tę muszę jutro zbadać.

Potem zwracając myśl na świat pogański, na Fulwiusza, Tertullusa, cesarza, Kalpurniusza — o mało nie wymówiła imienia własnego ojca, i zadrżała biedna — widziała podłość pogan obok szlachetności chrześcijan, występki jednych obok cnoty drugich, głupotę obok mądrości, zmysłowość obok wyższości ducha. Jej umysł przetwarzał się tym sposobem w zbiornik, który jakaś istotnie żyjąca doskonałość musiała napelnić: inaczej pękłoby naczynie w ogniu, jak wysuszona rola pęka i w niepłodny popiół się zamienia, jeżeli rosą niebieską na czas nie jest zwilżoną.

Gdy tak Fabiola smutna siedziała i rozmyślała nieprzyjemnie, przerwało jej samotność



wejście obcego człowieka, zameldowanego i wprowadzonego pod złowieszczym tytułem: „Posłańca cesarskiego”. Odźwierny z początku puścić go nie chciał, ale na zapewnienie, iż od samego cesarza przychodzi, zapytać się musiał rządcy domu Fabioli, co zrobić w tej okoliczności i odebrał odpowiedź, iż przychodzącemu w imieniu cesarskim wstępu odmawiać nie godzi się. Nieukontentowanie Fabioli zmniejszyła nieco śmieszna powierzchowność tak szumnie wprowadzonej osoby. Posłańcem cesarskim był nasz Korwin. Przybliżył się do Fabioli z sobie właściwą gracją, i w mowie bardzo kwiecistej a kulawej, której się na pamięć a źle nauczył, położył u nóg pięknej damy reskrypt cesarski i swój własny szczerzy afekt, a więc dobra Agnieszki brudną ręką swoją. Fabiola nie mogła wcale pojąć związku między ofiarowanymi darami, nie domyślając się, iż majątek Agnieszki był wędką na jej własny.

Zdziwiona kazała podziękować cesarzowi za ten łaskawy czyn, dodając:

— Powiedz, że jestem zbyt cierpiącą dnia dzisiejszego, abym się stawić osobiście mogła i winny hołd mu złożyć.

— Ale raczysz pani uważać, że te dobra były zajęte i skonfiskowane—westchnął w wielkim zakłopotaniu Korwin.—Mój ojciec wyprosił je dla pani.

— Niepotrzebnie się trudził—rzekła Fabiola—albowiem dobra Agnieszki były zapisane dla mnie od dawna, i stały się moimi tej samej chwili... — tu głosu jej brakło, lecz gwałt sobie zadając, mówiła dalej:—a przez to samo przestały należeć do kogo innego i konfiskacie ulec nie mogły.

Korwin oniemiał; po chwili ledwie wybełko-

tał coś takiego, co miało być pokorną prośbą o jej rękę, lecz to Fabiola zrozumiała jako żądanie nagrody za uzyskanie lub przyniesienie tak ważnego dokumentu. Zapewniła go, iż każdy interes, jakiby miał do niej, rozważonym będzie przy sposobniejszej chwili, ponieważ czuje się teraz nadzwyczajnie słabą, i musi go prosić, aby się oddalił. Poszedł więc w najlepszej myśli, pewny, iż sobie zapewnił łup pożądany.

Po odejściu Korwina, Fabiola ani nie spojrzawszy na pergamin leżący na stoliku, obok jej miejsca spoczynku, znowu rozmyślała o smutnych rzeczach, którym dziś była przytomną; i w tym stanie zostawała, aż prawie do zachodu słońca. Nakoniec wśród rozmyślań tak żywo przedstawiła się jej scena stawiania przeciwko Fulwiuszowi w forum, i tak ją boleśnie rozdrażniła, że aby się nieco uspokoić, sama do siebie głośno zawołała:

— Dzięki niebu, tego szkaradnika nigdy już przecie nie zobaczę!

Zaledwie słowa te wypowiedziała i podnosząc się na łożu, oczy ku drzwiom zwróciła, gdy jakby przed chorobliwym złudzeniem, czy przed obrzydłą rzeczywistością, natychmiast rękami oczy zasłoniła.

Zaraz potem usłyszany głos rozwiązał wątpliwość.

— Pozwól pani zapytać się, kogo zaszczytasz tak łaskawą mową?

— Ciebie właśnie, Fulwiuszu! — rzekła wstając z powagą — ciebie, który się wkradasz nie tylko do domu, do willi, do więzienia, lecz do najskrytszych komnat niewieściego mieszkania, a co gorsza, do ławego schronienia osoby, której odebrałeś, co tylko miała



najdroższego. Idź sobie natychmiast, albo cię każe sługom wyrzucić!

— Usiądź pani i uspokój się — odrzekł natrętnik — raz ostatni cię odwiedzam, i to w interesie bardzo ważnym. Co do krzyczenia i wołania służących, napróżnobyś się trudziła. Podług rozkazów twoich, ani jednego nie ma dość blisko, by mógł głos twój usłyszeć.

I prawdę mówił. Korwin mimowolnie drogę mu utorował. Gdy stanął Fulwiusz u drzwi, odzwierny, który go był widział dwa razy obiadującego w domu Fabiusza, powiedział mu o ścisłych rozkazach pani, i zapewnił, że nie będzie mógł otrzymać wstępu, chyba jeżeli przychodzi od cesarza; albowiem takie miał odzwierny od rządcy instrukcje.

— Otóż właśnie — odpowiedział Fulwiusz — od cesarza przychodzę! — a odzwierny, choć zdziwiony, że aż dwóch cesarskich wysłanników w jednym dniu przychodzi, wpuścił go.

Fulwiusz zaś prosił, aby drzwi zostawił uchylone na wypadek, gdyby odzwierny nie był na swoim stanowisku w chwili jego odejścia, gdyż pilno mu było, a nie chciałby niepokoić domu w tak wielkiej żałobie. Dodał, że nie potrzebuje przewodnika, znając drogę do pokoju pani.

Fulwiusz usiadł naprzeciwko Fabioli i mówił dalej:

— Nie powinabyś się mieć za obrażoną, pani, moim niespodziewanym przejściem tych progów i przysłuchiowaniem się uprzejmym monologom o mojej osobie; korzystam z nauki, którąś mi dała w tuliańskim więzieniu. Lecz muszę zacząć od rzeczy dawniejszych. Zaproszony po raz pierwszy do stołu twego nieodżałowanego ojca, miałem przed sobą osobę,

której spojrzenia i słowa odrazu podbiły przyjaźń moją. Nie potrzebuję teraz wymieniać imienia tej, której wzajemność pozyskać miałem szczęście.

— Zuchwały kłamco! — zawołała Fabiola — i przede mną śmiesz tak mówić? Falszem jest największym, by kiedy podobne uczucie istniało po którejś stronie.

— Co do Agnieszki — mówił dalej Fulwiusz, — mam największą pewność z ust najgodniejszego rodzica pani, który nieraz mię zachęcał do wytrwania, zapewniając, iż kuzynka powierzyła mu tajemnicę swego serca.

Fabiola zasmuciła się, albowiem teraz przypominała sobie, ile prawdopodobnym było, co mówił Fulwiusz — po tym, co jej Fabiusz wspominał o swych niedorzecznych domysłach.

— Ja wiem, iż mój drogi ojciec był źle obeznany z tą rzeczą; lecz ja, przed którą to ukochane dziecko nigdy nic nie ukrywało...

— Oprócz religii swej — przerwał Fulwiusz z gorzką ironią.

— Milcz — odrzekła Fabiola — bo to słowo brzmi jak bluźnierstwo w twych ustach; wiedziałam, iż byłeś dla niej najwstrętniejszym przedmiotem odrazy.

— Przyznaję, że wkońcu tak było; ale to z twojej łaski. Od pierwszej godziny naszego spotkania stałaś się pani nieubłagany dla mnie nieprzyjacielem w przymierzu z tym przeniewiercą oficerem, który odebrał już swą nagrodę, a któremuś przeznaczyła skarb, o który się ubiegałem. Nadaremnie oburzasz się pani; muszę być wysłuchany do końca. Pani odebrałaś mi sławę, zatrulaś skłonność serca



Agnieszki, odwróciłaś przeto i miłość moja i zamieniłaś w nieszczęsną nienawiść.

— Twoja miłość — wykrzyknęła oburzona Fabiola. — Chociażby nawet wszystko, coś powiedział, nie było podłym fałszem, jakąż miłość ty mógłbyś mieć dla niej? Jakżebyś ty mógł ocenić jej dziecinną prostotę, wrodzoną dobroć, rzadki rozum lub też niewinność bez skazy?... chyba jak wilk ocenić może dobroć baranka lub sokół słodkość gołębia. Nie, tyś patrzył na jej majątek, na stosunki familijne, na wysokie urodzenie i nic innego; czytałam w twarzy twojej, gdyś po raz pierwszy bazylijszkie oczy w Agnieszczce utopił!

— Wszystko fałsz! — odezwał się. — Gdybym był osiągnął skutek mej prośby, gdyby byli ze mną godnie postąpili, byłbym się znalazł na wysokości położenia mego cichym, ucieszonym, kochającym i tak godnym posiadania jej, jak...

— Jak tylko może być kto — przerwała Fabiola — co ofiarując rękę swą, oświadcza się zarówno gotowym do zaślubienia jak do zamordowania przedmiotu swej miłości w przeciągu trzech godzin. Oblubienica obiera śmierć, a oblubieniec słowa dotrzymuje... Idź precz z mych oczów, kalasz nawet powietrze, którym oddychasz!

— Odejdę, spełniwszy życzenie, a wtenczas nie bardzo będziesz się cieszyła. Rozmyślnie więc i nie zaczepiona, zamknęłaś przede mną wszelki zaszczytny cel życia, stanowisko w świecie, majątek, dobrą sławę, zatrulaś jedyną nadzieję domowego szczęścia. Nie dosyć na tym; aby mnie do ostatniej zguby przyprowadzić, wzięłaś na siebie rolę szpiega i podsłuchawszy moją rozmowę z Agnieszką, odrzuciłaś wszelkie uczucia przyzwoitości kobiecej: wystąpiłaś

publicznie w forum, aby dokonać otwarcie zaczętego w ukryciu dzieła potępienia, aby porużyć przeciw mnie najwyższy trybunał, a przez tenże cesarza i wywołać wybuch ślepego ludowego oburzenia, takiego, że gdyby nie uczucie silniejsze od trwogi, które mnie tu przynawodzi, kryłbym się w tej chwili, jak ścigany wilk, póki bym nie zdołał uciec najbliższą bramą.

— Powiadam ci, Fulwiuszu, że w chwili, w której przekroczysz bramy miasta, to miara złości i podłości tego miasta w zepsuciu pogrążonego zmniejszy się odrazu. Rozkazuję ci powtórnie, idź sobie przynajmniej z mego domu, albo użyj wszelkiego sposobu pozbycia się napaści.

— Jeszcze nie teraz, pani! — rzekł Fulwiusz, którego twarz czerwieniała, a usta coraz śmiertelniejszą błądźcą przybierały. Nakoniec uchwycił ją gwałtownie za ramię i popchnął w krzesło za nią stojące. — Spróbuj — dodał — umknąć lub przywołać pomoc, a pierwszy krzyk twój będzie ostatnim... niech mnie to co chce kosztuje!... Uczyniłaś mnie więc wyrzutkiem nie tylko z wysokiego towarzystwa, ale nawet wygnancom z Rzymu, włóczęgą na nieprzyjaznej ziemi: czy na tym nie dosyć, aby nasycić twoją zemstę?... Nie, musiałaś koniecznie obedrzeć mnie z majątku prawie, chociaż ciężko zapracowanego; ze wszystkiego więc: ze spokojności życia, z dobrego imienia, ze sposobu do życia okradłaś niedoświadczonego cudoziemca!

— Zuchwały nikczemniku! — wykrzyknęła do najwyższego stopnia oburzona Rzymianka. — Ciężko pożałujesz, żeś śmiał w moim własnym domu złodziejstwo mi wyrzucać!

— Śmiałem i powiadam ci, że nadeszła godzina, w której ty masz żałować a nie ja. Na-



byłem, a nie twoja rzecz wiedzieć jak nabyłem, prawny udział skonfiskowanej własności twojej krewnej. Okupiłem to prawo pracą, cierpieniem, bezsennością i daremną walką z szatanami zwycięskimi, walką ze straszniejszym od nich człowiekiem, długim, dzień i noc czatowaniem, najśroźszymi męczarniami dumnego choć upadłego ducha. Śmiej powiedzieć, że nie nabyłem prawa do majątku Agnieszki... Nazwij to prawo jak chcesz; niech będzie i krwawy pieniądz... im ohydniej nabyty, tym większa podłość z twojej strony wrywać mi ten pieniądz. Podobnaś najedzonemu człowiekowi, który wrywa ścierwo biednemu psu z pyska, ścierwo, upolowane kosztem pokaleczonej skóry i nóg popuchniętych.

Mówisz jak w gorączce—powiedziała Fabiola nie bez trwogi, widząc, że ma przed sobą szalonego, w którym gwałtowna namiętność, rozdrażniona podnieconą wyobraźnią, dochodziła do najwyższego stopnia obłąkania; tak jak kiedy zbrodniarz w obłądnie swym mniema, że ma zemstę do spełnienia.

— Fulwiuszu — mówiła dalej, ile mogła najspokojniej i patrząc mu w oczy — teraz cię proszę, żebyś poszedł. Jeżeli potrzebujesz, dostaniesz pieniędzy; lecz idź, póki ci złość do reszty rozumu nie przewróci.

— Z czego to sądzisz, że mi się rozum mie-  
sza?

— Po tym, że śmiesz mówić, że ja kiedy marzyłem o majątku Agnieszki, lub że co uczyniła, aby sobie zapewnić korzyść z jej okrutnej śmierci!

— A jednak tak jest! Z ust cesarza sły-  
szałem, że tobie przekazał ten majątek. Czy  
chcesz, abym wierzył, iżby ten najohydniejszy

z monarchów rozstał się kiedy z jednym szła-  
giem nieuproszony lub nieprzekupiony?

— O tym nic nie wiem, ale wiem, że wola-  
łabym raczej umrzeć, niż podawać prośbę o udział  
w takiej własności.

— Może więc chcesz, żebym wierzył, że  
w tym mieście jest kto tyle bezinteresowny, że-  
by nieproszony prosił za ciebie? Nie, nie, mo-  
ja pani! Wszystko to nie jest do uwierzenia.  
Ale co to jest?—i rzucił się na reskrypt cesar-  
ski, który tak leżał, jak go Korwin zostawił.  
Wściekłość, uciszona na chwilę usiłowaniem  
przekonania Fabioli, że jest winną, wybuchła  
na widok dokumentu. Zgrzytając zębami, za-  
wołała:

— Teraz przekonana jesteś o drapieżną pod-  
łość i wyrodne okrucieństwo, przechodzące  
wszystko, czemeś się śmiała oczernić! Patrz na  
ten reskrypt prześlicznie wypisany złotymi lite-  
rami i ozdobnymi brzegami. Ośmiel się powie-  
dzieć, że był przygotowany w tej jednej godzi-  
nie, która upłynęła między śmiercią twojej krew-  
nej i cesarskim oświadczeniem, że już dał swój  
podpis? Lecz wymień łaskawego przyjaciela,  
który się o ten dar dla ciebie postarał. Ba!  
gdy Agnieszka ostatnie chwile przepędzała  
w więzieniu, gdyś piszcziała i jęczała nad nią,  
gdyś mi wyrzucała okrucieństwo i zdradę wzglę-  
dem niej—mnie obcemu, nie krewnemu! ty mi-  
ła pani, cnotliwa filozofko! kochająca i uwiel-  
biająca Agnieszkę, krewną twoją, ty, mój suro-  
wy cenzorze, cichuteńko spiskowałaś, aby sko-  
rzystać z mej zbrodni, zapewniając sobie mają-  
tek, i szukałaś złocistego pisarza, któryby pió-  
rem i pędzlem ozłocił chciwość twoją.

— Przestań, szaleńcze, przestań — zawołała



Fabiola, usiłując nadaremnie odwagą spojrzenia pokonać jego obłąkane oko.

Mówił dalej jeszcze dzikszym głosem:

— Ale teraz, gdyś mię tak podłe zrabowała, ofiarujesz mi pieniądze. Oszukałaś mnie, a teraz litujesz się nade mną! Uczyniłaś mnie nędzarzem, a teraz ofiarujesz mi jałmużnę z własnego mego majątku! Majątek taki nawet piekło posiadać dozwala potępionym ofiarom swoim, póki są na ziemi!

Fabiola, powstała znowu, lecz uchwycił ją szalonym uściskiem i tym razem nie puścił.

Mówił dalej:

— Teraz wysłuchaj ostatnich słów, które do ciebie mówić będę, a może będą one ostatnimi, które usłyszysz w życiu! Wróć mi ten niesprawiedliwie utrzymany majątek; nie pięknie, abym ja miał na sumieniu zbrodnię, a ty zapłatę zbrodni. Oddaj mi majątek przez własnoręczny podpis, jako dobrowolny i przyjacielski dar, a natychmiast oddalę się. Jeśli nie, sama na siebie wyrok wydasz.

Groźniejsze jeszcze od słów wejrzenie popierało te słowa.

Fabioli dumna natura powstała znowu; rzymskie serce nabrało nowej siły w niebezpieczeństwie. Nieustraszona i niezachwiana, zebrała wkoło siebie szatę z powagą prawdziwej rzymskiej niewiasty i odrzekła:

— Fulwiuszu! słuchaj słów moich, chociażby miały być ostatnimi, jakie mówić będę, jak bezwątpienia są ostatnimi, które ode mnie słyszysz: Oddać ci ten majątek? Oddałabym chętnie pierwszemu lepszemu trędowatemu nędzarzowi, którego bym na ulicy spotkała, lecz tobie nigdy. Nigdy nie dotkniesz się rzeczy, należącej do tego szlachetnego dziewczęcia, ani drogiego kamienia, ani żdziebelka słomy. Twoje dotknię-

cie byłoby świętokradzkim. Żądaj ode mnie złota mego własnego, jeśli ci się podoba, lecz żadnej rzeczy, która do niej należała kiedykolwiek, żadne skarby ode mnie nie wykupią; a przykład jej cenę wyżej nad wszelką spusiczną. Jak przeszłej nocy Agnieszce, której ofiarowałeś do wyboru poddać się twoim żądanom lub umierać, tak dziś mnie ofiarujesz!... Agnieszka nauczyła mię, co mam wybierać. Raz jeszcze mówię, oddał się!

— I mamże zostawić cię przy posiadaniu tego, co jest moje? Zostawić cię, abyś nade mną tryumfowała, jak nad człowiekiem, któregoś przebiegłością pokonała; ty szanowana, ja wzgardzony; ty bogata, ja bez grosza; ty szczęśliwa, a ja nędzny? Nie, nigdy! Nie mogę uratować się od tego, czym mię uczyniłaś; lecz przeszkodzę, abyś mogła być tym, czym być prawa nie masz! Przyszedłem... dziś moja zemsta! Umieraj!

Poprzednie słowa domawiając, pchnął ją lewą ręką ku siedzeniu, z którego powstała, a drżącą prawą szukał czegoś w fałdach sukni swej na piersiach.

Gdy skończył ostatnie słowo, rzucił ją gwałtownie na krzesło i uchwycił za włosy. Nie stawiała żadnego oporu; nie wydała żadnego krzyku; po części szlachetne uczucie winnego sobie uszanowania, wstrzymało wszelką oznakę trwogi przed podłym zbrodniarzem. W chwili gdy pchnięta i uderzona zamykała oczy, widziała przed sobą jakby błyskawicę; niewiedomo, czy płomień złości w oku mordercy, czy błyszcząca stal.

W następnej chwili czuła się przygniecioną i duszoną jakby wielki ciężar padł na nią i gorący strumień płynął po jej łonie.



Słodki głos, czułości pełny, zabrzmiał w jej uchu:

— Stój! Oroncjusz! ja Miriam, siostra twoja!

Fulwiusz głosem stłumionym:

— To fałsz, zostaw mi inożą zemstę!

Potem kilka słów wymienionych było słabo językiem nieznanym Fabioli; uczuła włosy swoje z garści puszczone, usłyszała pugi nał rzucony o ziemię i Fulwiusza gorzkie wołanie, gdy uciekał z pokoju:

— O Chrystusie! to jest twoja zemsta!

Siły Fabioli powracały, lecz czuła coraz cięższy na sobie ciężar. Dobyła sił, uwolniła się i powstała.

Drugie ciało leżało na jej miejscu na krześle, nieżywe i krwią oblane.

Była to wierna Syra, która przegrodziła pugi nał brata od ciała swej pani.

## ROZDZIAŁ XXXI.

### Kapłan i lekarz.

Myśli, które wypadek ten w szlachetnym sercu Fabioli wzbudzić musiał, przytłumiła nagłą w tej chwili powinność. Pierwszym jej staraniem było zatamować krew tym, co się jej pod rękę nawinęło. Tymczasem zbiegła się i służba koło pani. Niebaczny odzwierciadł był już niespokojny, widząc jak długo nie wraca Fulwiusz (którego poznał teraz czytelnik prawdziwe imię). Gdy potem do obłąkanego podobny wypadł za drzwi, zdawało się odzwierciadlać, że miał krwawe plamy na sukni; stąd alarm rozległ się po całym domu.

Fabiola skinieniem ręki kazała służbie u drzwi się wstrzymać, jednej tylko Eufrozynie i Grai wejść dozwoliła. Greczynka od czasu oddalenia się z domu czarnej niewolnicy zbliżyła się i przywiązała do Syry (jak ją zawsze nazywamy) i bardzo pilnie słuchała jej moralnych nauk.

Natychmiast posłano po lekarza, który Syrę dawniej już podczas choroby odwiedzał — po Dionizjusza, a który, jakżeśmy już pierwej słyszeli, mieszkał w domu Agnieszki.

Tymczasem wielce cieszyła się Fabiola, widząc, jak prędko krew zatamować się dała, a jeszcze bardziej ucieszyła się, gdy niewolnica chociaż na chwilę tylko oczy otworzyła i spojrzała z uśmiechem, miłszym Fabioli nad wszelkie szczęście na świecie.

Po kilku minutach przybył życzliwy lekarz. Starannie ranę obejrzał i oświadczył, że jak na teraz nie jest niebezpieczną. Raz wymierzony był w samo serce Fabioli. Lecz Syra mimo zakazu cały dzień potajemnie nad ukochaną panią czuwała; nie chciała być natrętną, lecz pragnęła skorzystać z każdej sposobności przyłożenia wiernej ręki do dzieła Bożego w sercu Fabioli, a przypadki tego poranku wielką jej dawały otuchę.

Była w pobliskim pokoju, gdy usłyszała gwałtowne słowa, mówione aż nadto dobrze znanym jej głosem; pobiegła naokoło jak najciszej i stanęła za firanką, która zakrywała wejście do pokoju Fabioli. I tak stała niepostrzeżona na tym samym miejscu, gdzie przed kilku miesiącami w pamiętnym wypadku pocieszała ją Agnieszka.

Przejsie Syry nie na długo poprzedziło ostatnie gwałty. Gdy Fulwiusz odepchnął Fa-



biolę, niewolnica stanęła tuż za nim, a gdy rękę podniósł, wystąpiła naprzód i rzuciła się między zbrodniczą rękę brata a Fabiolę, przez co puginał z wymierzonego celu zwicznęty, ugodził w szyję Syry i zadał szeroką ranę, choć się zatrzymał na kości obojczykowej. Nie potrzebujemy mówić, jak wiele ją kosztowało to poświęcenie. Ból i śmierć nie były niczym dla Syry, lecz poświęceniem siebie; ale dopuszczenie powtórnego bratobójstwa, napiętnowanie brata podwójnym znakiem Kaina, srogą boleść zadawały jej sercu. Od dawna wszakże życie swoje za panią Bogu ofiarowała. Walczyć z mordercą byłoby daremne znała jego siłę i zrećność, przywołać kogo na ratunek, zanimby raz śmiertelnie ugodził w Fabiolę, było niepodobieństwem, i nic nie pozostawało, tylko ofiarę swą spełnić, zastępując i zasłaniając panią.

Aby jednak oszczędzić bratu przynajmniej dokonania bratobójstwa, pospieszyła z wyjaśnieniem, że jest siostrą Fulwiusza. Wściekłością zaślepiony nie chciał wierzyć; lecz Syra rzekła rodowitym językiem:

— Przypomnij sobie mój szal, któryś stąd zabrał!

Tymi słowy przywołała mu na pamięć tak okropne rodzinne nieszczęście, że gdyby w tej chwili przepaść rozstąpiła się pod jego nogami, byłby w niej chętnie wstyd i zgryzotę na zawsze zagrzebał.

Zastanowienia jest godne, że nigdy do tej rodzinnej relikwii Eurotasa nie dopuścił; od czasu, gdy znowu do rąk jego dostała się ta zasłona, przechowywał ją, jak rzecz świętą; a dziś gdy wszystko miał zapakowane, złożył szal, i schował pod suknię na piersiach i teraz

wraz z puginałem nieumyślnie wyciągnął, a jedno i drugie znaleziono na ziemi.

Dionizjusz opatrzył ranę i stosownymi środkami przywrócił Syrę do przytomności. Wtedy nakazał, aby w wielkiej była zostawiona spokojności, aby jak najmniej osób przypuszczać, unikając dla chorej wszelkiego wzruszenia; dalej nakazał do północy podawać przepisane leki.

— Przyjdę jutro rano—dodał—i wtedy będę musiał sam na sam z chorą się widzieć.

Szepnął jej do ucha parę słów, które musiały być pomocniejsze od wszelkich leków, gdyż twarz jej zajaśniała anielskim uśmiechem.

Fabiola kazała właśnie łożę dla chorej uściłać, dwóm służebnicom kazała w przybocznym pokoju, a sobie wyłącznie zatrzymała przywilej—przywilejem było dla Fabioli — pielęgnowanie niewolnicy, dla której podczas własnej choroby, kilka miesięcy temu, żadnej wdzięczności nie czuła za najtroskliwsze siebie pielęgnowanie.

Opowiedziała przytomnym, jakim sposobem wybawicielka jej ranę otrzymała; o pokrewieństwie między mordercą a Syrą nie wspomniała wszakże.

Chociaż sama była znużona i w gorączce, nie chciała opuścić łoża chorej. Gdy nadeszła północ i gdy już nie trzeba było leków podawać, położyła się na niskim pościu przy łóżku, aby nieco wypocząć. Jakież były myśli, którym umysł i serce Fabioli otwierało się w półświecie tego pokoju? Poznała rzeczywistość tego wszystkiego, o czym jej niewolnica mówiła. Przy ostatniej rozmowie wydawały jej się zasady, o których z rozkoszą słuchała, niepraktycznymi, pięknymi teoriami, które w życie wprowadzone być nie mogą. Gdy Miriam mówiła o cnocie, która pod okiem Bożym żadnej



pochwały i żadnej nagrody od ludzi spodziewać się nie potrzebuje, z głębokim uwielbieniem podziwiała tę myśl Fabiola; lecz aby heroizm miał być prawidłem codziennego postępowania, przypuścić dotąd nie mogła.

A przecież gdyby pugiwał zadał był raz śmiertelny, co łatwo zdarzyć się mogło, jaką nagrodę byłaby Miriam otrzymała?

Cóż innego mogło ją więc do tego czynu natchnąć, jeśli nie właśnie ta teoria o wszechwidzącej i nagradzającej niewidzialnej potędze?

A gdy Miriam mówiła, że cnota wszelkie bohaterskie uczynki spełniać powinna, jak fałszywym wydawało się Fabioli to zdanie. A przecież bez przygotowania, bez namysłu, bez wahania, bez widoków sławy, przeciwnie z widocznym staraniem, by ukrytą pozostać — tu przed chwilą niewolnica dokonała czynu poświęcenia niepojętego. Jakżeby to było możliwe, gdyby nie posiadała w sercu bohaterskiej cnoty, zawsze gotowej do tego, coby każdego wojownika wieczną sławą uwieńczyło? Syra nie była więc marzycielką, nie przestawała na próżnych teoriach, lecz szczerze czyniła tak, jak nauczwała. Mogłoż to być filozofią? O nie, musiała to być wiara! Wiara Agnieszki i Sebastiana, którym Syra pod każdym względem wyrównywała. Jak gorąco pragnęła teraz znowu z nauczycielką rozmawiać!

Wcześniej zrana, stosownie do obietnicy, powrócił lekarz i znalazł znaczne polepszenie w zdrowiu chorej. Prosił, by mógł sam na sam z nią pozostać i rozłożywszy płócienny obrus na stole, postawił dwie zapalone świece i wyjął z łona haftowaną chustkę i odwinął złote pudełko, a co było w tym pudełku, chora dobrze wiedziała. Zbliżywszy się do niej, rzekł lekarz:

— Moje drogie dziecko, podług obietnicy przyniosłem ci nie tylko najprawdziwsze lekarstwo na wszelkie choroby cielesne i duchowe, lecz samego lekarza, który jednym słowem każdą rzecz naprawia, którego dotknięcie przywraca wzrok ślepym i słuch głuchym, którego wola oczyszcza trędowatych, którego sukni rąbek posiada własność leczenia wszystkiego złego. Czy gotowa jesteś przyjąć?

— Z całym sercem — odpowiedziała, składając ręce — gorąco pragnę posiadać Tego, którego kochałam i w którego wierzyłam, któremu moje serce oddane!

— Czy nie ma w sercu twoim gniewu lub oburzenia przeciw temu, który ci krzywdę wyrządził? Czy niema dumy lub próżności na myśl czynu, który spełniłeś? lub czy pamiętasz jaki inny grzech, któryby wymagał pokornej spowiedzi i rozgrzeszenia przed przyjęciem świętego daru w serce twoje?

— Znam dobrze siebie, że pełną jestem niedoskonałości i nędzy, lecz nie pamiętam o żadnym grzechu w szczególności. Nie potrzebowałam przebaczać temu, o którym wspominał. Kocham go, chętniebym życie oddała, aby go uratować. A z czegożbym miała być dumna, ja, biedna służebnica, która tylko posłuszną rozkazom Pana byłam?

— Zaproś więc, moje dziecko, tego Pana w dom twój, aby przyszedłszy, uzdrowił cię i napełnił łaską swoją.

Zbliżywszy się do stołu, wziął łańcuszek św. Eucharystii w postaci chleba bez drożdży, umaczał w wodzie, ponieważ był suchy, i włożył do ust chorej. Zamknęła usta i pozostała przez czas jakiś w cichej modlitwie.



I tak wypełniał cnotliwy Dionizjusz podwójne obowiązki lekarza i kapłana, jak głosi grobowy napis.

## ROZDZIAŁ XXXII.

### Ofiara przyjęta.

Przez cały ten dzień chora zdawała się zajęta głębokimi, lecz najśodszyimi myślami. Fabiola, która jej nigdy nie opuszczała, chyba chwilowo dla dawania rozkazów i rozporządzeń, wpatrywała się w jej oblicze z dwojakim uczuciem: głębokiego uszanowania i rozkoszy. Zdawało się jakby umysł Syry oderwany był od otaczających przedmiotów. Raz uśmiech gościł na jej twarzy, to łza zadrżała w oku lub spłynęła po licach. Czasem wzniezione źrenice wlepiała w niebo i przez czas długi, z nieprzerwanym wyrazem doskonałego i spokojnego uszczęśliwienia, to znowu obracała się ku pani swej z niewypowiedzianą czułością i wyciągała rękę swoją, aby spoczywała w rękach pani. I Fabiola siedziała tak po godzinach w milczeniu jeszcze na teraz przez lekarza zaleconym, mieniąc się zaszczyconą i i szczęśliwą z zetknięcia z tak rzadkim wzorem cnoty.

Nareszcie w ciągu dnia udzieliwszy chorej nieco posiłku, rzekła do niej z uśmiechem:

— Zdaje mi się, Miriam, że ci już jest daleko lepiej. Lekarz twój musiał ci zadać jakieś cudowne lekarstwo!

— Rzeczywiście, najdroższa pani.

Fabiola była tym nazwaniem widocznie zmartwiona i chyląc się ku chorej, rzekła słodko:

— Och, nie nazywaj mnie panią, błagam cię! Jeśli kto kogo, to ja ciebie tak nazywać powinienam. Lecz istotnie panią twoją już nie jestem; com oddawna zamierzyła, przyszło teraz do skutku: akt twego uwolnienia jest obstalowany nie jako dla wyzwolonej, lecz jako dla urodzonej gdyż teraz wiem; że jesteś w wolnym stanie urodzona.

Miriam spojrzeniem tylko podziękowała, aby drugi raz nie zasmucić Fabioli; i znowu w milczeniu szczęśliwe były obie.

Ku wieczorowi powrócił Dionizjusz i widział tak wielkie polepszenie, że nakazując nieco pożywniejszy posiłek, pozwolił więcej rozmawiać.

— Muszę teraz — rzekła Fabiola, gdy tylko pozostały same — dopełnić pierwszego obowiązku, za którym serce moje usycha: obowiązku wdzięczności; chciałabym znać wymowniejsze słowo, nie za życie, któreś mi uratowała, lecz za wspaniałomyślną ofiarę, którąś dla uratowania onego uczyniła, pozwól mi dodać za nie-zrównany przykład bohaterskiej cnoty, która jedynie czyn ten natchnęła.

— Fabiolol! cóżem uczyniła, jeśli nie poprostu powinność? Miałas prawo do życia mego w daleko mniej ważnym przypadku, jak w niebezpieczeństwie życia twego — odrzekła Miriam.

— Zapewne — odrzekła Fabiola — tak się to wydaje tobie, wykarmionej wzniosłą nauką, której poznanie tobie winnam, że najbardziej bohaterskie czyny mogą być uważane za wypełnienie prostego obowiązku.

— I wtedy — rzekła Miriam — przestaje być tym, czym je nazywasz.

— Nie, nie — zawołała Fabiola z zapalem — nie czynię mię podłą i nikczemną we własnych oczach moich, nie pozwalając godnie oceniać



i wychwalać niezrównanego przykładu bohaterkiej cnoty. Rozmyślałam dzień i noc nad czynem, którego byłam szczęśliwym świadkiem; serce moje z upragnieniem oczekiwało chwili, w której z tobą mówić mi będzie wolno, lecz i teraz nie śmiem, bobym cię w osłabieniu twoim zmęczyła mową moją z przepelnionego serca. Szlachetny był ten czyn i wielki nad wszelkie pochwały, a wiem, że pochwał nie potrzebujesz.

Miriam, która się teraz podniosła, siadając na łożu, ujęła w ręce swoje obie ręce Fabioli i obracając się ku niej, miłym i słodkim głosem, lecz żarliwie przemówiła:

— Dobra i miła pani! racz mię posłuchać. Nie aby poniżyć to, co w dobroci swojej cenić ci się podoba, lecz aby cię nauczyć, jak daleko jeszcze jesteśmy od tego, co uczynione być może; pozwól mi opisać tobie podobny przykład, lecz w którym wszakże wszystko przeciwnie odbywa się. Wystaw sobie, iż jakiś niewolnik podły, niewdzięczny buntuje się przeciw najśłodszeemu i najłaskawszeemu z panów, miecz wisi nad głową jego; nie z rąk mordercy, lecz z rozkazu sędziego najsprawiedliwszego. Jakżebyś nazwała czyny i jakbyś oceniła cnotę tego pana, gdyby z czystej miłości i w celu uratowania nieszczęsnego człowieka, oddał głowę swoją pod miecz, a poprzednio ciało swoje pod hańbiące różgi i zostawił w testamentcie, że niewolnika czyni spadkobiercą wszystkich bogactw i tytułów swoich, i że pragnie, aby był uważany za brata swego najukochańszego.

— O Miriam, Miriam! przedstawiłaś obraz zbyt wzniosły, aby można tyle cnoty przypuszczać w człowieku. Nie zaćmiłaś blasku wła-

snego czynu twego, gdyż ja mówiłam o ludzkiej cnotcie. Czyn, któryś opisała, wymagałby, gdyby być mogło, boskiej cnoty!

Miriam przycisnęła złożoną rękę do piersi, wlepiła w zadziwioną twarz Fabioli oczy pełne niebiańskiego natchnienia, i słodko i uroczyście odrzekła:

— I Jezus Chrystus, który to wszystko dla człowieka uczynił, był istotnie Bogiem!

Fabiola zakryła oblicze rękami i przez długi czas milczała. Miriam modliła się gorąco w sercu swoim.

— Miriam! dziękuję ci z głębi duszy — rzekła nareszcie Fabiola — dopełniłaś obietnicy prowadzenia mię. Od jakiegoś czasu obawiałam się, żeś ty może nie jest jak Sebastian i Agnieszka chrześcijanką, lecz to być nie mogło. Teraz powiedz mi, czy te uroczyste, lecz słodkie słowa, któreś dopiero wymówiła i które utkwily w sercu moim tak głęboko, jak ułamek złota, który rzucony na powierzchnię spokojnego oceanu, zatapia się w głębiach jego; powiedz, czy te słowa są tylko częścią chrześcijańskiego systemu, czy jego główną zasadą?

— Z prostego porównania, droga Fabiolo, twój potężny umysł jednym skokiem pochwycił główny klucz całej naszej nauki. Bystrość twego niepospolitego pojęcia zebrała i skupiła w jedną myśl najżywotniejsze i najwydatniejsze nauki Chrystusowe. Wysączyłaś z nich samą najdoskonalszą esencję: że człowiek, Boskie stworzenie i Boski poddany, zbuntował się przeciw Panu swemu, że najwyższa sprawiedliwość skazała go i ścigała, że ten sam Pan przyjął na siebie postać poddanego i był człowiekiem; że pod tą postacią cierpiał różgi,



policzki, urągania i haniebną śmierć na krzyżu. Ukrzyżowanym chciał być jak Go tutaj nazywają, i tym sposobem wykupił człowieka od kary i dał mu udział we własnych swoich bogactwach i królestwie. Wszystko to w kilku słowach wyraziłam. A ty, Fabiolo, na prawdziwą trafiłaś konkluzję. Bóg tylko mógł dokonać tak Boskiego czynu. Tak jest, godnym jest tylko Boga sprawiedliwego spełnić dzieło odkupienia.

Fabiola znowu w milczeniu myślom swoim wzniosły bieg dawszy, zapytała nieśmiało:

— I czy o tym wspomniałaś w Kampanii, mówiąc o Bogu, który jedynie jest ofiarą godną Boga?

— Tak jest, lecz odnosiło się to także do dalszego ciągu ofiary, która trwa i w naszych dniach przez cudowną łaskę wszechmocnej miłości. O tym wszakże teraz mówić nie mogę.

Fabiola znowu mówić zaczęła:

— każdej chwili widzę, jak wszystko, coś mi kiedykolwiek mówiła, zgadza się i odnosi jedno do drugiego, jak gałązki jednej rośliny wszystkie jedne z drugich wyrastają. Myślałam, że kwitną te rozliczne gałązki twojej nauki pięknym jedynie kwieciem wdzięcznej teorii, lecz dowiodłaś mi postępowaniem swoim, że kwiaty te dojrzewają na słodkie i trwałe owoce. W nauce, którą teraz wyłożyłaś o odkupieniu, zdaje mi się, że poznaję szlachetną łodygę, z której wszystkie te gałązki i owoce pochodzą. Bo ktośby chciał uczynić dla drugiego mniejszą nawet ofiarę od tej, którą Bóg dla nas uczynił? Lecz, Miriam! musi być głęboki, niewidzialny korzeń, z którego wszystko to wyrasta, może za daleko, za głęboko dla oczu naszego rozumu, może wszelkim ludzkim

usiłowaniom niedostępny; lecz jeśli śmiem powiedzieć, może łatwy do pojęcia dla ufającego umysłu. Jeśli w mej teraźniejszej niewiedomości mogę się ośmielić dalej mówić, powiedziałabym, że musi być dość rozrośnięty, aby całą zając przyrodę; dość bogaty, aby zapelnąć świat stworzony ze wszystkim, co się w nim znajduje dobrego i doskonałego; dość silny, aby dźwigać wzrost waszego olbrzymiego drzewa, póki wierzchołek nie wzniesie się nad gwiazdy, a gałęzie nie rozłożą się ponad całą ziemią naszą. Tym korzeniem wszechrzeczy, śmiem się zapytać, czy nie jest ten sam Bóg, którego się bałam, gdyś mi o Nim mówiła jako o filozofie, ucząc, że jest wszędzie przytomnym i wszystko widzącym sędzią; lecz którego pewna jestem, że mię nauczysz kochać, gdy jako chrześcijanka, dasz mi w Nim poznać korzeń i początek nieskończonej miłości i dobroci. Lecz bez przypuszczenia głębokiej, nieznanej mi tajemnicy w naturze Boga, nie mogłabym pojąć tej dziwnej nauki o odkupieniu człowieka.

— Fabiolo! — odrzekła Miriam — uczeńsi nauczyciele ode mnie przedsięwzięją nauczanie tak zdolnej i przenikliwej osoby. Lecz czy będziesz mi wierzyła, jeżeli spróbuję dać ci jakie słabe objaśnienie?

— Miriam! — odrzekła Fabiola z mocnym naciskiem — kto chciał umierać za mnie, zapewne mnie nie oszuka.

— A teraz — rzekła chora z uśmiechem — znowu trafiłaś na wielką zasadę wiary. Spróbuję więc opowiedzieć ci coś z tego, co nauczał Jezus Chrystus, który prawdziwie za nas umarł, a wierzyć będziesz słowu memu, jako słowu wiernego świadka, a przyjmiesz słowo Jego, jako słowo nieomylnego Boga.



Fabiola schyliła głowę i słuchała pokornie; długo szanowała Syrę, jako nauczycielkę wysokiej mądrości, czerpanej z nieznaney szkoły, a teraz czciła ją jak anioła, który dla niej otworzy szluzę wiecznego oceanu bezdennej mądrości, spływającego w szczupłej mierze na ziemię z przepelnionych a zamkniętych stawów.

Miriam wyłożyła z prostotą dogmat katolickiej nauki o Trójcy św., potem opisała upadek człowieka, rozwinęła tajemnicę wcielenia, opowiadając słowami św. Jana istotę słowa przedwiecznego, które stało się Ciałem i zamieszkało między ludźmi.

Często przerywały mowę Syry mimowolne wyrazy podziwienia lub potwierdzenia z ust uczennicy, powątpiewania zaś lub rozumowania ani jeden wyraz nie dał się słyszeć. Filozofia ustąpiła miejsca religii, hardość powolności i niedowiarstwo wierze.

Lecz jeszcze cień smutku ciążył na sercu Fabioli. Miriam, czytając w jej twarzy zapyła o przyczynę.

— Nie śmiem mówić — odpowiedziała. — Lecz to wszystko jest tak piękne, tak Boskie, że na tym, zdaje mi się koniecznie kończyć się jeszcze nie może. Słowo (co za piękne imię!) wyraz miłości Bożej, objawienie Jego mądrości i potęgi, samo tchnienie Jego życia, dające życie, to jest Jego samego; On sam staje się ciałem. Jakie ciało przyjmuje na się? Czy ma przybrać na siebie zwleczoną brudną szatę skalanej ludzkości, lub czy nowe człowieczeństwo ma być stworzone umyślnie dla Niego? Czy ma zająć miejsce w podwójnej genealogii, z ojca i matki przyjmując tym sposobem w siebie od grzechu pierwotnego

dwiema drogami przyływające zepsucie, lub czy znajdzie się na ziemi człowiek dość śmiały i wielki, aby nazwać się ojcem jego.

— Bynajmniej — odrzekła słodko Miriam — lecz znajdzie się niewiasta dość święta i dość pokorna, aby była godną nazwać się matką Jego! Około 800 lat przed przyjściem Syna Bożego na świat, mówił prorok i słowa swoje zapisał, i pismo złożył w ręce żydów, nieprześlanych Chrystusa nieprzyjaciół, i te są słowa jego: „Oto dziewica ma począć i nosić Syna, a zwać się będzie Emanuelem” co po hebrajsku znaczyć ma: Bóg z nami, to jest z ludźmi. To proroctwo spełniło się w poczęciu i narodzeniu Syna Bożego na ziemi.

— A ta niewiasta? — zapytała Fabiola z wielkim uszanowaniem.

— Maryja błogosławiona między niewiastami od każdego, co Syna Jej pokochał. Pod tym imieniem znać Ją będziesz. Pod tym imieniem ją Ją wzywać przywykłam. Jak zaś łatwo pojmujesz, dobrze była przygotowaną do tak wysokiego przeznaczenia przez światobliwość i cnotę, nie jako oczyszczona, lecz jako zawsze czysta, nie jako obmyta, lecz jako zawsze niewinna, nie jako uniewinniona, lecz jako niepokalana. Napływ zepsucia, o którym mówiłaś, oparł się o tamę, przed nią usypaną z odwiecznych wyroków Boga, który nie mógł dozwolić, aby świętość mieszać się miała z grzechem. Świętość miała grzeszne ciało odkupić, grzechowi obca zupełnie zostając. Jasna, jak krew Adama, gdy tchnienie Boże rozlało ją w żyłach pierwszego człowieka; jak ciało Ewy dopiero co wydobyte z boku śpiącego Adama twórczymi dłońmi



Wszechmocnego; czysta była krew i piękne ciało, z których Bóg utworzył świetne człowieczeństwo, które też Maryja dała Jezusowi. I po tym świetnym przywileju, udzielonym naszej płci, czy będziesz się dziwiła, że niewiasty, jak i twoja miła Agnieszka, chętnie obierają tę niezrównaną dziewicę za wzór życia swego, i że znajdują w Niej, tej od Boga wybranej, przykład wszelkiej cnoty; a zamiast przywiązywać się chociażby najśłodszymi więzami do jarzma ziemskich przyjaźni, starają się ulatwiać, tak, jak Ona, na skrzydłach wyłącznej miłości?

Po chwili milczenia i lekkim posileniu się, Miriam opowiadała w krótkości historię narodzenia Zbawiciela, jego pracowitej młodości, czynnego a pełnego cierpień życia publicznego i na koniec haniebnej męki Pańskiej. Opowiadanie często przerywane było płaczem i łkaniem chciwie słuchającej ucznicy. Nakoniec nadszedł czas spoczynku, a Fabiola zapytała pokornie:

— Czy nie jesteś zbyt zmęczona, aby na jedno jeszcze odpowiedzieć pytanie?

— Nie — odpowiedziała Miriam. — Chętnie.

— Jaka może być nadzieja — rzekła Fabiola — dla tej, która nie może zasłonić się niewiadomością, gdyż mniemała, że umie wszystko; ani tym, że zaniedbała uczenia się, gdyż przykładala się z zapalem do wszelkich nauk i wiadomości; i wyznać musi, że gardziła tylko prawdziwą mądrością i bluźniła jej Dawcy; dla tej, która się naśmiewała z męczarni poniesionych z miłości i szydziła z śmierci okupującej wysłanego przez nią Ukrzyżowanego.

Potok łez przerwał jej mowę.

Miriam czekała, aby zbawczy deszcz zasta-

piła słodsza rosa, serce gojąca; i wtedy uspakajającymi słowami mówiła, jak następuje:

— Za czasów ziemskiego żywota Zbawiciela żyła kobieta, nosząca to samo imię, co jej najczystsza matka; lecz grzeszyła jawnie, haniebnie, i w sposób, jakieś się ty, Fabiolo, zawsze grzeszyć brzydziła. Poznała się, nie wiemy jakim sposobem, ze Zbawicielem swoim, a zaraz w tajemnicy serca swego ukochała go, co Jego miłą i łaskawą poufałość z grzesznikami i dziwne pobłażanie i przebaczenie upadłym. Kochała i kochała coraz bardziej, i zapominając o sobie, myślała tylko, jakim sposobem mogłaby okazać Mu swą miłość, tak, aby ta jej miłość przyniosła chwałę jakąkolwiek Panu, a zawstydzenie jakiegokolwiek jej samej. Udała się do domu bogatego człowieka, gdzie zwykle grzeczności namaszczenia w duchu gościnności oddawane, nie były oddane Boskiemu gościowi; do domu, mówię, wyniosłego człowieka, który też wzgardził w zarożumieniu serca swojego jawnogrzesznicą. Oddała hołd Temu, którego kochała, Bogu samemu, którego On od bogacza nie odebrał, a za to wyśmianą była, jak się też tego spodziewała.

— Jak ona to uczyniła, Miriam?

— Uklękła u stóp Jego, gdy siedział u stołu, oblała nogi potokiem łez, otarła bogatym włosem, ucałowała gorąco i namaściła drogim pachnidłem.

— I jakiż tego był skutek?

— Obronił ją Jezus od potępiających szyderstw gospodarza, i powiedział, że wiele jej odpuszczone jest, bo wiele ma miłości; i odesłał z najśłodszą pociechą.

— A co się z nią stało?

— Gdy na Kalwarii Ukrzyżowany wisiał,



dwie niewiasty miały przywilej stać nieodstępnie pod krzyżem; Maryja bez zmyzy i Maria pokutnica, aby pokazać, jak niezmazana i pokutująca miłość mogą stać w parze przy Tym, który powiedział, że nie przyszedł wezwać sprawiedliwych, lecz grzeszników do pokuty.

Na tym zakończyła się rozmowa tej nocy. Miriam zmęczona wysileniem, wkrótce spokojnie usnęła. Fabiola siedziała przy jej boku z sercem przepełnionym tym opowiadaniem o miłości. Rozmyślała nad nim i coraz lepiej widziała cudowny związek w świętej budowie nauki Chrystusowej. Jeśli Miriam gotowa była umierać za nią, naśladowując miłość Zbawiciela, teraz wiedziała Fabiola, dlaczego zarówno gotowa była przebaczać, gdy jej poganek lekomyślnie krzywdę wyrządziła. Każdy chrześcijanin (uczula ona to teraz) powinien być odbiciem i żywym obrazem Pana swego; a ta, która tak spokojnie na łożu jej spała, niezawodnie wierną była wzorowi swemu i godnie Pana przedstawiać jej mogła.

Gdy po jakimś czasie Miriam przebudziła się, ujrzała panią swoją (akt uwolnienia nie był jeszcze spisany) leżącą u nóg jej, na których wśród łez zasnęła. Miriam pojęła od razu całe znaczenie i zasługę dobrowolnego upokorzenia, i nie ruszając się, całym sercem podziękowała Bogu, że ofiarę jej przyjąć raczył.

Fabiola obudziwszy się zsunęła się znowu na swoje posłanie, jak mniemała, niepostrzeżona. Nie bez ostrego bólu spełniła Fabiola po raz pierwszy ten czyn dobrowolnego upokorzenia i poniżenia; lecz skruszywszy odważnie starą pogańską dumę, po raz pierwszy uczula, że ma nowe, chrześcijańskie serce.

## ROZDZIAŁ XXXIII

### Historia Miriam.

Nazajutrz rano przyszedł Dionizjusz, zastał obie przyjaciółki, to jest: i chorą i pielęgnującą, tak wesołe i szczęśliwe, że winszował jednej i drugiej spoczynku, jakiego użyć musiały. Obie śmiały się, lecz przyznały, że ta noc była najszcześniejszą w ich życiu. Dionizjusz zdziwiony był; a Miriam biorąc rękę Fabioli, rzekła:

— Szanowny kapłanie Boży! Powierzam twej ojcowskiej pieczy tę katechumenkę, która pragnie dokładnie być wyuczoną tajemnic naszej świętej wiary i odrodzoną w wodzie do wiecznego zbawienia.

— Jakto? — zapytała Fabiola zdziwiona — czy jesteś czym więcej, jak lekarzem?

— Tak jest, moje dziecko — odrzekł starszek. — W niegodności mojej piastuję także wyższy urząd kapłana w Kościele Bożym.

Fabiola nie wahając się, uklękła przed nim i pocałowała w rękę. Kapłan położył prawą rękę na jej głowie i rzekł do niej:

— Bądź dobrej myśli, córko; nie jesteś pierwszą z domu twego, którą Bóg wprowadził do Kościoła św. Wiele lat upłynęło odtąd, gdy wezwany byłem tutaj na pozór jako lekarz przez sługę teraz już nieżyjącą, lecz w istocie, aby ochrzcić na parę godzin przed skonem żonę Fabiusza.

— Moją matkę? — zawołała Fabiola. — Matka moja umarła natychmiast po moim przyjeździe na świat. Umarła więc chrześcijanką?

— Tak jest i nie wątpię, że duch jej czuwał ciągle nad tobą, nie odstępując od boku



anioła, który cię strzeże, prowadząc cię niewidzialnie od tej błogosławionej chwili. I przed tronem Boga nieustannie modliła się za ciebie.

Radość nieskończona napełniła serce przyjaciółek, i po ułożeniu się z Dionizjuszem, co do potrzebnych nauk i przygotowań, mających poprzedzić Chrzest święty, Fabiola stanęła przy boku Miriam, i biorąc jej rękę rzekła cichym, słodkim głosem:

— Miriam! czy mogę od tej chwili nazywać cię siostrą?

Uściśnienie ręki było jedyną odpowiedzią.

Razem z panią swoją stara mamka Eufrozyna i grecka niewolnica oddały się nauce dla przyjęcia Chrztu św. w wilię Wielkiejnocy.

Podczas choroby i przychodząc do zdrowia udzieliła Miriam Fabioli wiele szczegółów z przeszłego życia swego.

Na kilka lat przed początkiem naszej powieści żył w Antiochii człowiek bogaty, który, chociaż nie pochodził z rodu bardzo starożytnego, należał do najwyższych kół towarzyskich tej stolicy. Dla utrzymania się na stanowisku swoim, musiał wielkie ponosić wydatki, i z braku ścisłego porządku stopniowo popadał w długi. Ożeniony był z panią wielkich cnót, która wiarę chrześcijańską wyznawała najprzód potajemnie, a potem z wiedzą i niechętnym przyzwoleniem męża. Tymczasem dwoje dzieci, syn i córka, zostali wychowani pod jej okiem. Oroncjusz, tak zwany od ulubionej rzeki, płynącej koło Antiochii, miał lat piętnaście, gdy ojciec odkrył po raz pierwszy wiarę żony swjej. Wiele był słyszał od matki o nauce wiary chrześcijańskiej, i wraz z nią uczęszczał na chrześcijańskie obrządki; stąd posiadał niebez-

pieczne wiadomości, z których później tak nieszczęsny zrobił użytek.

Lecz nie miał najmniejszej skłonności do przyjęcia nauk lub obyczajów chrześcijańskich, ani nie chciał słyszeć o przygotowaniu się do przyjęcia Chrztu św. Był uparty i przebiegły, bez woli powściągnięcia namiętności.

Spodziewał się w przyszłości dojść do znaczenia w świecie i do udziału we wszystkich światowych uciechach. Był wysoko wykształcony i oprócz greckiego języka, wtedy ogólnie używanego w Antiochii, biegły był w łacinie, którą mówił z łatwością i wdziękiem, jakiegoś widzieli, chociaż z lekkim cudzoziemskim akcentem. W rodzinie język krajowy używany był w stosunkach ze służącymi i w poufalitych rozmowach. Oroncjusz nie smucił się, gdy ojciec odebrał go z pod skrzydeł matki, aby nie opuszczał przyjętej w kraju, a cesarską opieką zaszczyconej religii panującej.

O córkę, która była o trzy lata młodszą, ojciec mniej się troszczył. Uważał za głupstwo, niegodne mężczyzny, przywiązywać tak wiele wagi do wyznania, zmieniać religię lub opuszczać panującą; taki skrupuł sądził być oznaką niskiego umysłu. Lecz u kobiet bardziej pod wpływem wyobraźni i serca zostających, pobłażać religijnym nieszkodliwym zachceniom, sądził być przyzwyczajonym. Stosownie do tych wyobrażeń, córce Miriamie, której imię było syryjskie (ponieważ matka należała do bogatej rodziny z miasta Edessy), pozwolił wyznawać nową wiarę bez przeszkody, nie zaniedbując, jednak zapewnić jej wysokie wykształcenie. Stała się wzorem cnoty, a pełną prostoty i skromności istotą. Przypomnieć nie

Fabiola. T. II.



zawadzi, iż działa się to w czasie, kiedy nauka filozofów swoich Antiochia słynęła, z których niektórzy byli chrześcijanami.

W kilka lat później, gdy syn dorósł lat męskich i rozwinął zupełnie charakter swój, matka umarła. Przed zgonem widziała groźny stan majątku i postanowiwszy, aby los córki nie zależał od niedbałych rządów ojca, ani samolubstwa i ambicji syna, zasłoniła skrzętnie od chciwości obu własny okazały majątek i przekazała go córce. Oparła się wszelkim wpływom, wszelkim wybiegom, aby ją nakłonić do ustąpienia tego majątku lub do zapisu dla rodziny do wyprowadzenia z trudnych okoliczności ambitnych a nierządnych dwóch osób, to jest syna i męża. Na łożu śmiertelnym, obok innych uroczystych poleceń, rozkazała córce, aby przyszedłszy do lat, nigdy nie dopuściła żadnych zmian w tym postanowieniu.

Interesa pogarszały się coraz bardziej, wierzyciele nalegali, nierozsądnie rozporządzano majątkiem, gdy tajemnicza osoba, imieniem Eurotas, ukazała się w rodzinie. Nikt, prócz ojca, nie znał tego człowieka, ojciec zaś widocznie upatrywał w nim naraz błogosławieństwo i przekleństwo, ratunek i zgubę.

Czytelnik słyszał własne Eurotasa objaśnienie, dosyć będzie dodać, że będąc starszym bratem, a czując, że ostry i ponury charakter nie da mu stanowiska w świecie, postanowił jako głowa rodziny i jako uzdolniony do rządzenia majątkiem, szukać jedynie bogactw. Mając przeto wygórowaną żądzę podniesienia rodu swego i powiększenia domowych bogactw, wziął niewielką sumę pieniędzy, zniknął na lat wiele, puścił się na szalony handel w Azji, doszedł do Chin i Indii, i powrócił do ojczyzny

z wielkim majątkiem i bogatym zbiorem rzadkich kamieni, które figurowały w krótkim a błędnym zawodzie Fulwiusza i dopomagały mu do ostatecznego upadku w Rzymie.

Eurotas, zamiast zamożnej rodziny, którąby mógł obsypać nadmiarem bogactw, jak się spodziewał, zastał podupadły dom do dźwigania. Lecz duma rodzinna wzięła i teraz nad osobistym interesem górę, i po wielu wyrzutach i gorzkich kłótniach z bratem, które zresztą przed wszystkimi były tajone, spłacił długi jego, wyczerpując własny kapitał, i tak stał się rzeczywistym panem szczątków majątku brata i całej rodziny.

Po niewielu latach ciężkiego życia ojciec zachorował i umarł. Na łożu śmiertelnym wyznał Oroncjuszowi, że mu nic nie zostawia; że wszystko, czym od kilku lat żył, nawet dom, pod którego dachem umiera, należy do wiernego ich przyjaciela, Eurotasa, którego stosunku z sobą nie potrzebuje zresztą wyjaśniać, a w którym jedynie pokłada nadzieję opieki nad synem. Młodzieniec więc ten, pełen dumy i światowości, oddany był w ręce człowieka zimnego i fanatycznie ambitnego, który wkrótce przepisał bratankowi, jako warunek wzajemnej przyjaźni i pomocy, zupełną uległość woli swej i trzymanie się zasady, że wszystko dobre i godziwe, co tylko przedsięwzięte być może w celu przywrócenia rodzinie bogactw i blasku. Sam zaś Eurotas, niewiedomo dlaczego, wziął na się rolę podrzędną, rolę starego sługi.

Pozostać w Antiochii było niepodobieństwem; aby zaś gdzieindziej szczęścia próbować, trzeba było mieć kapitał w rękę; sprzedaż zaś wszystkiego pozostałego majątku zaledwieby



pokryła długi, ujawnione po śmierci ojca. Był jeszcze nietknięty majątek siostry, stanęła więc zgoda między stryjem a bratankiem, iż musi być na niej zdobyty. Na różne sposoby się brali, by ją namówić lub podejść, lecz ona stale i odważnie opierała się z posłuszeństwa dla umierającej matki, i także w widoku założenia domu dla poświęconych dziewic, w którym zamierzała życie przepędzić. Była właśnie w latach dających prawo rozporządzania własnym majątkiem. Ofiarowała im pomoc, jaką tylko mogła; prosiła, aby przez czas jakiś żyli wszyscy razem jej kosztem. Lecz nie odpowiadało to ich widokom, i gdy wszelkie inne sposoby nie udawały się, Eurotas począł napomykać, że kto tak bardzo na drodze fortuny zawadza, musi być bezwzględnie usunięty.

Oroncusz oburzył się na pierwsze tej myśli objawienie; powoli jednak brzydząc się jeszcze samym czynem bratobójstwa, przejął się myślą, że nawet po bratersku postąpi, jak i synowie Jakóba o sobie mniemali, obierając niekrwawy sposób pozbycia się na zawsze brata Józefa, jeżeli użyje przeciwko siostrze gwałtu pod żadne prawo niepodpadającego i przed ludźmi wyjawionym być niemogącego.

Pomiędzy zwyczajami chrześcijan w pierwszych wiekach jużśmy wspominali o przywileju posiadania świętej Eucharystii po domach. Bywała owinięta w płócienną chusteczkę, nadto w drugi kawałek materii, zwykle bogatej, i przechowywana w skrzyneczce z wieczkiem, jak nas uczy św. Cyprian. Dobrze o tej skrzyneczce wiedział Oroncusz, wiedział także, że skarb w niej zamknięty ceniony był nad srebro i złoto; że upuścić przez niedbalstwo okru-

szynę poświęconego chleba, było zbrodnią, że każdą okruszynkę wschodnim językiem nazywano „Perłą” dla wyrażenia, jak była drogą dla chrześcijan każda cząstka tego skarbu. Wiedział nadto, że każdy wyznawca Chrystusowej wiary gotów oddać wszystko, co posiada, aby tylko świętokradztwa nie dopuścić.

Chustka bogato perlami haftowana, która nieraz już w powieści naszej występowała, była zewnętrznym przykryciem, pod którym matka Miriam skarb swój przechowywała; i córka ceniła tę chustę jako drogi po matce spadek i jako rzecz poświęconą, gdyż na ten sam pozostawiła ją użytek.

Jednego dnia zrana uklękła przed arką i po gorącym przygotowaniu się modlitwą chciała otworzyć. Z niewypowiedzianą boleścią zastała skrzyneczkę już otwartą i próżną. Jak Maria Magdalena u grobu, płakała gorzko, że jej Panna zabrali, a nie wiedziała, gdzie ponieśli. Podobnie także jak Magdalena, gdy płacząc, schyliła się i patrzyła powtórnie w arkę, znalazła pismo, którego w pomieszaniu w pierwszej chwili nie spostrzegła.]

Stało w tym piśmie, że to, czego szuka jest bezpiecznym w ręku brata i może być wykupione. Pobiegła odrazu do niego i zastała go w naradzie z ogorzałym człowiekiem, przed którym zawsze drżała; rzuciła się do nóg brata i błagała, aby jej oddał to, co ceniła nad cały majątek swój.

Bliski już był ustąpienia jej łzom i błaganiom, gdy Eurotas, wlepiając w bratanka surowe oko, przejął go bojaźnią i przemówił do niej sam:



— Miriam, bierzemy cię za słowo. Chcemy szczerotę i gorącość wiary twojej wystawić na próbę. Czy szczerze tę ofiarę czynisz?

— Oddam każdą rzecz, wszystko, co mam, dla wykupienia od świętokradztwa Najświętszego z świętych!

— Więc podpisz się na to — rzekł Eurotas synderczo.

Wzięła pióro w rękę i rzuciwszy okiem na podany jej papier, podpisała. Był to akt zręczenia się całego majątku na rzecz Eurotasa. Oroncjusz wściekał się, widząc się uprzedzonym przez stryja, któremu sam poddał myśl zasadzki na siostrę. Lecz było zapóźno; Oroncjusz był tylko narzędziem w miłosierdnym ręku. Urzędowy akt cesji z formalnościami prawem rzymskim nakazanymi sporządzono następnie.

Przez jakiś czas obchodzono się z Miriam łagodnie, potem doradzono jej konieczność opuszczenia tych miejsc, gdyż Oroncjusz i jego przyjaciel zamierzali udać się do Nikomedii, gdzie była cesarska rezydencja. Prosiła, aby ją posłali do Jerozolimy, gdzieby mogła wstąpić do zgromadzenia świątobliwych niewiast. Stosownie do tego życzenia wyprawiono ją morzem. Kapitan okrętu był podejrzanego charakteru, a okręt bardzo szczupłe w zasoby zaopatrzony. Lecz miała na szyi skarb, ceniony nad wszelkie bogactwa i całym swym okupiony majątkiem. Gdyż—jak św. Ambroży powiada o bracie swym Satyrze, jeszcze katechumenie—chrześcijanie nosili umieszczoną na szyi świętą Eucharystię, gdy się puszczali w drogę.

Nie potrzebujemy dodawać, że ten swój skarb miała starannie owinięty w jedyną kosz-

towną rzecz, do której w domu ojca przywiązywała wartość. Okręt, zamiast trzymania się brzegów ku Jopie, lub innemu portowi na tym wybrzeżu, wypłynął na morze w innym kierunku. Jaki był zamiar kapłana, trudno odgadnąć, lecz nieliczni podróżni poczęli się niepokoić, i powstała żywa kłótnia na okręcie. Gwałtowna burza położyła koniec zajściu. Okręt przez kilka dni miotany, rozbił się w kawałki o skalistą wyspę niedaleko Cypru.

Miriam uszła śmierci i szczęśliwe swe wybawienie świętemu skarbowi Ciała Pańskiego przypisywała. Ci wszakże, którzy prócz niej uszli śmierci (acz ich nie widziała), na inne brzegi wyrzuceni, ponieśli do Antiochii wiadomość, że Miriam wraz z wielu podróżnymi i załogą okrętu zginęła.

Zabrana z wybrzeża przez ludzi, którzy się z rozboju utrzymywali, sprzedana została handlarzowi niewolników; zawieziona do Tarsus na stały ład, znowu sprzedana osobie wysokiego dostojenstwa, która się z nią łaskawie obchodziła. Niedługo potem Fabiusz polecił jednemu z agentów swoich w Azji, aby się wystarał o niewolnicę dobrze wychowaną i cnotliwą, jeżeli być może, za jaką bądź cenę, jako potrzebną do usług córki; i Miriam, pod imieniem Syry, wniosła zbawienie w dom Fabioli.

## ROZDZIAŁ XXXIV.

### Śmierć radosna.

W parę dni po wypadkach opowiedzianych w ostatnim naszym rozdziale, dano znać Fabioli, że stary człowiek w wielkim zmartwieniu,



prawdziwym czy udanym, prosi, aby mógł z nią mówić. Gdy zeszła na dół i zapytała o interes, człowiek ten odpowiedział:

— Nazywam się, szlachetna pani, Efraim; mam wielki dług zapewniony na majątku zmarłej panny Agnieszki, który teraz przeszedł w ręce twoje; przyszedłem więc zgłosić się do ciebie o spłacenie długu, jeśli nie chcesz zgubić nieszczęśliwego człowieka.

— Jak to być może? — zapytała Fabiola w zadziwieniu — nie mogę wierzyć, aby krewna moja kiedykolwiek długi zaciągała.

— Nie, to nie ona — odrzekł lichwiarz trochę pomieszany, — lecz młody pan, imieniem Fulwiusz, któremu majątek miał się dostać przez konfiskatę; jemu więc pożyczyłem wielkie sumy z bezpieczeństwem na tym przyszłym jego majątku.

Pierwszą chęcią Fabioli było kazać żyda z domu wyrzucić, lecz pomyślała o ukochanej wybawicielce i rzekła grzecznie:

— Długi Fulwiusza chcę spłacić, jakie tylko zaciągnął, ale z procentem prawnym, bez żadnego względu na lichwiarskie układy.

— Lecz pomyśl pani, na jakie niepewności wystawiałem się. Bardzo umiarkowany byłem w procentach, upewniam cię.

— Dobrze, dobrze, idź do mego rządcy, on wszystko załatwi. Teraz przynajmniej nie jesteś wystawiony na niepewność.

Wyzwoleńcowi zaś, który prowadził jej interes, stosowną dała instrukcję; dług spłacić kazała pod warunkiem wyżej wymienionym, a który o połowę sumę zmniejszył. Następnie poleciła mu przejrzeć wszystkie rachunki ojca dla przekonania się o każdym pokrzywdzeniu lub uciemiężeniu, aby jej dać sposobność zadośćuczynienia. I dalej przekonawszy się, że Kor-

win z pomocą ojca swego istotnie otrzymał cesarski reskrypt, przez który prawnie do niej należący majątek uratowany był od konfiskaty, chociaż widzieć go na oczy nie chciała, wyznała mu wynagrodzenie dostateczne, by mu na całe życie dobrobyt zapewniło.

Ukończywszy wkrótce wszystkie majątkowe sprawy, zajmowała się pielęgnowaniem przyjaciółki i przygotowaniem siebie do Chrztu świętego. Dla przyspieszenia powrotu Miriam do zdrowia zabrała ją z małą liczbą domowników do miejsca pełnego drogich pamiątek, do Nomentańskiej willi.

Wiosna już się przeważała ku letniej porze i Miriam mogła spoczywać na łożu przy oknie, lub w najcieplejszej porze dnia wynoszoną była do ogrodu, gdzie z Fabiolą po jednej stronie, z Emerencjaną po drugiej, a z biednym psem Mollosem, który już zupełnie posmutniał, u nóg swoich, rozmawiały o przyjaciółkach gdzieś indziej żyjących, a szczególnie o tej, z którą każdy z otaczających przedmiotów łączył się w ich pamięci. I gdy tylko imię Agnieszki wymówione było, wierny jej stróż podnosił uszy, ruszał ogonem i oglądał się naokoło. Rozmawiały także często o chrześcijańskich przedmiotach, i wtedy Miriam z pokorną prostotą, lecz z tym ogniem, który od początku tak się podobał Fabioli, powtarzała nauki bogobojnego Dionizjusza.

Tak np. gdy wykladał o własności i znaczeniu krzyża, przy Chrztcie świętym na czole katechumenów kładzionym, o wodzie, w której są odrodzeni; o oleju, o krzyżmie, którym są namaszczeni; o ofierze, przez którą są nakarmieni, Miriam tłumaczyła katechumenom użytek domowy i poufalszy znaku krzyża świętego, i zalecała, aby wierne były temu, co każdy do-



bry chrześcijanin czyni, to jest: aby się zna-  
czyły tym świętym znakiem na początku i w cią-  
gu każdej pracy, przy wchodzeniu i wychodze-  
niu, przywdziewając suknie, lub obuwając san-  
daly, myjąc się, siadając do stołu, zapalając  
lampę, kładąc się do łóżka, lub siadając na stoł-  
ku, i w każdej rozmowie, jaką prowadzić za-  
mierzają.

Lecz wszyscy, prócz Fabioli, ze smutkiem  
uważali, że chora, chociaż rana była zgojona,  
do sił nie powracała. Często matka lub siostra  
ostatnia spostrzegła wolne postępy niszczą-  
cej choroby w dziecku lub siostrze. Miłość  
jest tak pełną nadziei i tak ślepą! Na jej li-  
cach występował rumieniec, zdradzający pier-  
siową słabość: wychudnięta była i osłabiona,  
a lekkie pokaszliwanie dawało się często sły-  
szec.

Mało sypiała i chciała mieć łóżko tak po-  
stawione, aby od pierwszego brzasku dnia spo-  
glądać mogła na miejsce, piękniejsze w jej  
oczach od najwykwintniejszego kwiecistego  
ogrodu.

Oddawna był w nomentańskiej willi wchód  
do chrześcijańskiego cmentarza; lecz teraz no-  
sił ten cmentarz imię Agnieszki, pochowanej  
blisko tego wchodu. Ciało jej spoczywało  
w kaplicy pod arkadowym grobem. Właśnie  
nad tym grobem był otwór, jaki zwykle da-  
wano dla przepływu powietrza i światła, za-  
opatrzone niskim obudowaniem nad ziemią,  
nakształt dymnika lub kominka, a ukryty  
w krzewinie. Ku temu miejscu lubiła patrzeć  
Miriam, ponieważ w jej stanie zdrowia jedyne  
to było zbliżenie do grobu tej, którą tak czci-  
ła i kochała.

Podczas jednego pięknego i cichego poran-  
ku, gdy parę tygodni już tylko było do Wiel-

kiej nocy, patrzyła w tę stronę i spostrzegła  
kilku młodych ludzi, którzy, idąc łowić ryby  
w pobliskiej rzece Anio, pozwalali sobie skra-  
cać drogę przez ogrody willi Nomentańskiej.

Przechodzili koło otworu, a jeden z nich,  
spojrzawszy na dół, zawołał drugich.

— Chcecie widzieć podziemną kryjówkę  
chrześcijańską?

— Aha! jak dobrze ukryta kretowina!

— Wejdźmy — rzekł jeden.

— Tak, a jakże wydobędziemy się napo-  
wrót? — zapytał drugi.

Tej rozmowy nie mogła słyszeć Miriam,  
lecz widziała, co dalej nastąpiło. Jeden z nich,  
który się pilnie przypatrzył, osłaniając oczy  
przed światłem, zawołał na drugich, aby to  
samo uczynili, zalecając palcem milczenie.  
W jednej chwili pobrali duże kamienie z sztucz-  
nej skały otaczającej fontannę i zaczęli rzucać  
w krzaki. Śmiali się serdecznie, odchodząc,  
a Miriam myślała, że zobaczyli węża lub inne  
brzydkie stworzenie i zabili kamieniami dla  
zabawki.

Gdy inne osoby z domu nadeszły, opowie-  
działa tę okoliczność, prosząc, aby koniecznie  
kamienie z krzaków wyrzucono. Słyszac to  
Fabiola, zeszła sama z sługami do podziemne-  
go cmentarza, w obawie, czy jaki kamień otwo-  
rem do kaplicy nie wpadł i szkody nie zrza-  
dził. Jakaż była jej żalność, zastając biedną  
Emerencjanę, która zaszła modlić się u grobu  
drogiej swej pani i siostry, leżącą we krwi  
i zupełnie nieżywą. Odkryto później, że prze-  
chodząc podczas pogańskich tańców nad rzeką  
i zaproszona do bezwstydnego zabawy, nie tylko  
odmówiła, lecz wymawiała poganom ich przew-  
rotność i gwałty, zadawane chrześcijanom.



Ciskali na nią kamieniami i mocno poranili, nim się zdołała schronić do willi.

Czując się słabą, powlekła się jak mogła i zeszła do cmentarza, aby się pomodlić na grobie Agnieszki. Nie mogła ruszyć się z tego miejsca, gdy właśnie niektórzy z tych samych napastników odkryli ją. Okrutni poganie uprzedzili chrzest kościelny i dali jej chrzest krwawy. Pochowano jej zwłoki obok Agnieszki, a pokorne, wieśniacze dziecko dostało zaszczytu corocznej kommemoracji pomiędzy świętymi męczennikami.

Fabiola i jej towarzyszek przechodziły przez zwykły tryb przygotowania się do Chrztu św. chociaż skrócony z przyczyny prześladowania. Mieszkając przy samym wchodzie do cmentarza z tak wielkimi kościołami, mogły przejść łatwo przez trzy stopnie katechumenii.

Naprzód były słuchaczkami przypuszczonymi do słuchania tak zwanych w kościele lekcji; potem klęczącymi t. j. przytomnymi podczas niektórych liturgicznych modlitw; na koniec wybranymi czyli proszącymi o chrzest.

Doszedłszy do stopnia proszących o chrzest, często bywać miały w kościele, lecz szczególnie w trzy środy następujące po pierwszej, czwartej i ostatniej niedzieli postnej, w których to dniach rzymski mszał zachował jeszcze drugą kollektę i lekcję od tego zwyczaju pochodzącą.

Każdy czytający terazniejszy rytuał chrztu w Kościele katolickim, a szczególnie rytuał dla dorosłych, widzieć będzie zebranie w jedno officjum tego, co dawniej podzielone było na rozmaite osobne obrządki. Jednego dnia wyrzeczenie się szatana, mające się powtórzyć przy samym chrzcie; innego dnia dotykane

uszu i nozdrzy, czyli *Ephpheta*, jak było zwane. Następnie powtarzane były egzorcyzmy, przyklękanie, żegnanie na czole i ciele, dmuchanie na katechumena i inne tajemnicze obrządki. Uroczystsze jeszcze było namaszczenie nie tylko głowy, lecz wszystkich części głowy i piersi.

Skład apostołski był także pilnie powtarzany i dosłownie pamięci powierzany. Lecz nauka o św. Eucharystii udzielana była dopiero po chrzcie.

Pośród tych licznych przygotowawczych ćwiczeń czas pokuty i post przeszedł szybko i uroczyście; nareszcie nadeszła Wielka Sobota.

Chrzest Fabioli i jej sług, oprócz radości w duchu, nie był niczym na zewnątrz uweselony. Kościoły w mieście były wszystkie pozamykane, a między innymi i kościół św. Pasterza z papieską chrzcielnicą.

Wcześniej więc zrana, gdy nadszedł szczęśliwy dzień, gromadka przesunęła się koło murów na przeciwną stronę miasta i postępując drogą, prowadzącą do portu przy ujściu Tybru, skręciła w winnicę obok ogrodów Cezara i zeszła do cmentarza św. Abdona i św. Sennona.

Poranek zeszedł na modlitwie i przygotowań, a ku wieczorowi rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, mające przeciągnąć się do późnej nocy — uroczyste, lecz smętnością czasów prześladowania nacechowane.

Głęboko we wnętrzościach ziemi woda podziemnego strumyka spływająca w kwadratową studnię, czyli cysternę od czterech do pięciu stóp głęboką, lawą czyli wulkanicznym żużlem wyłożoną, czysta wprawdzie i przezroczysta, lecz zimna i dreszczem przejmująca. Długi szereg schodów prowadził do tej chrzciel-



nicy, wąski chodniczek nad studnią mieścił za ledwie kapłana chrzest udzielającego i katechumena, który był po trzy razy w oczyszczających wodach zanurzony.

Ta łaźnia do dziś dnia istnieje zupełnie jak wtedy, z tą tylko różnicą, że nad wodą widzieć teraz można malowidło, przedstawiające chrzest Pana Jezusa, wymalowane, zdaje się, o parę wieków później.

Zaraz po chrzcie następowało bierzmowanie; wtedy neofita, czyli nowo narodzone dziecko Kościoła Bożego, po stosownej nauce, przypuszczone było poraz pierwszy do Stołu Pańskiego i nakarmione Chlebem Anielskim.

Późno w nocy, z Wielkiej Soboty na dzień Zmartwychwstania Pańskiego, powróciła Fabiola do willi; długie i milczące uciśnienie było pierwszym przywitaniem nowej sługi Chrystusa z Miriamą. Obie były tak uradowane, tak wdzięczne, tak nieskończenie wynagrodzone za to, czym nawzajem dla siebie były od kilku miesięcy, że żadne słowa nie mogły wyrazić ich uszczęśliwienia. Fabioli główną było myślą i dumą tego dnia, że się zrównała z dawną swą niewolnicą nie w cnocie, nie w piękności charakteru, nie w wielkości umysłu, nie w niebieskiej mądrości, ani w zasłudze przed Bogiem; och nie! W tym wszystkim czuła się nieskończenie niższą. Lecz jako dziecko Boże, jako dziedziczka królestwa wiecznego, jako żyjący członek Ciała Jezusowego, jako przypuszczona do udziału we wszystkich Jego łaskach, do całego skarbu Odkupienia; jako nowe w nim stworzenie, czuła się równą Miriam i po długim milczeniu potrafiła nakoniec wyrazić to błogie uczucie.

Nigdy nie była tyle dumna z wspaniałego

stroju, jak teraz szczęśliwą z białej sukni, którą otrzymała, wychodząc z kąpieli, a którą nosić miała przez dni ośm.

Lecz dobrotliwy Ojciec umie przeplatać radości nasze smutkiem i wtenczas cierpienia zsyła, kiedy nas najlepiej do nich uzbroił.

W tym gorącym uciśnieniu, o którym wspomnieliśmy, po raz pierwszy zauważyła krótki oddech drogiej Miriam. Bez długiego namysłu posłała prosić Dioniziusza, aby przyszedł nazajutrz.

A teraz po całodziennych błogosławionych trudach zasiadła Fabiola do stołu obok leżącej Miriam, wraz z wszystkimi ponawracanymi niewolnicami swoimi i sługami Agnieszki, które przy sobie zatrzymała; i nie pamiętała w swym zyciu, aby kiedy odprawiła tak rozkoszną wieczerzę.

Nazajutrz rano Miriam przywołała do siebie Fabiolę i czułym pieszczącym głosem, jakim dotąd nigdy nie mówiła, rzekła do niej:

— Droga siostrzo moja, co ty poczniesz, gdy ciebie opuszczę?

Żal opanował biedną Fabiolę.

— Chcesz mię więc opuścić? Miałam nadzieję, że będziemy żyć razem, jak siostry. Lecz jeśli pragniesz opuścić Rzym, czybym ci nie mogła towarzyszyć przynajmniej, aby cię pielęgnować i aby ci służyć.

Miriam uśmiechnęła się, lecz łza była w jej oku, gdy biorąc rękę siostry, wskazała na niebo. Fabiola zrozumiała ją i rzekła:

— O nie, nie, najdroższa siostrzo! Módl się do Boga, który ci nie odmówi, abym cię nie utraciła. Samolubna prośba, ja wiem, lecz cóżbym poczęła bez ciebie? I teraz, com się nauczyła, jak wiele ci, którzy są połączeni z Jezu-



sem Chrystusem, uczynić mogą przez wstawienie się za nami, modlić się będę do Agnieszki i do Sebastiana, aby się wstawili za mną i oddalili tak wielkie nieszczęście. Ty wyzdrowiejesz, bo pewną jestem, że niema nic zatrważającego w twym stanie; ciepły czas i rozkoszne powietrze Kampanii wkrótce przywróci ci zdrowie. Będziemy znowu razem siadywały przy źródle i już nie o filozofii, ale o daleko piękniejszych rzeczach rozmawiały.

Miriam skłoniła głowę i wesoło odrzekła.

— Nie lędz się, najdroższa. Bóg dozwolił mi dożyć tego szczęśliwego dnia; lecz ręka Jego spuszcza teraz śmierć, jak dotąd zachowywała przy życiu i z radością śmierć witam. Znam dobrze liczbę dni moich.

— O, niech to nie będzie tak prędko! — ze łkaniem zawołała Fabiola.

— Nie obawiaj się, dopóki nosisz na sobie białą sukienkę, droga siostró — odrzekła Miriam. — Wiem, że będziesz chciała żałobę wziąć po mnie; lecz nie pozbawię cię ani jednej godziny twej mistycznej bieli.

Dioniziusz przyszedł i spostrzegł wielką zmianę w swej chorej, której od niejakiego czasu nie widział. Sprawdziła się obawa, którą miał od początku. Spiczasty koniec pugnału poślizgnął się na kości i uszkodził opłucną. Suchoty wkrótce nastąpiły. Potwierdził lekarz słuszne przewidywania Miriam.

Fabiola poszła do grobu Agnieszki modlić się o poddanie się woli Bożej; modliła się długo i gorąco, obficie łzy wylewając; potem wróciła wzmocniona.

— Siostró — rzekła — niech się stanie wola Boża; gotowa jestem oddać Mu nawet ciebie.

Teraz powiedz, błagam cię: co chcesz, abym uczyniła, gdy ciebie już mieć nie będę?

Miriam spojrzała w niebo i odrzekła:

— Złóż ciało moje u stóp Agnieszki i zostań tu, aby czuwać nad nami, modlić się do niej za mnie, póki nie przyjdzie nieznajomy ze wschodu posłaniec z dobrymi wiadomościami.

W następującą niedzielę, w niedzielę *białego stroju*, Dioniziusz za szczególnym pozwoleniem odprawił Mszę św. w pokoju Miriamy i dał jej najświętszą Hostię, jako wiatyk. Odprawianie Mszy św. w domu, jak wiemy od świętego Augustyna, było rzadkim przywilejem.

Potem opatrzył ją Sakramentem ostatniego namaszczenia, na wzmocnienie wiernych do wiecznej przeprawy ustanowionego. Kościół bowiem Sakramentami swymi wita, prowadzi i żegna swe dzieci. Wszyscy domownicy z Fabiolą przytomni byli tym uroczystym obrządkom pożegnania; potem zeszli do katakumby miejscowej na nabożeństwo, a po nabożeństwie powrócili do Miriam już w ciemnych sukniach!

— Nadeszła godzina — rzekła Miriam, biorąc rękę Fabioli. — Przebac mi, jeśliś uchybiła w powinnościach względem ciebie lub w daniu dobrego przykładu.

Fabioli już sił nie stało i zalała się łzami Miriam uspakajała ją, mówiąc dalej:

— Uczyni znak zbawienia na ustach moich, gdy już mówić nie będę mogła; a ty dobry ojcze Dioniziuszu, pamiętaj o mnie przy ołtarzu, gdy mnie już tu nie będzie.

Modlił się przy niej, a ona odpowiadała. Gdy już głosu brakło, wargami w modlitwie poruszała, usta przyciskała do krzyża, który jej podawano. Twarz konającej była pogodna



i wesoła. Nareszcie podniósłszy rękę do czoła i przeniósłszy ku piersiom, spuściła skostniałą, kończąc znak zbawienia. Uśmiech przeszedł po jej twarzy i oddała ducha, jak tysiące oddała dzieci Chrystusowych ducha oddały i oddają.

Fabiola płakała wiele; lecz tym razem płakała jak ci co mają nadzieję!...

## CZEŚĆ TRZECIA.

### ZWYCIĘSTWO.

#### ROZDZIAŁ I.

#### Nieznajomy ze Wschodu.

Już tedy koło nas jedni po drugich poznawali; ci, których czyny, słowa, a nawet myśli towarzyszyły nam dotąd i wspierały nas, ci wszyscy zniknęli.

Gdzie tylko spojrzeć, smutno i pusto. Lecz czyliż może być inaczej?! Opisywaliśmy nie czasy pokoju, ani codzienne koleje życia ludzkiego, lecz chwile zgiełku, walki i bitwy. Cóż dziwnego, że najwaleczniejsi, wielkoduszni, wszędzie koło nas popadali? Opowiedzieliśmy początki najsroższego prześladowania, jakie Kościół kiedykolwiek wycierpiał; gdy nawet zamiarem było prześladowców wzniesć kolumnę z napisem, że „imię chrześcijańskie zostało wytępione”, coż dziwnego, że najświętszym i najwięcej kochającym pierwsze dostały się korony?!

A przecież Kościół Chrystusów miał wówczas przed sobą lat wiele ostrzejszego jeszcze prześladowania. Szereg następujących po so-



bie tyranów i prześladowców prowadził z Kościołem okropną wojnę tak w jednej części świata, jak i drugiej i to nieprzerwanie przez lat dwadzieścia. Konstantyn nawet potęgą swoją nie we wszystkich odrazu prowincjach państwa prześladowanie ugasić potrafił.

Długo jeszcze Dioklecjan, Galeriusz, Maksyminus i Licyniusz na Wschodzie, Maksymian i Maksencjusz na Zachodzie dawali się chrześcijanom we znaki. Podobnie jak sroga burza przebiegnie pół świata, rozmaite kolejno kraje zniszczeniem nawiedzając, a wszystkie razem trwogą i ciemnością obejmując, tak też prześladowania wybuchały to w tym kraju, to w innym, niszcząc wszystko, co Chrystusowe; przechodząc z Włoch do Afryki, z wyższej Azji do Palestyny i Egiptu, a potem napowrót do Armenii, nie zostawiając żadnego miejsca w prawdziwym pokoju, lecz wisząc jak czarna chmura nieszczęściami brzemienna, nad całym państwem.

A przecież Kościół stał, wzrastał, kwitnął wśród ślepej złości świata i czarta. Papieże po papieżach wstępowali na tron, a zarazem na rusztowanie. Sobory odbywały się w ciemnych salach katakumb; biskupi przybywali do Rzymu z niebezpieczeństwem życia dla radzenia się następców świętego Piotra. Listy obiegały dalekie kościoły i dostawały się do najwyższych pasterzy, a między różnymi po całym świecie rzymskim rozrzuconymi kościołami nie ustawało obcowanie, pełne współczucia, zachęty i miłości. Biskupi po biskupach zasiadywali na krzesłach pasterskich, wyświęcali kapłanów i niższego stopnia lewitów, aby w miejsce poległych nowi żołnierze stawiali na walach jako cel dla gromów nieprzyjacielskich;

budowa zaś śmiertelnego królestwa Jezusowego postępowała bez przerwy i bez wytchnienia.

Właśnie podczas tych wojen założone zostały fundamenta duchowej potęgi, mającej oświecić światem w następnych wiekach. Prześladowanie zapędziło wielu chrześcijan z miast rzymskich do pustyni egipskich, gdzie zakwitł stan zakonny. Puszczą radowała się i kwitła jak lilia, pączki puszczała i kwiaty i cieszyła się weselem i chwałą. Dioklecjan, odarty z purpury, umarł jako zły i opuszczony starzec; Galeriusz żywcem pożarty od robactwa, wyznał głośnym edyktem błąd swego postępowania i bezskutecznych na Chrystusa zamachów; Maksymian Herkules udusił sam siebie, Maksencjusz zginął w Tybrze. Maksyminus zmarł w mękach, zesłanych mu przez sprawiedliwość Boską, podobnych tym, które chrześcijanom zadawał, gdyż same oczy w chorobie wystąpiły mu z orbit. Licyniusz stracony został z rozkazu Konstantyna — wtedy oblubienica Jezusa Chrystusa, którą wszyscy daremnie usiłowali pokonać, stanęła młoda i kwitnąca, gotowa pa nować światu jako Kościół powszechny katolicki.

Było to r. 313, gdy Konstantyn pobiwszy Maksencjusza, dał zupełną wolność Kościołowi. Choćby nam nawet ówczesni pisarze tak licznych pomników nie zostawili, moglibyśmy wystawić sobie radość i wdzięczność biednych chrześcijan przy tak wielkiej zmianie. Podobne były te czasy do łzawej, lecz szczęśliwej chwili dla miasta cholera wyludnionego, gdy anioł śmierci już się oddalił, a wiadomość już się rozeszła, że zaraza ustała, i pozostali mieszkańcy z domu wychodzą, obliczają się i witają.



I tak od r. 303 do 313 zaledwie wierni po najbliższych cmentarzach spotykać się mogli; teraz po dziesięciu latach rozproszenia i ukrywania się, jedni o drugich nie wiedzieli, ani kto z pomiędzy przyjaciół lub krewnych zginął lub kto jeszcze żyje? Bojaźliwie naprzód, a potem śmiej odważyli się z ukrycia wychodzić; wkrótce miejsca dawnych zgromadzeń (dzieciom w ostatnich dziesięciu latach wychowanym nieznane) oczyszczone zostały, naprawione, odświeżone i na nowo poświęcone i otwarte dla nabożeństw, teraz już jawnych. Konstantyn rozkazał także, aby wszystkie skonfiskowane majątki publiczne lub prywatne, należące do chrześcijan, oddane były, lecz z mądrym zastrzeżeniem, iż teraźniejsi posiadacze wynagrodzeni będą z cesarskiego skarbu.

Kościół wkrótce jawnie rozwinął całą piękność form i instytucyj swoich. Najbogatsze istniejące bazyliki, czyli pałace, zostały do użytku kościelnego oddane, a nowe wznosiły się w cenniejszych miejscach Rzymu.

W roku 318, w piętnaście lat po świątobliwej śmierci siostry Fulwiusza, często się jeszcze widzieć zdarzało, jak podeszłego wieku nieznajomy, z okiem wypalonym, ręką potrząskaną, lub chodem utrudnionym z przyczyny ściegów popodrzynanych, witany był przez przechodzących wiernych z uszanowaniem jako żołnierz z ostatnich Chrystusowych wojen<sup>1)</sup>.

W tym czasie za Nomentańską bramą, było wielkie zniszczenie w ogrodach Fabioli. Zamiast pięknych niegdyś drzew stoją rusztowania. Cegły, marmury i kolumny zalegają miej-

<sup>1)</sup> Na wschodzie niektórzy wielkorządcy, mordami znuzeni, przyjęli ku końcowi prześladowania ten łaskawy sposób karania chrześcijan.

sce kwiecistych trawników. Konstancja, córka Konstantyna, modliła się u grobu Agnieszki, nie będąc jeszcze chrześcijanką. Błagając o zagojenie niebezpiecznej rany, pocieszona została cudownym widzeniem i zupełnie wyzdrowiała. Przyjawszy chrzest, spłacała dług wdzięczności, wznosząc wspaniałą bazylikę, obejmującą w murach swych wchód do katakumby i grobu św. Agnieszki, do którego był wielki napływ pielgrzymów ze wszystkich części świata.

Jednego dnia przed wieczorem, gdy Fabiola powracała z miasta do willi, przepędziwszy dzień na pielęgnowaniu chorych w szpitalu, urządzonym we własnym domu, *fossor*, mający pieczę nad cmentarzem, zaszedł jej drogę i z wielkim uradowaniem rzekł:

— Pani! zdaje mi się, że nieznajomy ze wschodu, któregoś tak długo wyglądała, przybył.

Fabiola, która święcie przechowywała w pamięci każde słowo Miriamy umierającej, zapytała żywo:

— Gdzie jest?

— Odszedł napowrót — była jego odpowiedź.

Twarz Fabioli zesmutniała.

— Lecz jakże wiesz — zapytała znowu — że to on?

Grabarz odpowiedział:

— W ciągu dnia uważałem pomiędzy tłumem pielgrzymów człowieka, mniej jak pięćdziesięcioletniego, lecz od cierpień i umartwień staro wyglądającego. Włos siwizną okryty, broda długa i siwa, strój wschodni, płaszcz zwykły mnichów z tamtych krajów. Gdy doszedł do grobu Agnieszki, rzucił się na ziemię z takim rozrzuwaniem i z takim jękiem, że wszystkich wokół litością przejął. Wielu zbli-



żyło się i szepnęło zcicha: „Bracie! w wielkiej jesteś widać boleści; nie płacz tak, święta jest litościwa”.

Inni mówili: „Będziemy wszyscy modlili się za ciebie, uspokój się”.

Lecz boleść jego zdawała się nad wszelką pociechę. Pomyślałem sobie: zapewne nikt w zbliżeniu do milej i łaskawej świętej naszej nie może być tak niepokieszony w boleści, chyba jeden tylko nieszczęśliwy człowiek!

— Mów, mów — przerwała Fabiola — co dalej czyni?

— Po długim czasie — mówił dalej grabarz: — powstał i wyciągając z fałdów sukni śliczny pierścień, złożył na jej grobie. Zdawało mi się, że widział ten pierścień kiedyś przed laty.

— I cóż dalej?

— Obracając się, zobaczył mnie i poznał mój strój. Zbliżył się, a czułem jego drżenie, gdy nie patrząc w oczy, zapytał się nieśmiało: „Bracie! powiedz, czy tu gdzie niedaleko pochowana jest dziewczina z Syrii, imieniem Miriam?” Wskazałem w milczeniu na grób. Po chwili wielkiej wewnętrznej boleści tak wzruszony, że mu głosu brakowało, zapytał znowu: „Nie wiesz, bracie, na co umarła?”

„Na suchoty”, odrzekłem.

„Dzięki Bogu!” — zawołał z westchnieniem i uspokojony, rzucił się na ziemię. Tu także jęczał i płakał dłużej, niż godzinę; nareszcie zbliżwszy się do grobu, z miłością ucałował marmur i odszedł.

— To on, Torkwacie, to on! — zawołała Fabiola. — Czemużes go nie zatrzymał?

— Nie śmiałem, pani! Ujrzawszy raz twarz jego, nie miałem odwagi spojrzeć mu w oczy.

Lecz pewny jestem, że powróci, gdyż szedł ku miastu.

— Musimy go znaleźć — rzekła Fabiola. — Droga Miriam! miałaś więc to pocieszające przeczucie przy śmierci!

## ROZDZIAŁ II.

### Nieznajomy w Rzymie.

Nazajutrz rano pielgrzym przechodził przez forum, gdy ujrzał kupkę chłopców koło człowieka, z którego się widocznie naśmiewali. Mało byłby zważał na taką scenę w publicznym miejscu, gdyby znajome imię nie było doleciało ucha jego. Postąpił więc bliżej. Napastowany człowiek był młodszym od niego samego; lecz jeżeli on zdawał się starszy, aniżeli był, wskutek wycieńczenia i zmartwienia, to tamten starzej jeszcze wyglądał z przeciwnych zupełnie przyczyn. Łysy był i gruby, z twarzą napuchniętą i czerwoną, okrytą wrzodami i rodzajem trądu. Błędne jego oko, chód i głos były takie, jak u nałogowego pijaka, odzież brudna, a cała osoba zaniedbana.

— Aj, aj, Korwinie! — mówił do niego młody chłopiec — czyliż nie będziesz miał teraz za swoje? Czyś nie słyszał, że Konstantyn tego roku przybywa do Rzymu? Czy nie obawiasz się że chrześcijanie będą teraz mieli swój odwet?

— Nie — odrzekł — nie mają oni ku temu odwagi. Pamiętam, żeśmy się obawiali, gdy Konstantyn ogłosił pierwszy swój edykt, po śmierci Maksencjusza, co do wolności chrze-



ścijan, lecz następnego roku uspokoił obawę, ogłaszając, iż wszystkie wyznania są wolne.

— To wszystko bardzo dobrze, jako ogólne prawo — wmieszał się drugi, chcąc go dalej drażnić — lecz czyż nie jest prawdopodobne że będzie chciał poszukiwać tych, co brali czynny udział w ostatnim prześladowaniu i że zastosuje do nich prawo odwetu, różgi za różgi, palenie za palenie, dzikie bestie za bestie.

— Kto to powiedział? — zapytał Korwin blade z przerażenia i złości.

— Byłoby to bardzo naturalne — rzekł jeden.

— I bardzo sprawiedliwe — rzekł drugi.

— O, nie spodziewajcie się tego — rzekł Korwin — zawszeby temu darowali, ktoby oświadczył, że chce być chrześcijanem, a ja bym na wszystko przystał raczej, aniżeli aby stanąć...

— Gdzie Pankracjusz stał — dodał trzeci bardziej złośliwy.

— Cicho bądź! — wrzasnął pijak z wyrazem zwierzęcej wściekłości. — Tylko się odważ powtórzyć to imię! — I machał pięścią i patrzył rozjuszony na mówiącego.

— Oj, bo ci przepowiedział, jak masz umrzeć... — krzyknął młodszy, uciekając. — Hej! hej! Dajcie panterę! tu, dla Korwina!

Wszyscy rozbiegli się przed rozszluszczoną, opitą bestią hyżej, aniżeli by uciekali przed prawdziwą panterą z puszczy. Przeklinał ich i rzucał za nimi kamieniami. Pielgrzym w pewnej odległości przeczekał tę scenę, potem ruszył dalej. Korwin szedł zataczając się wzdłuż tej samej drogi, która prowadziła do Laterańskiej bazyliki, teraz katedry rzymskiej. Na-

gle ryk dał się słyszeć, a potem przeraźliwy krzyk.

Gdy przechodził przez Koloseum obok jam dzikich bestyj, które były w pogotowiu już nie na chrześcijan, lecz na bitwy między sobą z okazji cesarskich odwiedzin, Korwin wiedziony chorobliwą ciekawością, zbliżył się do klatki, w której zamknięta była rasowa pantera. Stanął przy samej kratce i zaczął zwierzę ruchami i słowami, mówiąc:

— Może doprawdy będziesz narzędziem śmierci mojej? Bezpiecznaś ty w jamie?

W tej chwili rozgniewane zwierzę skoczyło ku niemu i przez rzadką kratę jamy uchwyciło pazurami szyję i gardło Korwina i wyrwało okropną ranę.

Podniesiono nieszczęśliwego pijaka i zanieśiono do mieszkania, które było niedaleko.

Nieznajomy szedł za nim. Mieszkanie było nędzne, brudne i niewygodne w najwyższym stopniu, z jednym tylko zgrzybiałym niewolnikiem do usługi, tak głupim, jak sam pan.

Nieznajomy posłał niewolnika po chirurga, który nieprędko przyszedł i tymczasem czynił co mógł, aby krew zatamować.

Gdy tak był zajęty, Korwin wlepił w niego oczy jak w gorączce lub obłąkaniu.

— Czy znasz mnie? — zapytał pielgrzym łagodnie.

— Czy cię znam? nie, tak. Daj mi się namyślić... Ha! lis! mój lis! Czy pamiętasz, jakśmy polowali razem na obrzydłych chrześcijan? Gdzieżeś był przez ten cały czas? Wieleż ubił? — i śmiał się gwałtownie.

— Cicho, cicho, Korwinie — odrzekł drugi. — Musisz być bardzo spokojny, albo nie będzie nadziei uratowania cię. Przytem nie przypomi-



naj mi tamtych czasów; sam teraz jestem chrześcijaninem.

— Ty chrześcijaninem! — krzyknął Korwin dziko. — Ty, któryś przelał najlepszej krwi chrześcijańskiej więcej, niż ktokolwiek! Otrzymałeś przebaczenie za to wszystko? Spokojnie wszystko przespałeś? Furie nie szarpały cię po nocach? Upiory cię nie nawiedzały? Żmije nie ssaly ci krwi serca? Jeśli tak jest, to powiedz, jakieś się ich pozbył, abym mógł to samo uczynić. Jeśli nie, to przyjdą! przyjdą! zemsta, furie! Czemużby cię nie miały męczyć tyle, ile mnie?

— Cicho Korwinie, cierpiałem tak jak ty; lecz znalazłem i dam ci poznać lekarstwo, jak tylko chirurg cię opatrzy. Otóż przyszedł.

Lekarz obejrzał Korwina, opatrzył ranę, lecz czynił mało nadziei wyzdrowienia, szczególnie u chorego, u którego krew była zepsuta wskutek niewstrzeżliwości.

Nieznajomy zajął napowrót miejsce przy łóżku i mówił o miłosierdziu Boskim, o gotowości jego przebaczenia największym grzesznikom, czego sam był żyjącym dowodem. Niezadowolony człowiek zdawał się być w rodzaju osłupienia, i jeżeli słuchał, to nie rozumiał, co do niego mówiono. Nareszcie litościwy jego nauczyciel wyłożywszy główne tajemnice wiary w nadziei raczej niż w pewności, że będzie słuchany, powiedział:

— A teraz, Korwinie, zapytasz mi się, w jaki sposób przebaczenie może być udzielone temu, który w to wszystko wierzy? Oto przez chrzest, odrodzenie się w wodzie i Duchu świętym.

— Co? — zawołał chory z obrzydzeniem.

— Przez obmycie w wodzie odradzającej.

Przerwał mowę pielgrzymowi chrapliwy ryk: — Woda! woda! — rzekł — weźcie ją ode mnie! — gwałtowny spazm ścisnął gardło chorego.

Pielgrzym usiłował go uspokoić.

— Nie myśl — rzekł — abyś miał być wzięty stąd w gorączce i zanurzony w wodzie (chory wzdrygnął się, i jęczał), dosyć kilka kropli, choćby tyle, co w tym dzbanku — i wskazał na wodę w małym naczyniu obok łóżka.

Na ten widok chory wił się, pianę toczył i trząsł się w gwałtownych konwulsjach. Głos, który z piersi jego wychodził, podobniejszy był do wycia dzikiego zwierza, aniżeli do jęku ludzkiego.

Pielgrzym poznał odrazu, że wodowstręt (wścieklizna) ze strasznymi symptomatami napadał chorego z ukąszenia wściekłego zwierza. Z trudnością ze służącym utrzymać go mogli. Czasem wpadał w okropne paroksyzmy bluźnierstwa przeciw Bogu i ludziom, a potem, gdy paroksyzm ustępował, żałośnie jęczał.

— Wody chcą mi dać, wody! wody! nie chcę wody! Dla mnie ogień, ogień sam. Już jestem w ogniu zewnątrz i wewnątrz! Patrzcie! powiększa się, zbliża się, bliżej! — I odpychał rękami urojone płomienie i dmuchał koło siebie. Potem, obracając się do przytomnych, mówił: — Czemuż nie gasicie? Widzicie, że mię pali zewsząd.

Tak minął okropny dzień i tak nadeszła straszniejsza noc, a gorączka wzmagala się z obłąkaniem i gwałtownymi napadami wściekłości, chociaż ciało z sił opadało. Nareszcie podniósł się i stanął na łóżku i zawołał głosem, drżącym głosem stłumionej rozpacz:

— Precz, Pankracjuszu, precz stąd! Dosyć długo już patrzysz na mnie! Zabierz swoją



panterę, trzymaj ją mocno, chce mi się rzucić do szyi. Rzuca się. Och! — i konwulsyjną siłą jakby odrzucając zwierza od gardła swego, zerwał bandaż z ran. Potok krwi popłynął i okropny trup runął na łożo.

Pielgrzym widział, jak umierają zatwardziali grzesznicy!

### ROZDZIAŁ III.

#### Ostatni dług.

Nazajutrz rano szedł pielgrzym załatwić sprawę, w której mu przeszkodziły okoliczności, opisane w poprzednim rozdziale. Można go było naprzód widzieć dopytującego się o kogoś przy arkadach Janusa na forum. Nareszcie osoba ta znalazła się i szli razem do brudnego małego sklepu pod Kapitołem.

Stare spleśniałe księgi wydobyto i przerzucano kartka po kartce, póki nie wyszukano daty konsulów Dioklecjana Augusta ósmy raz, i Maksymiana Herkuleusza i Augusta siódmy raz (rok 303).

Dobyto z innego kąta pozwijane pergamiны; znalazła się i data i numer odpowiedni; przejrano wszystko, i obie strony zdawały się zupełnie skutkiem szukania zaspokojone.

— Pierwszy to raz w życiu — rzekł lichwiarz — widzę osobę, która się szczęśliwie z Rzymu wyniósłszy, po 15 latach wraca i dopytuje się o swoje długi. Chrześcijaninem pan jesteś? Domyślam się tego.

— Tak jest z miłosierdzia Bożego.

— Tak też sądziłem; kłaniam się panu.

Szczęśliwy będę służyć ci w każdym razie i na tak mały procent, jak mój nieboszczyk ojciec Efraim, teraz na łonie Abrahama spoczywający. Wielki głupiec, muszę przyznać — dodał Żyd, gdy nieznajomy nie mógł już słyszeć.

Pewniejszym krokiem i z weselszą twarzą udał się prosto do wili Nomentańskiej, i pomodliwszy się w katakumbie, z lepszym, niż pierwiej, sercem zapytał zaraz fossora, jakby się nie byli rozstali:

— Torkwacie! czy mógłbym mówić z panną Fabiolą?

— Zapewne — Odrzekł Torkwat — pójdź tędy.

Zaden nie wspomniał po drodze o dawnych czasach, ani o dziejach swoich od tych piętnastu lat. Było pomiędzy nimi milczące porozumienie, że cała przeszłość powinna być zatarta przed ludźmi, tak jak się spodziewali, że jest zatartą przed Bogiem. Fabiola nie opuszczała domu tego dnia i poprzedniego, w nadziei powrotu nieznajomego. Siedziała w ogrodzie przy fontannie, gdy Torkwatus, wskazując na Fabiolę oddalił się.

Powstała widząc z daleka upragnionego gościa ze wschodu, i drżała od niewymownego wrażenia, stojąc obok pielgrzyma.

— Pan! — rzekł z wyrazem głębokiej pokory i rozrzewnienia: — nigdy nie byłbym ośmielił się stanąć przed tobą, gdyby nie obowiązek sprawiedliwości obok wielkiego obowiązku wdzięczności.

— Oroncjuszu! — odrzekła — wszak tak cię mam nazywać? (potwierdził skinieniem głowy) nie możesz mieć względem mnie obowiązku innego, prócz obowiązku, jak mówi wielki apostoł nasz, byśmy się wzajemnie, jedni drugim miłowali.



— Wiem, że tak myślisz. I dlatego nie byłbym śmiały w niegodności mojej narzucać ci się bez ważnej przyczyny i ścisłej powinności. Wiem, jaką wdzięczność winienem ci za dobroć i przywiązanie, któreś okazywała osobie stokroć droższej mi teraz, aniżeli być może komu najukochańsza siostra, i jak wypełniłaś względem niej obowiązki miłości, które ja zaniedbałem,

— I przysłałaś ją — dodała Fabiola — aby była moim aniołem żywota! Przypomnij sobie, Oroncjuszu, że Józef zaprzędany był od braci jedynie, aby mógł kiedyś naród swój ratować.

Zbyt dobrą jesteś prawdziwie dla mnie, niegodnego — rzekł pielgrzym — nie będę ci dziękował za dobroć dla tej, która ci się tak sowsicie wypłaciła; lecz dziś rano dowiedziałem się o łaskawości twojej dla niegodnego człowieka, który żadnego do niej prawa nie ma. A więc wszystko ci opowiem — mówił dalej Oroncjusz — Byłem przez lat wiele członkiem jednego z tych zgromadzeń w Palestynie, gdzie pokutnicy żyją, dalecy od świata, w miejscach samotnych i dzielą dzień swój a nawet i noc między głoszenie chwały Bożej a rozmyślanie i pracę ręczną. Ostra pokuta dawne przestępstwa, posty i modlitwy stanowią obowiązki naszego pokutnego zakonu. Czyś słyszała o takich ludziach?

— Sława św. Pawła i św. Antoniego jest tak wielka na zachodzie, jak i na wschodzie — odrzekła Fabiola.

— Z najbliższym uczniem Antoniego żyłem, wspierany jego wielkim przykładem i pociechami, których mi udzielał; lecz jedna myśl jeszcze kłóciła pokój mej duszy, nie dopuszczała pewności o zmazaniu winy nawet po dłu-

gich latach pokuty. Przed opuszczeniem Rzymu zaciągnąłem ciężki dług przy którym nagromadzić się musiały wielkie procenta i narzeczcie przewyższyć pierwotną sumę. Wszakże było to zobowiązanie rozmyślnie wzięte, z którego sprawiedliwie zrzucić się nie mogłem. Byłem biednym cenobitą, żyjącym jedynie ze sprzedaży niewielu mat, jakie zdołałem upleść z liści palmowych i z lichych traw, rosnących w piasku. Jakże mogłem długi spłacać? Jeden tylko sposób pozostawał. Mogłem oddać się wierzycielowi za niewolnika, pracować na niego, i znosić cierpliwie kije i łajania lub sprzedanym być przez niego za wartość sił moich, gdyż jestem jeszcze silny. W każdym razie miałbym dla siebie pokrzepiający przykład Zbawiciela, a wierzycielowi nic już nie byłbym winien, oddawszy wszystko, co posiadam, to jest siebie samego. Udałem się dziś rano na forum, znalazłem syna wierzyciela mego, przejrzałem rachunki i dowiedziałem się, żeś spłaciła całkowicie dług mój. Jestem więc nie żydowskim, lecz twoim niewolnikiem, Fabiolo! — i ukląkł pokornie u jej stóp.

— Wstań, wstań! — rzekła Fabiola, odwracając pełne łez oczy: — Nie jesteś niewolnikiem moim, lecz drogim bratem we wspólnym naszym Panu.

Potem, rzekła doń:

— Oroncjuszu, mam wielką łaskę do uproszenia u ciebie. Odpowiedz mi, jakieś był przyprowadzony do stanu, któremu się tak szlachetnie oddałeś?

— Dopełnię rozkazu twego, ile być może w krótkości. Uciekłem, jak wiesz, pewnej smutnej nocy z Rzymu, w towarzystwie człowieka...

— Wiem, wiem, o kim chcesz mówić, o Eutrotasie — przerwała Fabiola.



— Tak jest, o przekleństwie naszego domu, o sprawcy wszystkich moich i drogiej siostry mojej cierpień. Musieliśmy najać wielkim kosztem okręt w Brundisium, skąd płynęliśmy do Cypru. Próbowaliśmy handlu i rozmaitych spekulacji, lecz zawsze z tym samym niepowodzeniem. Widocznie było przekleństwo na wszystkim, cośmy przedsiębiorali. Pieniądze nasze wyczerpały się i musieliśmy innych szukać krajów. Puściliśmy się do Palestyny i osiedli na jakiś czas w Gazie. Wkrótce popadliśmy w nędzę, każdy nas unikał, nie wiedzieliśmy, dlaczego? Lecz sumienie mówiło mi, że znamie Kaina nosiłem na czole.

Oroncusz zatrzymał się i zapłakał, potem dalej mówił:

— Nareszcie, gdy wszystko było wyczerpane i nic nie pozostawało prócz kilku klejnotów, wprawdzie wielkiej wartości, lecz których ani nie wiedziałem, dlaczego Eurotas nie chciał się pozbyć, żądał ode mnie, abym przyjął obrzydły urząd oskarżania chrześcijan, gdyż rozpoczynało się gwałtowne prześladowanie w tych stronach. Po raz pierwszy w życiu zbuntowałem się przeciw jego rozkazom i odmówiłem posłuszeństwa. Pewnego razu namówił mnie na przechadzkę za miasto; szliśmy daleko, aż nareszcie znaleźliśmy rozkoszne miejsce wśród puszczy. Była to wąska dolinka, zasłana zielonością i ocieniona drzewami palmowymi; mały i czysty strumyczek wytryskał ze skały. W tej skale widzieliśmy groty i jaskinie lecz całe to miejsce zdawało się niezamieszkałe. Żadnego szelustu nie było słyhać prócz szmeru wody. Usiedliśmy dla spoczynku i Eurotas przemówił do mnie okrutnymi słowy: — Czas nadszedł — powiedział — w którym musimy dopełnić straszного przeze mnie powziętego postanowienia

i nie dać ci przeżyć upadku rodziny naszej. Tutaj musimy obaj umrzeć; dzikie zwierzęta pożrą nasze ciała i nikt nie będzie znał końca naszego. — To mówiąc, wyjął dwie małe flaszeczki nierównej wielkości, podał mi większą, sam zaś połknął co było w mniejszej. Nie chciałem wziąć i wymawiałem mu nawet nierówność flaszek, lecz odrzekł, że on stary, a ja młody i że ilość zastosowaną jest do sił naszych. Odmawiałem wszakże, nie mając ochoty umierać. Lecz on z piekielną uchwycił mnie siłą, gdy siedział na ziemi, przewrócił wznak i mówiąc: „Musimy razem ginąć”, gwałtem wlał do ostatniej kropli truciznę z flaszeczki w gardło moje. W jednej chwili straciłem przytomność i w tym pozostałem stanie, póki się nie przebudziłem w jaskini i słabo o wodę zawołałem. Czcigodny starzec z białą brodą przyłożył naczynie z wodą do ust moich. „Gdzie jest Eurotas?” zapytałem.

„Czy o twego towarzysza pytasz?” zapytał sędziwy mnich.

„Tak jest”, odrzekłem.

„Umarł” cała jego była odpowiedź.

Nie wiem, jak się to stało, lecz dziękuję Bogu całym sercem, że mnie raczył uchronić.

Ten stary człowiek był to Hilarion, rodem z Gazy, który przepędziwszy lat wiele z świętym Antonim w Egipcie, powrócił owego roku, aby zaprowadzić zakon pustelniczy w własnym kraju i już zebrał był kilku uczniów. Mieszkali w pobliskich jaskiniach, posilali się pod cieniem drzew palmowych i maczali suchą strawę w źródlanej wodzie. Dobroć ich dla mnie, wesola pobożność, święte życie ujęły mnie, gdy do zdrowia powracał. Nie byłem już teraz nieczułym na tak wzniosłą formę tej religii, której byłem prześladowcą i szybko przy-



wołałem na pamięć nauki drogiej mej matki i przykład siostry, tak że poddając się łasce, opłakałem grzechy moje u stóp kapłana Pańskiego i przyjąłem chrzest w Wielką Sobotę.

— A więc podwójnie jesteśmy w duchu rodzeństwem albo raczej bliźniętami w kościele Bożym, gdyż odrodzona byłam na życie wieczne także tego samego dnia! Lecz cóż teraz zamierzasz czynić?

— Puścić się dziś wieczór z powrotem. Dopełniłem dwóch celów mej podróży: pierwszym było uiścić się z długu; drugim, złożyć ofiarę w przybytku Agnieszki. Przypomnisz sobie—dodał, uśmiechając się—że twój pocziwy ojciec w dobrej myśli wprowadził mnie w fałszywe mniemanie, że Agnieszka pragnęła klejnotów, którymi się okrywałem. Jakiż byłem głupi! Umyśliłem więc teraz oddać jej, co Eurotas aż do końca tak starannie przechowywał i przyniosłem jej te klejnoty.

— Lecz czy masz zasoby na drogę — zapytała Fabiola nieśmiało.

— Obfite—odrzekł—z dobroczynności wiernych. Mam listy od biskupa naszego z Gazy, które mi dostarczają wszędzie posiłku i mieszkania; lecz przyjmę od ciebie czarę wody i kawałek chleba jako uczeń.

Powstali i szli ku domowi, gdy jakaś kobieta wybiegła z krzaków i padła do nóg ich, wołając:

— Och ratuj mię, droga pani! ratuj mnie! On mnie goni, chce mię zabić!

Fabiola poznała w biednej kobiecie dawną swoją niewolnicę Jubalę; lecz włosy jej były posiwiałe i rozwiane a cała postać okazywała wielką nędzę. Zapytała Fabiola o kim mówi i kogo się boi.

— O mężu moim—odpowiedziała—oddawna

był ostry i niehumaniczny, lecz dzisiaj sroższy, niż zazwyczaj; o, ratuj mię przed nim!

— Tu jesteś bezpieczną — odrzekła pani — lecz widzę, Jubalo, że szczęście daleko od ciebie! Nie widziałam cię od dawnego, tak, od dawnego czasu.

— Bo czemuż, droga pani, miałam przychodzić opowiadać ci moje biedy? Och! czemuż opuściłam ciebie i dom twój, gdzie mogła być tak szczęśliwą! Mogłabym była z tobą i z Grają i z dobrą zmarłą Eufrozyną nauczyć się być dobrą i przyjąć wiarę chrześcijańską!

— Jaktło!... czyś doprawdy o tym myślała, Jubalo?

— Oddawna, pani! wśród mych nieszczęść i zgryzot, gdy widziałam, jak szczęśliwi są chrześcijanie, nawet ci, którzy pierwsi byli tak zepsuci, jak ja sama. I dlatego, żem wspomniała o tym mężowi memu dziś rano, bił mnie i groził, że mi życie odbierze. Lecz dzięki Bogu, poznałam wiarę z łaski i nauk jednej przyjaciółki.

— Od jak dawna trwa to złe obchodzenie się męża z tobą, Jubalo? — zapytał Oroncusz, który słyszał o tym od stryja.

— Ciągłe—odrzekła—od chwili, gdy wkrótce po zameżciu wspomniałam mu o czynionej mi poprzednio obietnicy ze strony czarnego cudzoziemca, imieniem Eurotas. Och! był to prawdziwy przewrotny człowiek z czarnym sercem i zatwardziały łotr. Jemu zawdzięczam wspomnienie, które najbardziej mnie dręczy.

Cóż to było? — zapytał Oroncusz z prawdziwą ciekawością.

— Gdy opuszczał Rzym, prosił mnie, abym mu przygotowała dwa usypiające napoje: jeden, jak dla nieprzyjaciela, powiedział, „gdybym miał być wzięty w niewolę”. Ten napój



miał być niechybnie śmiertelny; drugi zaś miał odebrać przytomność na parę godzin tylko, gdyby sam tego potrzebował. Gdy przyszedł po trucizny, miałam właśnie wytłumaczyć mu, że mała flaszeczka zawiera śmiertelnie skoncentrowaną truciznę, a druga, większa, słabszy płyn. Lecz mój mąż nadszedł prawie w tej chwili, w napadzie zazdrości wypchnął mnie za drzwi. Obawiam się, czy nie zaszła pomyłka, którejby następstwem była niezamierzona śmierć.

Fabiola i Oroncjusz spojrzeli po sobie w milczeniu, podziwiając sprawiedliwość rozporządzeń Opatrzności, gdy krzyk Jubali wyrwał ich z zamyślenia. Przejęci byli zgrozą na widok strzały, tkwiącej w jej piersiach. Gdy Fabiola ją wspierała, Oroncjusz spojrzął za siebie, i dostrzegł przez szparę w płocie czarną twarz, okropnie skrzywioną. W chwilę potem widziano Numidyjczyka uciekającego na koniu, z łukiem napiętym na plecach, sposobem uciekających Partów, który gotów był strzelać, gdyby go kto gonił. Zabójcza strzała, Jubali przeznaczona, przeleciała niepostrzeżona pomiędzy Oroncjuszem a Fabiolą.

— Jubalo! — zapytała Fabiola — czy pragniesz umierać chrześcijanką?

— Najgoręcej.

— Czy wierzysz w jednego Boga w trzech osobach?

— Wierzę niezachwianie we wszystko, co Kościół św. wierzyć każe.

— I w Jezusa Chrystusa, który się narodził i umarł za nasze grzechy?

— Tak jest; we wszystko, co sama wierzysz. Tym razem głos był słabszy.

— Prędko, prędko, Oroncjuszu! — zawołała Fabiola, wskazując na fontannę.

Już stał przy wodzie, napełniając obie ręce i wracając w jednej chwili, zlał wodą głowę biednej Afrykanki, wymawiając słowa sakramentalne; i gdy ducha oddała, woda odrodzenia zmieszała się z krwią zadośćuczynienia.

Po tym smutnym, chociaż pełnym pociechy wypadku, weszli do domu i uwiadomili Torkwata co do pogrzebu, jaki miał sprawić tej podwójnie ochrzczonej ofierze.

Oroncjusz podziwiał prostoty pełną schludność domu, tak wiele różniącą się od wspałałości w dawnym mieszkaniu Fabioli; aż w jednym pokoju, w głębi domu spostrzegł trumienkę czy skrzynkę, pokrytą bogato haftowaną zasłoną, która tylko podstawę kamieniami wysadzaną widzieć dozwalała.

Zbliżywszy się, przeczytał następujące słowa: „Krew świątobliwej Miriamy, przelana okrutnymi rękami”.

Oroncjusz pobladł śmiertelnie i zachwiał się na nogach.

Fabiola podbiegła ku niemu, położyła rękę na ramieniu jego i łagodnie rzekła:

— Oroncjuszu! mamy się tu oboje czego wstydzić, ale mamy jeszcze więcej za co Bogu dziękować.

Zdjęła zasłonę i Oroncjusz ujrzał w kryształowej skrzyneczce haftowaną perłami chustkę, tak ściśły związek mającą z jego własnym i siostry losem.

Na niej leżały dwa puginały, których końce od krwi zardzewiały były. W jednym poznał własny swój pugiń, drugi wydał mu się podobny do narzędzia niewieściej zemsty, jakim wiedział, że damy pogańskie przybocznych niewolników swoich karcili.

— Oboje — rzekła Fabiola — zadaliśmy głębokie rany i toczyliśmy krew tej, którą te-



raz kochamy, jako świętą siostrę w niebie. Lecz co do mnie wyznaję, iż od dnia, w którym to uczyniłam i nastroczyłam jej sposobność okazania mi cnoty swej, zajaśniała pierwsza jutrzienka łaski nad duszą moją. Co na to powiesz Oroncjuszu?

— Że i ja podobnie od chwili, w której tak okrutnie postąpiłem z siostrą i dałem jej sposobność do tak bohaterskiego czynu, uczułem rękę Bożą na sobie, która mnie doprowadziła do pokuty i przebaczenia.

— Tak się to zawsze dzieje — mówiła dalej Fabiola. — Przykład Pana naszego zrodził męczenników, a przykład męczenników prowadzi nas ku Panu. Krew męczenników łagodzi serca nasze; jedynie Krew Pana naszego oczyszcza dusze nasze. Krew Jezusa sama jest miłosierdziem. Bodajby Kościół nigdy nie zapomniał w dniach pokoju i tryumfu, co winien jest wiekom męczeńskim! Co do nas, oboje winniśmy krwi męczeńskiej życie nasze wieczne. Daj Boże wszystkim, którzy tylko o tym czytać będą, podobną łaskę i miłosierdzie.

Uklękli i modlili się długo razem przed relikwiami.

Rozstali się potem i więcej się na ziemi już nie spotkali. Po niewielu latach, przeżytych jeszcze w surowej pokucie, zielona mogiła pod palmami w dolinie, niedaleko Gazy, znaczyła miejsce, w którym spoczywał pokutnik snem sprawiedliwego.

A po wielu latach dobroczynności Fabiola zasnęła w Bogu i spoczywa obok Agnieszki i Miriamy.



84689.

78338/2